PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt VI. Miesiąc Marzec 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1875.

BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA

u historyków, w rzeczywistości i w poezyi.

II.

Barbara w poezyi.

Gdy mowa o Barbarze w poezyi, każdemu zaraz na myśl przychodzi Barbara Felińskiego, Wężyka, Odyńca; jeden lub drugi zna jeszcze dramat Magnuszewskiego, słyszał przynajmniej o nim. Lecz o czem może mało kto wie, to że prócz powyższych jest jeszcze drugie tyle dramatów lub powieści pod tymże tytułem. Radziwiłłówna występuje także w kilku utworach nie noszących w tytule jej imienia. Chcąc sobie zrobić, o ile można, wyczerpujący obraz poetycznych przedstawień Barbary, nie ograniczymy się w tem badaniu na utworach, gdzie ona główną gra rolę, ale i te drugie uczynimy przedmiotem jego, jeśli tylko w nich do charakteru Barbary jaką taką wagę przyłożono. Wreszcie obejmiemy i utwory nie należące ściśle do literatury polskiej.

Rzeczą jest naturalną, że poeci zajmujący się Barbarą, nie mogli wszyscy jednako jej pojąć. Rozmaitość owszem w jej przedstawieniu dodaje jednego uroku więcej porównawczej pracy. Jednakże przy całej rozmaitości w szczegółach dadzą się wszystkie przedstawienia Barbary pod pewnym względem

do dwóch głównych typów sprowadzić: albo jest ona wzorem patryotyzmu, albo przeważa w niej miłość do Augusta.

Do pierwszej kategoryi należą najwcześniejsze przedstawienia Barbary, wszystkie klasyczne i zarazem najwięcej znane tragedye o niej traktujące i ostatni dramat, jakim literatura Barbary została zbogaconą.

Z nich bezwzględnie najlepszą jest *Barbara* Felińskiego [1]. I niechaj kto nie myśli, że powtarzam to na ślepo za opinią publiczną, która oddawna do tego stopnia sobie w niej podobała, że rola tytułowa należała zawsze do najponętniejszych i najwdzięczniejszych dla artystek naszych dramatycznych.

Nie, nie zaliczam się wcale do „obozu klasyków“, widzę bardzo dobrze zgubny wpływ , jaki na literaturę naszą z czasów Księstwa Warszawskiego wywarli Kornele i Rasyny, i lubo oddaję cesarzowi co jest cesarskiego, jestem jednak przekonany, że na polskim teatrze sprawdziła się najdokładniej przepowiednia pani Stael, która w *Pamiętnikach o Niemczech* była napisała: „Jeśli poeci będą coraz bledszemi farbami kopiowali tylko zawsze te same arcydzieła, przyjdzie nam w końcu oglądać w teatrze maryonetki heroiczne, poświęcające miłość dla obowiązku, przekładające śmierć nad niewolę, natchnione antitezą w słowach i w czynach — lecz pozbawione wszelkiej styczności z tajemniczą istotą zwiącą się człowiekiem.“

Mimo to wszystko, już i tyloletnie, niezmienne powodzenie Barbary Felińskiego jest objawem, z którym liczyć się potrzeba. Sam przecież śliczny język sztuki tego nie sprawia. Aż do roku 1830 można je przypisać klasycznemu smakowi epoki, a jeszcze więcej duchowi patryotycznemu wiejącemu z całego utworu, duchowi, który wówczas zupełnie wystarczał do spopularyzowania sztuki teatralnej. Wszak jak nić złota ciągnie się od początku do końca tendencya łechcąca miłość własną narodową, myśl wypowiedziana przez Kmitę w pierwszym akcie, że:

Polak nie jest zrodzonym do nikczemnych zbrodni,

---

[1]) Barbara Radziwiłłówna, tragedya w 5 aktach, wierszem, wyszła najpierw w zbiorze pism A. Felińskiego, wydanym 1816—1821 r.

uwieńczona przy końcu aktu piątego w słowach Barbary:

Ginę zbrodnią... lecz ginę nie z Polaka ręki,

a wprowadzona w życie przez to, że nikt z Polaków nie okazuje się nieszlachetnym, wszystko złe bierze swój początek od cudzoziemców.

Ale kiedy jeszcze i teraz, gdy i smak się całkiem zmienił i patryotyczne frazesy tak mało popłacają, Barbara zawsze jest popularną, wtedy trudno zaprzeczyć, że zalety muszą być głębszej natury.

Za główną zaletę, która Barbarę Felińskiego wyżej stawia nad inne, zresztą duchem i formą jej pokrewne, poczytuję większą stosunkowo dozę miłości do Augusta w charakterze bohaterki. Patryotyzm jest wielkim motorem, czasami stanowi nawet całą treść charakteru człowieka. Jednak są to zjawiska wyjątkowe; w zwykłym porządku rzeczy miłość ojczyzny nie wystarcza do wypełnienia całego serca ludzkiego, mianowicie kobiecego.

Otóż patryotyczna ta Barbara przez szczęśliwą przymieszkę uczucia mniej bezinteresownego, miłości ludzkiej, ogromnie zyskała na życiu, na prawdzie, a przez to i na sympatyczności.

Lecz między dwoma temi miłościami: Augusta i ojczyzny nie panuje wcale równowaga; cała rola Barbary jest tylko ciągłą ich walką. Walka nawet zaczęła się przed rozpoczęciem sztuki, jak dowiadujemy się zaraz na początku z opowiadania Izabelli i Barbary (któryż klasyk obszedł się bez opowiadanej ekspozycyi?). Miłość bowiem Barbary do Augusta sięga jeszcze tych czasów, gdy dzieckiem prawie, według fikcyi autora, chowając się po stracie ojca i matki na dworze królewskim, wdziękami swemi „wlała płomień“ w serce młodocianego królewicza. Wstęp ten oziębia nas trochę dla bohaterki, gdyż już w tym wieku rozsądek taką ma u niej przewagę nad sercem, że przez wzgląd na niestosowność swej miłości, umie mężnie nakazać milczenie silnym uczuciom, i aby nie stać na przeszkodzie ułożonemu przez rodziców Augusta małżeństwu jego z Elżbietą Austryaczką, usuwa się od dworu. Nawet po śmierci Elżbiety jeszcze przez „rozwagę“ unika spotkania z zakochanym w niej Augustem, i mimo „śmiertelnych udręczeń“ całe dwa lata ukrywa się zdala od stolicy w głębi

litewskich lasów. I gdy królewicz sam ją w tem schronieniu odszukał, dla objawienia wprost zamiaru pojęcia jej za żonę, jeszcze próbuje udawać obojętną, istotnie będąc „gotową z uczucia najdroższego uczynić ofiarę“ — i jeżeli w końcu decyduje się zostać jego żoną, czyni to jedynie przez patryotyzm, bo po odmowie „rozpacz i cierpienie“ Augusta, co więcej „śmierci nad głową jego rozpostarte cienie“ groziły „przyszłem Polski sieroctwem.“ — To trochę zbyt abnegacyi, a za mało serca, za mało kobiety.

Ale dotąd była tylko przeszłość. Zobaczmy jaką się okaże teraz w samej akcyi.

Przyjechawszy po śmierci starego króla do Korony, natrafia Barbara nietylko na intrygi dumnej i zazdrosnej władzy Bony, na opór burzliwych żywiołów narodowych z Kmitą na czele, lecz i na niechęci wytrawniejszej, spokojnej części narodu; marszałek sejmowy (sic) Boratyński, hetman Tarnowski, lubo osobiści przyjaciele domu królewskiego, ze względów wyższych, państwowych, są związkowi króla z Barbarą przeciwni, chcą go rozerwać. Czy i teraz Barbara poświęci swe serce dla dobra ojczyzny? Nie, i przez ten niejako egoizm zyskuje wiele na naszej sympatyi. Wprawdzie nie ma najmniejszego żalu do swych nieprzyjaciół, nie wyrzeka na nich ani jednem słowem, lecz nie cofnie się przed całym tym oporem, zapewnia swą dawną przyjaciółkę a siostrę królewską Izabellę, że byle wolno jej było zachować osobę i serce Augusta, gotowa wyrzec się wszystkich zaszczytów.

Silne przywiązanie do króla, połączone z świadomością czystości swych uczuć, wlewa nawet w słodką i potulną z natury Barbarę pewną dumę; o swych stosunkach z królem nie pozwoli nikomu wspomnieć nietylko z naganą, lecz nawet z lekceważeniem. Nie ulęknąwszy się gróźb, z godnością odpowiada Bonie, wymawiającej jej jakby jaką zbrodnię, wzbudzenie miłości w Auguście:

Nie pani! zgryzot serce nie dozna Barbary:
Nie ujdę prześladowań, lecz nie godnam kary;
Próżno się z wyrzutami zbrodni moich szerzysz,
Ja się do nich nie czuję i ty im nie wierzysz.

Los, tron i moje życie w rękach może Bony,
Lecz upodlić nie zdoła nikt Augusta żony.

Taka stanowczość, prawdziwa czy nie, jest zupełnie naturalną, i wielce podnosi Barbarę w naszych oczach.

Ale pomimo że w tym wypadku z taką energią broni dotkniętych spraw swego serca, pokazuje się w dalszym ciągu, że miłość do Augusta nie jest u niej jeszcze uczuciem górującem nad wszystkiemi innemi. Walka, która zdawała się już rozstrzygniętą, trwa jeszcze w jej duszy, i w drugim akcie dozwoli przeważyć szali patryotyzmu. Pierwsze jej słowa, w rozmowie z Augustem, gdy zaniepokojona wieściami, pomieszaniem, jakie spotyka na twarzach wszystkich, przychodzi dowiedzieć się z ust męża, co ją czeka, słowa te nie zdradzają wprawdzie wahania, owszem cokolwiek się stanie, ona jedną do króla ma prośbę:

Nie odstępuj Barbary, ośmiel duszę moję:
Ja nie życie, lecz ciebie utracić się boję.

Nie dziwi nas jeszcze, gdy z rosnącą bezinteresownością błaga Augusta, aby przez wzgląd na przeszkody odstąpił od jej koronacyi:

Gdy niebo mi pozwoliło twe serce posiadać,
Nic już nie mogę zyskać a wszystko postradać,

gdy błaga, aby przynajmniej odłożył na później ten akt, aż się umysły uspokoją. Lecz kiedy na zapewnienia króla, że wyboru nie ma:

Nie . . . dziś . . . umrzeć lub stwierdzić trzeba nasze śluby

Barbara w nadmiarze ofiarności chce dla ocalenia męża i dla dobra narodu poświęcić swe życie, lub, co nie jest mniej, swoje serce, gdy woła:

Ach opuść nieszczęśliwą!

wtedy zepsute już jest zupełnie wrażenie ślicznego początku tej sceny, która chwilami ma jakąś woń, przypominającą Romea i Julię. Abnegacya w miłości idąca aż do czynienia ofiary z tego, co właśnie jest treścią miłości, to już zbyt egzalto-

wane i wcale do spółczucia nie pobudza. Szczęście, że to był moment tylko zapomnienia; jedno słowo Augusta przywraca Barbarze przytomność; spostrzega się, że choć serce jej wiele cierpieć potrafi, jednak własnym swym katem być nie zdoła. Słowa:

Panie!
Widzisz łzy moje... przebacz mi to obłąkanie,
Nie opuszczaj mnie... Gińmy, albo żyjmy z sobą,

ratują interes charakteru Barbary, która w końcu okazuje się przecie istotą serca, kobietą. A walka sama wewnętrzna, przez którą ona do tego rezultatu doszła, służy tylko do wzmocnienia interesu, dla postaci, którą tem lepiej znamy, że proces jej ukształtowania się odbył się w naszych oczach.

To przywiązanie do męża potęguje się teraz w akcie następnym i dodaje jej siły do wytrzymania prób niemałych, na jakie wystawioną jest przez nienawiść i podstępy Bony.

Jakże pięknie się objawia wyrobiony już ten charakter w scenie pomiędzy dwoma królowemi. Bona mianowicie, aby tem pewniej pozbyć się synowej, ze wszystkich stron myśli ją naraz zaatakować. Podburza naprzód zgromadzone na sejm stany do energicznej opozycyi, a w razie niepomyślnego skutku do zbrojnego rokoszu, którego iskry już tleją śród szlachty; z drugiej zaś strony nie dowierzając całkowicie zbyt szlachetnym w porównaniu z nią przywódzcom opozycyi, robi na swoją rękę przygotowania do usunięcia swej przeciwniczki — choćby zbrodnią. Dzieje się to bardzo skrycie, tylko kilkoma urywkowemi słowami zdradziła się dotąd z powzięcia tego planu. Gdy jednak dla samej nawet Bony zbrodnia jest trochę wstrętną, postanawia przed tem spróbować mniej krwawych sposobów — fortelu. Korzysta ona z chwili rozdrażnienia, w jakie wprawiła Barbarę wiadomość niezręcznie przyniesiona przez Izabellę, że wobec podniesionych w sejmie głosów przeciw małżeństwu króla

on milczał... swojej nie śmiał przyznać żony,

aby synowę, zaczynającą wątpić o miłości męża, nakłaniać do dobrowolnego usunięcia się z placu boju. Z udaną skruchą za poprzednią obrazę, wśród zapewnień najczulszej przychylności

i po przypomnieniu dawniejszych serdecznych stosunków, uderza ze zwykłą swą przebiegłością w najsłabszą stronę Barbary, przemawia do jej serca, do uczuć: król z twego powodu jest w największem niebezpieczeństwie, naród wzburzony gotów do ostateczności się posunąć. Od ciebie zależy teraz wszystko, jeśli się usuniesz sama z widowni, choć na jakiś czas tylko uśmierzą się umysły, uratujesz los a może życie króla, a i tobie potem łatwiej przyjdzie przejednać umysły. — Barbara zmiękczona już decyduje się na ten najtrudniejszy dowód miłości do Augusta, tylko to przywiązanie właśnie sprawia, że wzdryga się jeszcze uczynić krok tak stanowczy bez pewności czy król się nań zgodzi, czy go sobie na złe nie wytłomaczy — a wreszcie i nie przekonawszy się, czy też jej podejrzenia przeciw niemu nie mają jakiej podstawy. Ale Bonie właśnie najbardziej o to chodzi, aby król nie dowiedział się o jej fortelu aż po wszystkiemu, wtedy łatwo nawet będzie przedstawić mu heroizm żony jako prostą niewierność i samej posiąść jego serce wraz z władzą. Nagli więc Barbarę do zaniechania pożegnań, wysila całą swą zręczność, aby przyspieszyć jej wyjazd już przygotowany, a dla tem pewniejszego skutku swych zabiegów namówiła jednego z posłów sejmowych, aby przyniósł zmyśloną wiadomość o oświadczeniu na zgromadzeniu stanów, że „wiecznie od nieprawej rozdziela się żony.“ Lecz podstęp ten właśnie zniweczył wszystkie plany Włoszki. Próżno stara się zużytkować przerażenie Barbary, próżno ją uspokaja, że

Na czas tylko naglącej ustąpił potrzebie,

i namawia do wyjazdu „nie rozdzierając mężowi serca jękami rozpaczy“; Barbara głucha na wszelkie argumenta; słyszała tylko, że August publicznie jej się wyrzekł. W szale boleści obsypuje Bonę, której to złe przypisuje, wyrzutami i rzuconą obelgą zmusza do odejścia, poczem puszcza wodze swej rozpaczy; z początku nie może przyjść do siebie, jakby po jakiem strasznem widzeniu, lecz powoli odzyskuje przytomność:

Wszystko, niestety! . . . wszystko w jednej tracę chwili!
Czuję piekło w mem łonie . . . ach! i żyję jeszcze!

a zapytawszy jak gdyby nie dowierzała własnym uszom;

> . . . tyś mógł to wyrzec? . . .
> Ty sam?

kończy z goryczą:

> . . . dobrze: nie będziesz więcej mnie oglądać.

Jednak powziąć rozpaczliwy zamiar odebrania sobie życia, a wykonać go, to wielka jeszcze różnica. To też mimo pozornej determinacyi, Barbara jest bezwładną. Tysiące myśli cisną się naraz do głowy: żal do Augusta, którego jeszcze przed chwilą miała za lepszego nad wszystkich,

> A on niestety! ludziom podobny jest innym,

do Augusta, którego w nadmiarze bólu nie waha się nawet podłym nazwać; obrażona ambicya, że krył się przed nią z tem postanowieniem.

> Czyż mniemał, że mu Polska milsza niż Barbarze?

boleść z rozczarowania:

> On mię kochał? Obłudnik! ach życie bym dała,
> Bym na chwilę ten błąd mój przedłużyć zdołała.

zwątpienie o szczerości wszystkich i wszystkiego, i znów czasami resztki nadziei, po kolei miotają nieszczęśliwą królową. Komuż nie utkwił w pamięci ten piękny monolog, czyli raczej dyalog na końcu, w którym po zagłuszeniu wszystkich tamtych uczuć, dwa tylko wreszcie uczucia: miłość do Augusta i miłość własna, zażartą staczają walkę w sercu Barbary i doprowadzają ją do postanowienia kroku ostatecznego. Scena ta istotnie ma wiele prawdy i poezyi w sobie. A co najlepsze zostawia wrażenie, to, że przecie przywiązanie do męża odnosi zwycięstwo. Samo ukazanie się Augusta w tej chwili, kilka słów jego, otwiera jej oczy na prawdę i zapewniając ją o niezachwianej miłości króla, który nigdy się jej nie wyrzekał, tylko „nie chcąc zwiększyć zapału zapałem,“ uległ radom Tarnowskiego i odpowiedź stanom do czasu wstrzymał — kilka słów tych przywraca jej przytomność do tego stopnia, że teraz ona przemawia głosem rozsądku do męża i odwodzi go od za-

miaru zrzeczenia się korony polskiej. Słowami jej zreflektowany, zrozumiał król, że nie mniejsze ma obowiązki wobec narodów, którym panuje, niż wobec żony. Tak wzmocniony odpowiada stanowczo deputacyi sejmowej błagającej go na klęczkach, by poszedł za przykładem Tytusa, a Barbara w ślady Jadwigi:

Znam powinności moje, znam i moje prawa,

na których wsparty tronu się nie zrzekę dobrowolnie, lecz i żony mi

Nie wydrzecie!... przysięgam na ostrza tej stali.

Dotąd przypatrujemy się z zajęciem wykonaniu charakteru Barbary, ma ono prawie same zalety i bardzo wiele wdzięku. Wdzięk ten wszakże od tego punktu zaczyna się zmniejszać coraz bardziej. Nie razi nas jeszcze tak wielce gdy struna patryotyczna, która już silnie odezwała się na końcu aktu poprzedniego, w czwartym akcie coraz więcej zagłusza swym dźwiękiem wszystkie inne tony serca. Jest to zręcznie przeprowadzone, zresztą w tak drażliwej sytuacyi, wobec wybuchu wojny domowej, gdy król sam na czele wojska chce orężem dowieść miłości do żony, Barbara nie potrzebuje być heroiczną kobietą, aby, przerażona tą myślą, zawołać:

Ze mnie więc klęsk źródło, z mojej to przyczyny
Toczą bój bracia z braćmi, a z ojcami syny;
A ja mam żyć; niestety na toż będę żyła,
Żebym matek wyrzuty w rozpaczy nosiła
. . . .
Słyszała całej Polski przekleństwa i jęki?

Którażby kobieta razem z nią nie próbowała wszelkich sposobów, nie użyła groźby i prośby, aby męża od takiego kroku, a od siebie taką odpowiedzialność odwrócić.

Lecz gdy to niebezpieczeństwo uchylono, gdy stanął kompromis między stronami roznamiętnionemi na siebie, a król poddał się za radą hetmana sądowi sejmowemu i tylko z niespokojnością czeka w 5tym akcie na wynik jego, czy wtedy naturalnem jest, aby Barbara patryotycznymi względami się tylko powodowała i dodawała mężowi odwagi mówiąc:

Cierpmy, gińmy, i ginąc z wyroku rodaków
Nieśmy do grobu miłość Polski i Polaków.

Cóż dopiero powiedzieć o końcu sztuki, w którym w samym punkcie szczęśliwego rozwikłania trudności, podczas zawarcia zgody z reprezentantami narodu, Barbara nagle czuje się słabą i kona w skutek otrucia przez Bonę? Otóż w tej patetycznej chwili, gdy nagłym ciosem dotknięta traci wszystko, tem boleśniej, że już szczęście w ręku prawie miała, w chwili najsroższego zawodu, Barbara ma siłę zapomnieć o sobie, o mężu który w niej cel życia widział, i natomiast myśli tylko o Polsce, gasnącym głosem napomina Augusta:

Ty żyj... ocal gasnące... ojców Polski plemię
Od nieszczęść... od upadku zachowaj tę ziemię

i ostatnią pociechę znajduje w tem, że przynajmniej ginie „nie z Polaka ręki.“ I to ma być bohaterka dramatu, która nas pobudza do spółczucia, to kobieta poetycznie pojęta, przedstawicielka kobiecości? Więc dobrej Polce nie wolno nawet przy śmierci pomyśleć o sobie, zwłaszcza przy śmierci gwałtownej pozbawiającej ją tego co było treścią jej życia? Nie wolno pamiętać, iż oprócz, że jest Polką, jest także żoną i że umierając zostawia męża, kochającego ją do szaleństwa, męża, którego przyszłość przez śmierć jej będzie zwichniętą? Przecież nikt nie uwierzy, żeby głównym celem jej życia było szczęście ojczyzny, żeby w patryotycznych tylko zamiarach pokochała króla i została jego żoną, szukając jedynie sposobności uszczęśliwienia narodu I jakże mamy boleć nad jej losem, kiedy ona sama nie pokazuje, żeby ten los ją bolał? Nieszczęście wzrusza o tyle, o ile w dotkniętym wzbudza uczucie przykrości, nie uczute przestaje prawie być nieszczęściem, i nie zdoła w nas zrodzić współczucia, bo nie mamy z kim współ czuć. To też istoty wyższe nad cierpienie, w najtragiczniejszych sytuacyach pobudzą nas do uwielbienia, podziwu — serce zostawią zimne. — Tak więc interes, w pierwszej połowie sztuki stosunkowo wcale żywy, znacznie słabnie przy końcu, nieledwie całkiem niknie.

Już to przyczynia się w ogóle do tego, prócz wad w przeprowadzeniu charakteru bohaterki, wiele innych powodów.

Wspomnę tu tylko widoczne rozwałkowanie niedostatecznej fabuły, aby między aktem 3cim a 5tym mieć czem zapełnić akt 4ty: ten sąd sejmowy, sprzeczność między orzeczeniem izby poselskiej a izby senatorskiej, całą tę kolizyę i oczekiwanie, bez którego nie tylko widocznieby się obeszło, lecz nawet rzecz sama wiele byłaby zyskała. A potem i śmierć Barbary niespodziewana. Wprawdzie, chcąc koniecznie, można wyszukać w całej tragedyi dwie lub trzy wskazówki, że Bona ma jakieś złe zamiary, lecz tak są niewyraźne — n. p. wzmianka o Montym, o którym trzeba wiedzieć, że ma być lekarzem nadwornym, aby się domyśleć, co znaczą jego „środki“ — zresztą tak mało zwracają naszą uwagę, że istotnie śmierć Barbary zastaje nas zarówno nieprzygotowanych jak króla i Barbarę samą. Owszem wiele szczegółów daje nam prawo przypuszczać do samego końca, że Bona widząc swą bezsilność złożyła broń a wyjeżdża z kraju, aby oddalić się od świadków swej przegranej; i nawet trudno zaprzeczyć, żeby umyślne odwrócenie naszej uwagi w tym kierunku nie leżało w zamiarze autora, który sądził zapewne, że taka nieprzewidziana śmierć bohatera podwyższa efekt sztuki teatralnej. Wstrząsa ona rzeczywiście jak każdy przestrach, ależ w tragedyi nie o przestrach chodzi, i słusznie możemy razem z Lessingiem [1]) zapytać, czy zamiast zyskiwać nie traci na niespodziankach interes do losu bohatera przywiązany? Nie większążby obawę wzbudzał los Barbary, gdybyśmy widzieli przygotowania robione do jej otrucia, wiedzieli o mieczu Demoklesa wiszącym nad jej głową ciągle, nawet śród tryumfów? niepotęgowałożby to naszego spółczucia? Tak zaś mamy niespodziankę, o tyle przykrzejszą, że jest smutna, mamy niezadowolenie, żeśmy oszukani, że daliśmy się łudzić nadzieją szczęścia Barbary. Tradycya bowiem, według której Barbara była otrutą przez Bonę, nawet gdyby była prawdziwą, nie mogłaby dla nas mieć znaczenia, gdy chodzi o utwór poetyczny.

Przez okrycie zamiarów Bony jakąś zasłoną tajemnicy, stracił się wreszcie nader ważny efekt, interes jaki wzbudzać

---

[1]) W rozbiorze Meropy Woltera — Hamburgische Dramaturgie.

zwykło tragedyi działanie przeciwgraczy, nieprzyjaciół bohatera. Lubo bohaterowi życzymy zwycięztwa, przecież plan jego przeciwników, plan skrzywdzenia lub zgładzenia osoby nam sympatycznej musi interesować w tragedyi choćby tylko dlatego, aby wzniecić obawę o zagrożonego bohatera i zwiększyć współczucie dlań, i ściąga też jako płód rozumu zwykle w wysokim stopniu naszą uwagę. Otóż o interesie wynikającym ze śledzenia tego planu w tragedyi naszej ani mowy być nie może. Zamiary Bony nie są nam wcale zrozumiałe, przygotowania do ich wykonania cofnięte na drugi plan, samo otrucie Barbary — może dla oszczędzenia nerwów widza — całkiem ze sceny wygnane. A więc na cóż pierwsza połowa działania Bony rozwija się w naszych oczach, na cóż usiłowania jej pozbycia synowej, podstępy, namowy intrygi i podburzenie rokoszu — jeżeli potem zostawieni w niewiadomości reszty działania, mamy mieć sami równe niespodzianki jak osoby dotknięte?

Feliński nie był pierwszym, co w formie dramatycznej użytkował ten epizod historyi polskiej; był taki, który już na 30 lat przed nim to uczynił. Znajduje się w niektórych bibliotekach książeczka mała, niepokaźna, wydana r. 1787, a nosząca tytuł: *Zygmunt August* tragedya w pięciu aktach. Na pierwszy rzut oka uderza nas w niej zły papier, ohydny druk, niegodziwy wiersz i język [1]) i mnóstwo wykrzykników, pauz i kropek w tekscie. Ale niezrażajmy się, może treść będzie lepsza od formy.

Niestety, już sama przedmowa wystarcza do dania nam pięknego wyobrażenia o zapatrywaniach autora na sztukę. Chodzi mu, jak powiada, o naukę i poprawę serca Polaków. Z tym wzniosłym zamiarem szukał „bohatera, którego męztwo, „serce ludzkości pełne, rozum istotnej doskonałości uprosto- „wany światłem, przewyższył nieszczęście całemu państwu gro- „żące upadkiem.“ Pragnie aby tegoż cnoty do naśladowania

---

[1]) Wystarczy przytoczyć wzięte na chybi trafi wyrażenie: „krwi od wieków panownej Jagiełłów i Piasty,“ „święci“ jako comp. od przysłówka święcie, „jeszcze — miejsce“ jako rym.

zachęciły, przeciwników jego zbrodnie od podobnych odstraszały; i ma nadzieję, że „gdy własnego pana i współbraci... los przed oczy stawia“ Polakowi, żywiej go tem zainteresuje niż powieścią z innej historyi wziętą, i że pokazawszy wymownie „czem się utrzymuje a co gubi ojczyznę, rzeczywistego patryotyzmu skreśli prawidło.“ A za najważniejszą korzyść uważa, że „tym sposobem cnotliwy rodak chwałę, występny zaś naganę odbierają“ i to w sposób delikatny, nieprzykry. Warto to wszystko zestawić z owym pewnikiem estetycznym tak zwięźle przez Schillera w jednej z rozpraw wypowiedzianym, „że poezya powinna szukać nie obywatela w człowieku, lecz człowieka w obywatelu.“

Przy takich wyobrażeniach, niezadziwi nikogo, że autor przeładowawszy swą sztukę sentencyami moralnemi i przestrogami politycznemi (co na przededniu sejmu czteroletniego mogło nawet być nie bez pożytku) sądził, iż wielkiej rzeczy dokonał, lubo jako dzieło sztuki „tragedya“ jego tylko komiczne wywiera wrażenie.

A naprzód powiedzmy, nie jest to tragedya w dzisiejszem znaczeniu wyrazu; kończy się nie śmiercią, lecz tryumfem, koronacyą Barbary. Autor bowiem tak sumiennie przestrzegał reguł klasycznych, że zastosował się i do owego przepisu Aristotelesowego, iż najlepsza „peripeteia“ w tragedyi wtenczas jest, gdy się nieszczęście przy końcu na szczęście przemieni. Nie wiele pomogła autorowi ta skrupulatność, a ileż razy na złe mu wyszła! Dla trzech jedności tyle ważnych wypadków i czynności, jak sejm, bunt, walka, odjazd Bony, koronacya w jednym podobno dniu się odbywa; a w jednym i tym samym pokoju czy przedpokoju radzi król z ministrami, rozmawia Barbara z powiernicą, intryguje Bona, spiskują nawet rokoszanie, (jak w Cinnie Corneilla jeźli się nie mylę) i zamordowują jednego ze stronników królewskich, chronią się wreszcie przywódzcy rokoszu podczas walki, aby radzić nad planami dalszego boju.

A co za charaktery, co za działacze! Główna osoba, ten Zygmunt August ideał męża pod pantoflem, i który wśród największych kolizyi, nigdy nie wychodzi z karbów salonowej przyzwoitości, a te dwa razy kiedy się uniósł w akcie 5tym jedno słowo Barbary natychmiast go uśmierza, i znów staje

na piedestale, na którym go jako wzór monarchy chciał autor postawić, i tylko się ciągle obawia, aby z niego nie spadł, myśli o tem, mówi, swych doradzców zawsze o przestrogi prosi; ten Kmita „drugi Catilina,“ złoczyńca bez czci i wiary z początku sztuki, tak jak potem niewiedzieć też dlaczego poprawia się, korzy i staje się stronnikiem swych nieprzyjaciół; i Bona wystawiona jako furya jedynie krwi i zemsty chciwa, która nie mówi ale pluje najstraszniejszemi groźbami i przekleństwy („piekło, pioruny wściekłe, tygry (sic), krokodyle“) podobna więcej do starego rozbójnika niż do córki książęcego domu; że już nie wspomnę o Swętosławie, wzorze szlachetności w frazesach i traktatach o wolności, swawoli, niezgodzie etc. i Tarnowskim lub Maciejowskim, konwencyonalnych typach nieskazitelnych patryotów i nieomylnych mężów stanu — wszyscy, wszyscy są figurami, jakby przez patron malowanemi, bez świateł i cieniów, bez śladu podobieństwa do ludzi, a co gorzej bez najmniejszej konsekwencyi w czynach i loiki w mowie.

Najlepiej się o tem przekonamy, przypatrując się z bliska głównie nas obchodzącej Barbarze. Z tytułu sztuki sądząc nie jest ona bohaterką tragedyi, nie ukazuje się też aż w drugim akcie, gdy już wiemy, że rzecz dzieje się w Piotrkowie podczas sejmu zwołanego po śmierci Zygmunta I Zdaje się, iż za główne zadanie postawił sobie autor ciągłe niespodzianki. Wypadki, słowa, zmiany wewnętrzne w usposobieniach osób, wszystko i zawsze nie umotywowane.

Zaledwie wystąpiła na scenę Barbara, jeszcze nic nie wie o grożącem niebezpieczeństwie, gdyż podobno dopiero co do Piotrkowa przybyła i nikt jej nie powiedział o opozycyi sejmowej — a już jest zmieszana, niespokojna. Szukając króla, nie widzi obecnego na scenie Tarnowskiego; spostrzegłszy go zaklina na przyjaźń, aby powiedział, gdzie się August znajduje, a wymijające odpowiedzi hetmana zaraz ją naprowadzają na domysł, że on jest na sejmie, gdzie straszne jakieś rzeczy się dzieją. Z tych jednak przeczuć, z obawy spisku, z tego przerażenia, by ją wyprowadzić, wystarcza kilka słów hetmana. Nie tylko się uspokaja, lecz wpadając w drugą ostateczność, zaczyna wyrzucać sobie brak zaufania w opiekę Boga i szlachetność narodu, szarpana skrupułami rzuca się na kolana, wzywa śmierci etc. etc.

Ten sam proces, tylko na odwrót odbywa się w scenie następnej: Tu naprzód oddaje się różowym złudzeniom, nie wiedzieć zkąd ma jakby widzenie, w którem ogląda Augusta w apoteozie, otoczonego życzliwymi poddanymi, czczonego i kochanego od całego ludu — i znów kilka nic nie mówiących słów Zabrzezińskiej (nieuniknionej powiernicy) pogrąża ją naraz w bezdenną rozpacz. Aby nie być posądzonym o pessymizm w krytykowaniu ciągłem i wszystkiego przytoczę dosłownie całą tę scenę między Barbarą i powiernicą.

Barbara.

Nic mi na to nie mówisz? czemuż z twoich oczy
Nie dosyć czytam radości, czemuż się nie toczy
Z ust twych ta słodycz, którą przyjaźń sączy szczera?

Zabrzezińska.

Nigdy się dla mej pani serce nie zawiera
Lecz przyczyny nie taję mego zasmucenia
Że często wpadasz w rozpacz...
B. Nie czyń zadziwienia.
Pomieszanie co widzisz, któregoć nie taję
Jest rzeczą przyrodzoną w szczęściu co doznaję.
Zważ sama co dziś czyni wszechwładna prawica,
Gdy mnie na tron postawia zrodzoną z szlachcica!
Wdzięczność... bojaźń...
Z. Zna niebo dla Polski być szczęściem
Gdy cię tronem Augusta zdobi i zamęściem.
B. To prawda, gdybym serca ludzkiego nie miała,
Bojąc się być okrutną, tronu bym nie chciała.
Acz ufam dnia nie będzie, abym dla ludzkości
Wymódz łaski nie miała na królu z miłości.
. . . .
Z. Więc aby żyła Polska, szanuj własne zdrowie,
B. Prawda... lecz kiedy...
Z. Znowu... cóż mi pani powie?
B. (w niespokojności) Ach pódźmy już...
Z. Dokąd?
B. Powiedzieć nie umiem...
Już się sejm... zacząć musiał...
Z. Tak i ja rozumiem...

B. Gdyby można jak wiedzieć...
Z. Co chce wiedzieć pani?
B. Co August... co się dzieje...
Z. Hołd pełnią poddani.
B. Drżeć zaczynam... co słyszę... chód ciężki... poziemny...
Co znaczy... czy się zbliża... tu dziwotwór ciemny...
Albo też starość jaka... czołga się zgrzybiała...
Czy duch wieszczy mię straszy... ginąć żebym miała?
Z. (postrzega Bonę) Ach pódźmy... lecz zkąd bojaźń...
pódźmy jednak raczy...
Pódźmy Pani.
B. Idę... lecz... w bojaźni... w rozpaczy...

Po tej próbce stylu, dyalogowania, konsekwencyi i loiki, słowem wszystkich zalet, które charakteryzują całą sztukę, wolno mi będzie podobno dyspensować się od wchodzenia w szczegóły przedstawienia Barbary. Występuje ona w dalszym ciągu tak jak i dotąd, jedynie aby z swych trwóg, rozpaczy, tęsknoty i zwątpień zwierzać się Zabrzezińskiej; i bez tej powiernicy nie miałaby nawet racyi bytu, a my nicbyśmy się o stanie jej serca nie dowiedzieli, co byłoby przecież zbyt wielką stratą.

Zabawną jest scena jedna w 3cim akcie, gdzie znowu Barbara niewiedzieć czemu okazuje się najstraszniej rozdrażnioną, a Zabrzezińska tak jak tam niecierpliwiła nas niemądremi pytaniami i głupszemi jeszcze odpowiedziami, i tu uspokaja królowę bez najmniejszej wiary w to co mówi, i dziwi się niby jej bezpodstawnej niespokojności, wiedząc wszakże dużo gorsze rzeczy niż Barbara i nie umiejąc dobrze ukryć swej obawy. Nareszcie po długich gadaniach dowiadujemy się, że Barbarę zaniepokoiły właściwie pieszczoty i zapewnienia króla o niewzruszonem przywiązaniu. Wracał z sejmu, pewno musi coś złego zagrażać, kiedy taki czuły, najprędzej że, „kochanie najsłodsze“ jego dla niej ustanie. Uwagi i napomnienia powiernicy, Barbara w zapale przerywa:

Dosić! (sic)
Próżnie mię cieszysz... próżnie chcesz radzić czy prosić.
Tysiąc w sercu wieszczb czarnych jedna drugą snuje
Pozwól niech cię raz jeszcze... pozwól... ucałuję! (odchodzi).

To: niech cię ucałuję, jest wyborne; jak równie, że pomimo nawiasu królowa bynajmniej nie odeszła, dyalog ciągnie się dalej, następują wyrzekania na wrogą „fortunę“ i jeszcze raz Barbara chce odejść i jeszcze się wraca, aby wygłosić bohaterskie postanowienie:

Zprzysięgły się... ziemia i obłoki,
Bym nieszczęsna ginęła najdzikszym sposobem
Od serca... kraju... tronu... oddzielona grobem!
Zginę, to obok króla... zrzucę jedwabnicę,
Zrzucę miękkość niewieścią, a wdzieję przyłbicę.

Co znaczą te sprzysiężone obłoki? czy można zginąć mniej dzikim sposobem niż śmiercią? zkąd ten strach i poco to męztwo? Któż wytłomaczy?

Nareszcie reflektuje się Barbara, mówi do powiernicy:

Sama nie wiem... ach daruj... niewiem com mówiła...
Czuję tylko... na siłach... żem się osłabiła...
Pójdę zatem w pobliższe schronić się pokoje,
Tu się wrócę... jak oschną łez i potu znoje.

Teraz już odchodzi na prawdę. Poco? Z następnej sceny dowiadujemy się, że po to, aby Zabrzezińską zostawić samą na przybycie hetmana, który jako człowiek delikatności pełen nie wygadałby się pewno w obecności królowej ze swych obaw o jej losy. Barbara wróci, nie gdy „oschną łez i potu znoje,“ tylko po prostu gdy Zabrzezińska z hetmanem się rozmówi; wszak taka wysoka osobistość jak królowa, bądź co bądź, nie może się prawdy dowiadywać wprost; co najwięcej za pośrednictwem powiernicy. A ta prawda musiała być bardzo przykra, gdyż usłyszawszy relacyę powiernicy, Barbara wybiega, chcąc szukać śmierci z rąk „zdrajców.“

Nie szukała jej snać szczerze, gdyż mimo podniesionego otwarcie buntu, mimo planów Bony, która jakiegoś posła (nie ambasadora, tylko sejmowego deputowanego) Greka (tak się nazywał) namawia do usunięcia z drogi Barbary, widzimy ją na nowo w akcie 4tym, gdzie znów wybiega ze sceny z zamiarem samobójstwa.

I tak, nie zważając na uspokojenia mężowskie, że tylko

Było kilku przeciwnych, ale bo ich zwiedli,

ani na równie przekonywujące groźby jego, w których obiecuje „szczerbiec“ podnieść przeciw buntownikom, szukałaby śmierci bez końca i wybiegałaby ponownie, gdyby nie to, że wreszcie już nie może, albowiem zbyt jest zmęczona, zbyt wycieńczona.

W piątym akcie tak sama maluje stan swój wewnętrzny:

Ach! szczęśliwam... krew stygnie... serce zmiennem biciem...
Znak daje... że się z światem... że mam rozstać z życiem!
Zmysłów słabną sprężyny... oko... ćmi się mrokiem...
Już do grobu... się zbliżam... słabym drżącym krokiem,

i pociesza się tylko tą skromną nadzieją, że przez śmierć jej „August... Polska będzie żyła.“

To przeczucie śmierci miało wszakże pewną podstawę; nie umiera Barbara wprawdzie, lecz właśnie wkrótce wyskoczy na nią z ukrycia Bona z nożem w ręku i ułatwiając trudne konanie, utopi go w jej sercu — nie, rzuca go tylko zdaleka, a nie będąc widać wprawną w tę sztukę, chybia; mimo to królowa pada. Zjawia się w tej samej chwili August, jak deus ex machina, bo przecież miał udać się do walczącego wojska. Widok zemdlałej Barbary wprawia go w szaloną złość, jak równie i Tarnowskiego, który przybywa z wiadomością, że buntownicy odstąpili od swego zamiaru, i bez bitwy zdają się na łaskę i niełaskę króla. Dlaczego? Niewiem. Następuje audyencya, w której Kmita, przywódca rokoszan opowiada jak uległ wraz z towarzyszami namowom Bony, co króla niesłychanie rozjątrza przeciw matce, lecz na próżno, bo właśnie wyjechała za granicę. Tymczasem Barbara przyszła do siebie, a na żądanie nawróconych buntowników prowadzi ją król na pokazujący się właśnie „w głębi teatrum“ tron; zdziwionej tym nagłym zwrotem rzeczy, mówi Kmita z grzecznym ukłonem: zpowodowały go „twe cnoty.

Ale ostatecznie któż „popełnił“ to *curiosum*, które miałoby się wielką ochotę nazwać najnędzniejszym ze wszystkich utwo-

rów o Barbarze, gdyby nie... smutne przekonanie że jest kilka innych, równie lichych.

Imię Wybickiego jako poety nie postało w podręcznikach historyi literatury polskiej. A jednak mąż ten znakomitą grający rolę polityczną za Księstwa warszawskiego, potem prezes sądu najwyższego — w wolnych chwilach próbował sił swoich też w poezyi, i *incredibile dictu* on to ma zasługę, że pierwszy z pisarzy obrał sobie za przedmiot dramatu historyą Radziwiłłównej. Jakaż szkoda, że zacny wojewoda nie poprzestał na sławie, którą mu zapewniało samo już wysokie w kraju stanowisko i słynny rozum stanu!

W roku 1822 wyszła z druku w Krakowie *Barbara Radziwiłłówna*, tragedya wierszem w 5 aktach, przez Franciszka Wężyka późniejszego kasztelana Senatu Królestwa Polskiego i długoletniego prezesa krakowskiego towarzystwa przyjaciół nauk. Napisaną była o wiele wcześniej, bo już rok 1811 jak się z niedrukowanych własnych pamiętników autora dowiadujemy. Z kolei wypadałoby nam o niej teraz mówić — i ze wszech miar interesującem byłoby porównanie jej z Barbarą Felińskiego, oba bowiem dramaty jako płody tej samej epoki literackiej pod wielu względami są sobie pokrewne, choć znów w pojęciu przedmiotu nie małe między niemi zachodzą różnice.

Jednakowoż gdy nawet prawo, uważa za niestosowne aby najbliżsi krewni występowali w roli sędziów w obec krewnych — przeto i mnie niepodobna stawiać się na stanowisku krytyka w tej materyi, choćby tylko dla tego, że nie mógłbym uniknąć zarzutu stronniczości. Zostawiając więc, lubo z uczuciem żalu, zadanie to obcym piórom, ograniczę się na krótkiem określeniu nowego tego ogniwa, w szeregu przedstawień Radziwiłłównej, i powiem, iż przeważnym rysem charakteru Barbary Wężyka jest patryotyzm, który w całej jej roli bezwzględnie góruje nad przywiązaniem do Augusta.

Streszczeniem jej usposobienia i działalności jest ostatnia wola umierającej królowej, którą hetman razem z wiadomością o jej skonie Augustowi przynosi, oto, żeby miłość ku niej, teraz całą ku ojczyźnie zwrócił i złączył „Polskę z Litwą węzły wieczystemi,“

Tego do szczęścia kraju nad wszystko potrzeba
Rzekła, i czysta dusza przeniosła się w nieba.

Ale najdosadniejszego typu wszystkich Barbar patryotycznych dostarczył nam A. E. Odyniec w bohaterce swego „poematu dramatycznego“ p. t. *Barbara Radziwiłłówna* czyli Początki panowania Zygmunta Augusta [1]). Pierwsze uczucie jakiego doznajemy biorąc tę książkę do ręki, jest przerażenie jej rozmiarami. Dramat w 6 aktach z prologiem, wypełniający 233 stron in 8-vo, czyż to nie jest coś bajecznego? Lecz pisał go Odyniec, więc mimo strachu każdy w końcu przeczyta. Czy przeczytawszy będzie zadowolony? to inne pytanie.

Jakże pojęta jest sama Barbara? Dowiadujemy się o tem już z przedmowy, wymownej, obszernej, mającej wiele rzeczy dowodzić, a dowodzącej właściwie tylko jednego: że zapał poetycki czasem jest bardzo złym przewodnikiem w ocenianiu historyi. Zestawia tam autor Barbarę z Jadwigą i w ten sposób porównanie motywuje: „Jest w nich coś symbolicznego, „co do imaginacyi przemawia, coś wspólnego w ich przeznaczeniu, co cześć i litość wzbudza. Jadwiga królowa polska „obok pierwszego Jagiełły, za którego się unija dwóch narodów zaczyna: Barbara, księżniczka litewska obok ostatniego „z Jagiełłów, pod którym się ta unija ostatecznie spaja, mogłyby wyobrażać Polskę i Litwę przez miłość z rodziną Jagiełłów i przez nich z sobą zbliżone. Dziedziczka samowładnych Piastów oddająca się sama pod rząd woli męża, mogłaby „ujść za symbol władzy królewskiej w Polsce, która w tym „właśnie czasie dobrowolnie pod prawo przechodzi. Obywatelka „z łona równości narodu na tron wyniesiona, a z zawiścią „i dumą tegoż narodu walcząca, czyż nie jest jakby wyobrażeniem i wróżbą władzy i losu obieralnych królów wnet po „niej nastąpić mających? Jedna i druga występują na scenie „dziejów jako pośredniczki między narodem a tronem, i w każdej z nich wyraża się niejako odmienny stosunek przewagi „królewskiej z narodową. Jadwiga religijnością i wyższem „ukształceniem umysłu i serca łagodzi dzikość nowo ochrzczonego króla dla narodu, i nawzajem przez naród przeciw po-

[1]) Wydany został w Wilnie 1858 r.

„dejrzliwości jego jest bronioną; Barbarę miłość małżonka „i króla broni przeciw wyniosłej dumie narodu, i nawzajem „łagodna jej cierpliwość i boleść miękczy hardość szlachty dla „króla. Pierwsza łączy tron z narodem, druga króla ze szlachtą, „obie naród z narodem. Obie piękne, tkliwe, kochające i do „poświęcenia się skore. Jadwiga wyrzeka się kochanka i szczę- „ścia, aby zwiększyć potęgę narodu; Barbara gotowa zrzec „się męża i korony, aby zgodę w narodzie utrzymać...“

Ile twierdzeń o Barbarze tyle fałszów historycznych, których nawet zbijać nie warto, bo przecież już minął ten czas w którymby ktoś mógł uwierzyć, że Barbara była „pośredniczką między narodem a tronem,“ że „cierpliwość i boleść jej zmiękczyła hardość szlachty dla króla,“ że chciała się „zrzec męża i korony, aby zgodę w narodzie utrzymać“ i nikt teraz nie będzie sądził, że miała jakąkolwiek wspólność ze sprawą unii. A prawda, znalazł się w ostatnich czasach ktoś taki, przynajmniej nie Polak.

Jest bardzo blisko nas, tuż przy granicy, naród pochodzeniem i mową blisko z nami spokrewniony, o którym mimo tego wszystkiego nic prawie nie wiemy — prócz, że okazuje wielką zdolność do wprawiania szyb i drutowania garnków. A przecież Słowacy od pewnego czasu mają swoją literaturę, mają swych poetów. Zdarzyło mi się spotkać niedawno słowackie pismo zbiorowe wydrukowane w Peszcie r. 1869, p. t. *Minerva, narodni Zabawnik* i w niem (co za zdobycz dla piszącego o Barbarze) między innemi gatunek poematu epicznego z napisem: Radziwiłłówna, królowa polska. Poemat ten zdradza tak grubą nieznajomość historyi, że istotnie przyznać trzeba, iż stosownie umieszczonym został w „Zabawniku.“ I nie umiejąc ocenić słowackich piękności poetycznych, możebyśmy wcale nań nie zwracali uwagi, gdyby nie to, że tak jak cała książka został ułożony na „trzechsetletnią pamiątkę lubelskiej zgody.“ Ślub Augusta z Barbarą robi autor symbolem „zaślubin Litwy z Polską“ i kładzie w usta królowi te słowa do żony:

W tej chwili Wilno się spoiło
Z Warszawą, žadna nie przeszkodzi siła
Byś się więc nie stała obu królową.

Dla czego „z Warszawą,“ tak mało sobie umiem wytłomaczyć, jak czemu Knyszyn ma być miejscem śmierci Barbary, i wiele jeszcze podobnych szczegółów. Bądź co bądź, miło jest przekonać się, że naród, którym my tak mało się zajmujemy, przecież nasza historya obchodzi, że nawet nieszczęścia nasze i przeszłość nasza, serdecznego tam doznają współczucia.

Lecz wracając do Odyńca, powiedzmy, że przynajmniej co do porównywania Barbary z Jadwigą, nikt tak daleko nie zaszedł, nikt tej myśli tak nie rozwinął — ale zarazem też i własnemi argumentami nie dostarczył broni do jej zbicia, jak to on uczynił w przedmowie. Mojem zdaniem cierpienie Barbary było o wiele tragiczniejsze od losu Jadwigi, gdyż było mimowolne, nie miało cechy poświęcenia się. Lecz autor, chociaż treść, w której dość wiernie idzie za historyą, sama go na takie pojęcie rzeczy naprowadzała, koniecznie chciał swoją bohaterkę uczynić tryumfującą nad własnemi uczuciami i przez to znacznie osłabił efekt, jaki mogłaby czynić.

Niedość, że poeta usiłuje nadać jej podobieństwo do ostatniej z Piastów, że kładzie swoje zdanie w usta n. p. obywateli wileńskich którzy mówią:

Będzie to druga królowa Jadwiga,
A to co tamta zaczęła przez wiarę,
Bóg daj niech miłość skończy przez Barbarę,

ale Barbara sama wie i mówi o tem swojem podobieństwie.

Miałbyż więc dla mnie z Jagiełłów ostatni,
Dwóch wielkich ludów zrywać węzeł bratni?
Co spoił pierwszy, co święta Jadwiga
Krzyżową serca kupiła ofiarą?

zapytuje ona na wiadomość o trudnościach jakie związek napotkał w Koronie; i zaraz dodaje:

Lecz wzór mój ona. Jej siła mię dźwiga,
Ona mi będzie przed obliczem Bożem
Moją patronką i aniołem stróżem;
I w niej nadzieja, że zjedna u nieba,
Że gdy czas przyjdzie a ofiary trzeba
Spełnić ją zdoła moja własna wola.

I obok tego heroizmu spotykamy u niej zaraz na początku niesłychane poddanie się woli Boga, poddanie wskutek którego miłość jej do Augusta wydaje się wcale słabą. Już naprzód, sama przygotowuje się na rozdział z mężem, i znajduje tylko ewangieliczne słowa: „Panie, stań się wola twoja!“ A w nadmiarze pokory wyrzuca sobie jako grzech uczucie, na którem jedynie może się opierać cały interes dramatyczny:

Biada! kto w drugim siebie jeszcze kocha,
Nie Ciebie tylko! — Biada mi, żem płocha
Pragnęła gwiazdy z nieba! — Tyś mi onę
Zrzucił — i czuję, że w jej ogniach spłonę.

Jeszcze gorsze wrażenie sprawia następna scena witania z Zygmuntem Augustem w Wilnie. Ta kochanka-żona po siedmiomiesięcznem rozłączeniu, odpowiadająca na czułości męża uroczystą tylko powagą, spowiedzią ze swych urojonych win i uchybień:

Młodości,
Niedoświadczenia, próżności, miłości,
Co nie śmiąc ponieść, tknąć śmiała ofiary,
Która nie była dla niej,

dająca napomnienia mężowi, jak ma będąc królem spełnić wolę Pańską, mówiąca, gdyby kaznodzieja o wyrzeczeniu się siebie, o obowiązkach, o śmierci dla świata, i odrodzeniu przez pokutę i zmartwychwstaniu z samolubstwa — taka kobieta nawet jako święta wydawałaby się zbyt egzaltowaną, nienaturalną, studziłaby nasz interes, a cóż dopiero jako bohaterka dramatu! Z całą cnotą swoją jest ona w końcu nużąca; i ten zarzut główny stosuje się do całego bezmała przebiegu jej roli.

A te ustawiczne alluzye do Jadwigi! Zygmunt August z okazyi unii powiada:

Skończę co zaczął Jagiełło,
Jego Jadwiga, mnie wesprze Barbara.

W akcie drugim mieszczanie krakowscy mając przyjąć w swem mieście nową królowę, przygotowują jej w upominek książkę do modlitwy Jadwigi, przechowaną w ratuszu. W trzecim znów akcie Barbara mając wjechać w granice Korony,

przejęta obawą, wzmacnia się wprawdzie modlitwą i spowiedzią, lecz mimo zdania się na wolę Boga, z którem mówi:

A wszystko reszta niech mi się tak stanie,
Jak chcesz i każesz Wszechmogący Panie!

nie może całkiem pozbyć się wzruszenia przykrego, aż dopiero przywraca jej pogodę umysłu wezwanie:

Duchu Jadwigi! ty przybądź mię wspierać.

I tak dalej i dalej. — Doprawdy choćby one podobne były do siebie jak rodzone siostry, jeszczeby nas to ciągłe przypominanie niecierpliwiło; o ileż więcej, jeżeli za każdym razem mimowolnie się zapytać trzeba: ale cóż za związek poeta między niemi upatrzył?

Cały ten akt trzeci poświęcony jest odmalowaniu nam Barbary w rysach najpochlebniejszych. Naprzód nabożeństwo i spowiedź, łaskawe i życzliwe obejście się ze spotkanemi wieśniaczkami; potem pełne serdeczności przywitanie z towarzyszką młodości Anną Mielecką, która wyjechała na przyjęcie królowej, i której ta każe sobie po dawnemu mówić ty; tkliwa pamięć o starej piastunce; jednostajność i pokój ducha mimo tak dziwnej zmiany losu; cierpliwość w doznanych przykrościach i upokorzeniach, o których nawet mówi bez śladu goryczy; wreszcie skwapliwość z jaką zainteresowała się losem poleconej jej sieroty Doroty Podlodowskiej, i pragnącego pozyskać tejże rękę, lecz ubogiego Jana Kochanowskiego: wszystko to ma serce czytelnika dla bohaterki jednać.

W tym też zapewne celu wtrącony jest epizod, w którym dobroć Barbary znajduje piękną sposobność do objawienia się. Podczas pobytu Radziwiłłówny w Łukowie, wytropiono tam właśnie najemnicę Bony Praksedę, która przybyła w celu otrucia młodej królowej. W chwili schwytania, oddała ona przygotowany płyn córce do schowania, a ta dalej ścigana, w ostatecznej chwili zdaje się teraz na opiekę samej Barbary. O bo ona spotkawszy Barbarę kiedyś wychodzącą z kościoła, tak zachwyconą była jej widokiem, że postanowiła bądź co bądź jej życie ocalić; a gdy nie udało jej się przed odkryciem zamiaru odwieść matki od zyskownej zbrodni, chce Barbarze choć późno dać dowód swej miłości, i z całem zaufaniem składa

flaszeczkę z trucizną w ręce tej, za której nieprzyjaciołkę jest poczytywaną. Barbara bez wahania wierzy w jej szczerość, chowa truciznę, i zasłoniwszy dziewczynę przed nadbiegającą strażą, zapewnia jej bezpieczeństwo i wolność.

Odtąd przez cały 4ty i 5ty akt Barbara nie okazuje się działającą nawet w takich drobnych epizodach — tylko przybrawszy napowrót ton kaznodziejski peroruje o wszystkiem, moralizuje wszystkich i przy każdej okazyi. Jeszcze przed rozpoczęciem sejmu połączyła się ona w Radomiu z królem, któremu staje się nader przydatną. W trudnem swem położeniu znajduje August w jej „rzymskiej duszy“ regulatora, niedozwalającego mu z drogi cnoty i rozsądku zboczyć ani w prawo ani w lewo.

Gdy zniechęcony grożącym rokoszem, a do reszty przygnębiony świadomością o zbrodniczym udziale Bony w nieudanym zamachu, chce dla okupienia pokoju i posiadania Barbary zrzec się korony, — Barbara zapala go do męztwa w obronie słusznych praw, odwodzi od wszelkiego ustępstwa, poucza o obowiązkach:

Król-pomazaniec, od Bogaś wziął władzę,
Król obywatel, winieneś krajowi,
Jak prawa ludu zachować ludowi,
Tak i koronie przodków przywileje
Z tego cię sądzić będą Bóg i dzieje.
Zwycięzcą musisz zejść z tej walki pola.

Bojąc się znów, by uniesiony zapałem, nie był zbyt srogim dla przeciwników, dodaje zaraz:

Lecz pomnij królu! że powinność króla
Zarówno w tobie zachwieje lub zaćmi
Słabość przed wrogiem lub zemsta nad braćmi

I troszczy się o środki jakiemi on ma walczyć:

Królu ta walka święta i godziwa,
. . . .
Ale w tej walce oręż twój i zbroja
Jest — Prawdą tylko łamać fałsz we wrogu
Zapomnieć siebie i zaufać Bogu;

i najbardziej go upomina aby pobudka jego była wyższą nad ludzką zwykłą miłość kobiety:

Na twe tylko śluby
Z ojczyzną pomnij! a wszystkie rachuby
Mądrości ziemskiej wszystkie z złem układy,
Odrzuć od serca, jak złych duchów rady.
. . . .
Czyń tak we wszystkiem jakby mnie nie było.

Wzniosłe to są słowa, prawdziwie, zbyt wzniosłe; kiedy tak mówią osoby w dramacie, zapomina się zupełnie, że to mają być ludzie.

Lecz równie niedobre wrażenie sprawia przeczucie śmierci, którem autor chciał dodać poetycznej melancholii swej bohaterce. Jeszcze w tej samej scenie, zaczyna Barbara przygotowywać męża do jakiegoś przykrego zwierzenia, a powiedziawszy mu wiele pięknych rzeczy o rezygnacyi i niezbadanych wyrokach bożych woła: „A więc otwarcie“, i objawia mu, że wkrótce umrze. Prawda, że to daje jej pobudkę do okazania swej gotowości do przebaczenia Bonie, nawet do szlachetnego wstawiania się za nią przed Augustem; że dalej upoważnia ją do długiej tyrady o „chęci ofiary, oderwaniu serca od ziemskich wielkości“, o śmierci i wieczności, o spełnianiu powinności i darowaniu uraz, — lecz zkądże nagle ta pewność śmierci rychłej? Przecież mdłość zpowodowana wzruszeniem lub poetycznie wyrażone uczucie że „w sercu krew trawiącym zdrojem wre oddawna“ nie jest jeszcze dostateczną wskazówką śmierci a otrutą Barbara nie została. W ogóle przeczucia jako nieugruntowane w ogólnych prawach ludzkiej natury (wyjąwszy wypadki przeczuć zbrodniczego sumienia), zły efekt robią w dramacie, tembardziej jeśli nie są urzeczywistnione, jak w tym właśnie poemacie. Wiemy zkądinąd, że Barbara wkrótce umarła, ale dramat sam nic nam o tem nie mówi. Słyszymy tylko, że Barbarę cierpienia „złamały jak kwiat.“ Kochanowski nawet złorzeczy przy końcu szlachcie polskiej, że ją zabiła, lecz my widzimy ją owszem w ostatniej scenie swobodną i ożywioną, nie mamy powodu domyślać się, że „nie będzie dłużej już zdobić ziemskich tronów.“

To przeczucie śmierci nacechowało wszystkie myśli, słowa i uczynki Barbary pewnym smutkiem, którego przytłumić nie zdoła przy sprawach nawet tak związku nie mających z jej losem, jak protegowanie zakochanej pary: Dosi Podlodowskiej z Kochanowskim, lub rozpoczęcie cennym darem składek na rachunek ojczyzny najechanej przez Tatarów. Przy tej ostatniej okoliczności mówi ona:

To u stóp tronu oddaję ojczyznie
Nim ona w zamian o! i w rychlej dobie
Włoży koronę — na mój herb na grobie.

A przecież główny cios dopiero teraz miał dotknąć piękną królowę. Zgromadzone stany na sejmie zamiast zająć się obroną kraju przed Tatarami, uchwaliły królewski „rozwód albo bezkrólewie“. Pełne zamięszania, gwałtowne sceny przy zakończeniu sejmu piotrkowskiego, nakreślone z wiernością prawie historyczną, odznaczają się plastycznem przedstawieniem rzeczy, i należą do najszczęśliwszych w całym poemacie.

Rokosz przeciw Augustowi otwarcie w kraju podniesiony. Pod wrażeniem tego nieszczęścia widzimy Barbarę upadającą w akcie 6tym. Wszystko byłaby zniosła — prócz strasznej odpowiedzialności za pobudzenie braci na braci, za rozlew krwi współziomków. To też jedna chwila dokonała w niej dziwną zmianę. Z łagodnej i cnotliwej Barbary, uderzenia przeciwnego losu zrobiły teraz kobietę idącą rozważnie naprzeciw zbrodni i to jednej z najbardziej przerażających. Odsyła wszystkich od siebie pod pozorem potrzeby spokoju, a zostawszy sama oddaje się strasznej rozpaczy:

A więc? — a więc — już się stało,
Precz co było! — ziemską drogę
Jam już przeszła....

A głusząc budzący się instynkt zachowawczy, stara się wmówić w siebie, że myśl zbrodnicza pochodzi od rozumu, nawet od Boga:

W rozumie przecie widzę jak na dłoni
Że dziś lub nigdy. — Gdy się raz do broni
Porwą na króla, gdzież jest ludzka siła,

By wstrzymać potok, gdy się wyparł z łoża?
Dziś tamą może być moja mogiła,
Jutro już nie czas...

i wyrzuca sercu naturalny strach przed rozpaczliwym krokiem:

Nie! — Bać się? — Czego? Pokoju? lub czego
Żałować? — Męki? Wzgardy? nienawiści? —
Być lub ofiarą lub przyczyną złego?

„Nie!“ woła z determinacyą, „trzeba umierać.“ Nawet wspomnienie o Auguście nie odwiedzie jej od tego co uważa za konieczne:

Milcz, milcz serce!

oto jej hasło.

Z jakąż desperacką radością wydobywa w tej chwili flaszeczkę z trucizną; z jaką rozkoszą ją ogląda:

Pójdź, pójdź, przeznaczeń skazówko i darze!
Matka przysłała — naród przyjąć każe!

i jak lubuje się myślą o skutkach napoju:

Dość odetchnąć! jedno tchnienie —
Ból, żal, trwoga, zamęt, sprzeczność,
Wszystko pokój! — Okamgnienie
Chwila chwili — i już wieczność.

— Tu zatrzymajmy się na chwilę, by się zastanowić nad jednym szczegółem tej sceny. Nagłe postanowienie skrócenia sobie życia, jakkolwiek jest w sprzeczności z dotychczasowemi objawami usposobienia Barbary — da się jednak wytłómaczyć wielkością grożącego złego, gwałtownością walki wewnętrznej. Ale cóż mamy myśleć o bohaterce, gdy się dowiadujemy, że flaszeczka z trucizną, jest tą samą, którą królowej powierzyła córka czarownicy w Łukowie? Jakto, więc Barbara nie dla ukrycia dowodu winy dziewczęcia z taką skwapliwością chowała flaszeczkę do kieszeni, lecz przeznaczyła dla siebie płyn którego „sama woń zabija.“ Inaczej byłaby przecież wstręt czuła do przechowywania go tyle czasu, bo między temi dwoma zdarzeniami dużo wody upłynęło. Więc już wtedy, gdy jeszcze

nie mogła nawet przewidywać, że do takiej kolizyi przyjdzie, więc w sam dzień spowiedzi powstał w niej zbrodniczy zamiar? ta spowiedź była obłudną; rezygnacya, zaufanie w Bogu, wszystko były udane? I te przeczucia złowrogie, właściwie nie byłe przeczuciami, tylko świadomością o niegodziwych planach swoich? Wierzyć się temu nie chce, tembardziej po tylu wskazówkach przemawiających za tem, że autor pragnął zrobić apoteozę Barbary. A przecież inaczej rzeczy wytłómaczyć nie podobna. Jeśli ta okoliczność dla interesu dramatycznego była potrzebna, to w każdym razie bardzo niezręcznie została wprowadzoną w akcyę.

Lecz ostatecznie plan nie został wykonany. Ostatnie słowo monologu, odbija się głęboko w duszy Barbary, reflektując się powtarza ze strachem.

Wieczność i Wieczność! i sąd Boży!
A ja?

Powoli przychodzi do siebie; wezwanie Jadwigi przywraca jej odwagę do życia. Odrzuca truciznę precz od siebie, a skrucha i pokora natchnęły ją do psalmu, który wiele ma lirycznej piękności:

O! nie pomocy trzeba Ci Panie!
Byś świat urządził wedle Twej woli!
Jak piana fali na oceanie,
Przed Tobą losy ludów i króli
Chcesz, a pod niebo wznoszą się z szumem,
Tchniesz — i zapadły w otchłań zaguby
Namże to marnym ziemskim rozumem
Wbrew woli Twojej stawić rachuby?
Namże to bliźnich serca zepsute
Chcieć leczyć samym, nie z Tobą zgodnie,
Nie przez wzór cnoty, żal i pokutę,
Lecz przez swe gorsze grzechy i zbrodnie?
O! przebacz mi Boże!

I tak jak spodziewać się należało, po tej przemianie w duszy Barbary, następuje też zwrot korzystny w jej położeniu. Z formowany już obóz rokoszański przerażony groźnemi

wieściami z Rusi postanawia zamiast wszczynać wojnę domową, obrócić zapał przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny; cała opozycya się rozwiewa, tembardziej, że główny przywódzca Kmita został przez króla przejednany. Po odparciu Tatarów koronacya Radziwiłłownej nie znajduje już przeszkód. Choć na tym tryumfie kończy się poemat, jednak Barbara nie oddaje się radości, zdrowie jej tyloma przejściami podkopane, nie dozwala liczyć na długie jeszcze chwile życia, bo:

Kwiatu co grad złamie
Nie wskrzesi słońce,

Rozumie się że zanim rozstaniemy się z bohaterką, musi nam jeszcze wygłosić kilka pięknych zdań, jak owo o miłości kobiety, która:

Ma być jak słońce, co wszelki dar Boga
Rozradza w mężu w czynów plon obfity

lub nauka tycząca przyszłości Polski.

Duch mój przed Bogiem błagać będzie za nią
By grób mój ziomkom wieczną był przestrogą,
Że godząc w króla, pierś ojczyzny ranią
I że ojczyznę, jak mnie zabić mogą.

Reasumując wrażenie jakie nam Barbara Odyńca zrobiła, powiedzmy że główną jej wadą jest to, że żadnej wady niema. W swem poetycznem uprzedzeniu chciał ją autor widzieć ozdobioną wszystkiemi możliwemi zaletami, a oddalał od niej troskliwie wszelką przywarę i niedoskonałość! kazał jej mówić jak z książki same rzeczy piękne i pożyteczne, naprowadzać wszystkich do dobrego, zrobił też z niej zbiór cnót, ideał rozsądku, wzór moralności, lecz zabił człowieka. Prawda, że raz w chwili desperacyi chciała się otruć, jednak w końcu głos sumienia zwyciężył, rozwaga wróciła i żal nastąpił, a wszak pokusa zwalczona staje się podwójną zasługą, podwyższa moralną wartość osoby.

Ta wzorowość i wyższość nad wszelkie ludzkie popędy i wrażenia jest też główną przyczyną, że Barbara tak bierną

rolę odgrywa w sztuce niniejszej. Zastanawia się nad wszystkiem, mówi i postrzega wiele; nie działa nic, bo rozum nadludzki i uczucie dyktuje jej, że najlepiej cierpieć, znosić, że próżne są wobec Boga wszystkie nasze usiłowania i zabiegi, a najciężej dotknięty i cierpliwy najszczęśliwszym będzie w przyszłem życiu. Stąpając tak eterycznie po ziemi, Barbara też nie może być bohaterką na scenie ludzkich walk, choć na nią i najbardziej pozuje.

A więc któż jest bohaterem sztuki?

Zgodzimy się podobno na trafny sąd p. Lucyana Siemieńskiego, który w recenzyi napisanej w *Dodatku* do *Czasu* niedługo po ukazaniu się tego utworu utrzymuje, że należy on do tych nowoczesnych dramatów, „gdzie duch wieku bywa niewidomym bohaterem.“ Istotnie jestto poetyzowana historya w guście Götza z Berlichingen, tylko że autor Götza był geniuszem, któremu się udawało wszystko, nawet takie próby. W Barbarze Odyńca sceny malujące epokę, sceny życia publicznego jak sejm, oba obozy, bankiet w domu Górki czy Kmity, są oddane z wielką prawdą i życiem, tak, że możemy sobie z nich utworzyć obraz ogólnego charakteru XVI wieku. Za to, gdy się zapytamy o osoby występujące, jak wyglądają? Trudno sobie zdać sprawy. Rzecz cała tak jest skomplikowana (samych par zakochanych jest 3 i trzy też interesy dramatyczne, bo nie wspomnieliśmy o stosunkach miłosnych Papagody, prawej ręki Bony, z córką Praksedy Maryną), treść tak poprzerywana epizodami, taka mnogość obrazów i widoków, że w końcu gubią się motywa działania każdej z osób. Zresztą osoby te nawet nie są charakterami, lecz mówiąc same morały, „aczkolwiek pełne szczytnej głębokości,“ wyglądają z małym bardzo wyjątkiem napozór tylko, na pokrywkę użytą przez poetę dla wypowiedzenia swych zapatrywań na wady charakteru polskiego, na podstawy władzy, na obowiązki panującego, itd.

Dla tych względów poświęcił autor tę organiczność, która jest duszą każdego dramatu. Cały ten labirynt faktów, ludzi, zawikłań, słów i uczuć połączony jest wprawdzie myślą autora, lecz nie prądem akcyi.

A nazwanie rzeczy poematem dramatycznym, zastrzeganie się przed zamiarem utworzenia dzieła scenicznego, nie

może nas wstrzymać od czynienia z tego zarzutu. Darmo, każdego dramatu celem jest nie co innego, jak deski teatralne; każdy, co nie da się przedstawić, rozmija się z swą naturą i musi za to odpowiedzieć przed sądem estetyki, wyjąwszy, jeżeli jest Faustem lub Nieboską Komedyą. Zbyteczne dodawać, że może trochę ostra krytyka jednego utworu bynajmniej nie uwłacza autorowi tak powszechnie znanemu i uznanemu jak Odyniec, który tyle w swoim rodzaju niezrównanych zasług około naszej literatury położył.

(Dokończenie nastąpi).

S. Tomkowicz.

NOTATKI
Z POBYTU W BAWARYI.

Stosunki społeczne.

(Der moderne Liberalismus *v. Eugen Jäger*. — Drobne broszury — Lassalla, Bakunina, Engelsona, Bebla, Liebknechta, Beckera, dzieło Marx'a „Kapital" i własne obcowanie z klasą robotniczą).

Ludzkość cała; pod względem stosunków codziennych życiowych, od których zależy zabezpieczenie najpierwszych naszych potrzeb, potrzeb życia; dzieli się na *chlebodawców*, i tych, *którzy ten chleb przyjmują*. Nie ma człowieka na świecie któryby stał po za obrębem tych dwóch grup. Ponieważ zaś potrzeba podtrzymania życia wiąże się pośrednio lub bezpośrednio z każdą czynnością, a nawet z każdą myślą człowieka, to oczywiście koniecznym wynikiem tego jest, że stosunek tych dwóch grup, czy to w całej ludzkości czy w jej cząstce, w narodzie, musi oddziaływać przeważnie na stan ustroju społeczeństwa: dodatnio lub ujemnie według tego, czy ten stosunek jest dodatnim czy ujemnym, to jest, czy podtrzymując miłość i zgodę, spaja ludzi w grono dzieci Bożych — czy podniecając nienawiść i walkę, rozsadza społeczeństwo. Spojrzyjmy na ten stosunek w Niemczech.

Znanym jest rozwój miast i fabryk na zachodzie, wiadomą w ogólnych zarysach wielka ich mnogość. Sądzę więc, iż nikt mi nie zaprzeczy, że głównym co do fizycznej siły elementem

tu na zachodzie jest ludność zajęta przy fabrykach — robotnicy. Co do liczby może obok niej stanąć ludność wiejska — to prawda — ale nigdy wieśniacy nie mogą mieć takiej potęgi, jak robotnicy fabryczni. Wieśniak przez cały tydzień często nie widzi swego sąsiada, bo obaj pracują na odrębnym kawałku roli, a robotnicy przeciwnie, cały dzień stoją w tym samym budynku, często w tejże samej sali, a więc są w ciągłem z sobą porozumieniu. Następnie wszystkie wieści, czy to z dziedziny wypadków politycznych, czy stosunków społecznych, nie mogą dochodzić tak szybko i bezpośrednio na wieś, jak lotem błyskawicy rozbiegają się po mieście. Ostatecznie wszystkie ruchy całego kraju nie ze wsi biorą swój początek lecz w mieście. Nim wieśniak zwlecze się do miasta, to robotnik już rękę przyłoży, i pokieruje sprawą. Bezwarunkowo więc można twierdzić, że na wszelkie ruchy wewnątrz kraju, a również w wielu wypadkach na zewnątrz, ludność miejska robotnicza będzie miała przeważny wpływ, i wskazanym dopiero przez nią torem będzie musiała pójść za nią ludność wiejska. Największą więc uwagę trzeba zwrócić na miasta i na ten element który od czasu do czasu wstrząsa niemi gwałtownie, to jest, na klasę robotniczą. Nie chcąc więc przerywać następnego ciągu opowiadania, podaję tu naprzód parę rysów tyczących ludności wiejskiej, a następnie przejdę do miast i społecznej kwestyi.

Włościanin bawarski zdrowy, silny, często pięknej budowy nie jest wcale poślednim gospodarzem. Oddawna dzierżąc kawałek gruntu, i nie szczędząc pracy, miał czas, kładąc kamień po kamieniu tak się ciepło opatrzeć, że naszemu chłopkowi ani się śniło o podobnem gospodarstwie. Wioska z dwudziestu domostw wygląda jak u nas miasteczko. Nie spotkałem drewnianej chaty, niemal każda ma jeszcze parę wcale porządnych izb pod dachem, a często bardzo spotyka się piąterko całe pod strychem; w chacie umieciono, czysto, podłoga wyłożona cegłą. Po środku sień, po jednej stronie izba sypialna, po drugiej izba gościnna z ławami na około pod ścianą, ze stołem lub z dwoma stołami po kątach. W głębi sieni drzwi do kuchni. W kuchni ogromne dwa łokcie szerokie i długie ognisko, nad którem zwiesza się duży osmolony komin sparty na dwóch żelaznych słupkach po rogach — to jeszcze odwieczna tradycyjna budowa ogniska. Z kuchni przechodzi się najczęściej do szopy gdzie stoi dobytek

gospodarczy — często kilka i kilkanaście krów, koni, owiec. Szopa wyłożona cegłą, bydło uwiązane na łańcuchach, żłoby zasadne. Chata zwykle zwrócona do ulicy bokiem, a drzwiami wchodowemi do dziedzińca — to także odwieczna tradycya. Na przyczółku zwróconym do ulicy namalowany krzyż lub święty jaki, lub jaki symbol rodzinny, okiennice upstrzone farbami. Na dziedzińcu krynica, w głębi ogród warzywny i tokowisko; oto zwykła włościańska chata. Oprócz tego wznosi się nad wioską dom gminny piątrowy, probostwo i kościół z wieżyczką, na której zegar, często prawda że ze słońcem niewzgodzie, a prócz tego oczywiście gospoda piwna z ogromną kilkunasto łokciową wiechą upiększoną wedle miejscowego gustu. Wieśniak żyje bardzo oszczędnie. Raz będąc na wsi na wakacjach spytałem się wieśniaka czy może mię stołować? — „A cóż my panu damy? my żyjemy cały tydzień ziemniakami i nudlami (rodzaj klusek) i tylko w niedzielę można tu w gospodzie dostać cielęciny.“ Nie chciałem wierzyć, a jednak tak było w istocie i chodziłem o parę wiorst na obiad. Dodam, że wioska ta nie leży wcale na odludziu — nie dalej jak o pół mili od powiatowego miasta. Nic dziwnego, że przy takiej oszczędności wieśniacy dochodzą tu do wielkiej zamożności. Rzadko który nie ma jakiejś sumki złożonej, często w rękach tych, którzy umieją doskonale korzystać z niskiego stanu umysłowego tutejszego chłopka. Każdy niemal gospodarz ma zegarek srebrny z takimże łańcuszkiem, a przy kamizelce i zwierzchniej kurtce dwa rzędy guzików srebrnych często wprost z monety zrobionych. Wśród tychże zdarzają się cenne numizmata. Wieśniaczki noszą na szyi łańcuszki srebrne z ogromną klamrą na przodzie, przy której jeszcze różne łańcuszki wiszą, tak, że często całe piersi okryte srebrnemi ozdobami. Na święto wieśniak ubiera się w sukno wcale dobrego gatunku, wieśniaczki wjedwabne gorseciki, chustki i wstęgi. Nie jeden chłop jedzie do miasta powozikiem małym, jednokonnym wprawdzie, ale na resorach i bardzo porządnym. Słowem włościanin tu tak się zagospodarował, w takim jest dobrobycie, że naszemu chłopkowi ani się marzyło o czemś podobnem. A zaprawdę gdy człowiek popatrzy na ten grunt, na którym i z którego on ten dostatek zdobył, to tylko ramionami wstrząsnąć. W kilku miejscach widziałem tu grunta takie, że często zaledwie dwie trzy piędzi ziemi brunatnej przemieszanej z kamykami stanowi górny pokład,

a pod tem taki szczéry żwir wielkoziarnisty, że choć odrazu na wozy bierz i usypuj drogi pocztowe. A i gospodarka nie bardzo łatwa. Ani myśleć o zaniechaniu nawozu choćby raz tylko, przytem robotnik musi przejść każdy zagon i odrzucić kamyki wyorane pługiem, ostatecznie po siejbie idzie gromada dzieci z miskami na których setki słomek z trucizną na końcu, by w każdą mysią dziurę włożyć kilka takich słomek. Nie wydołałby tu wieśniak pracy, gdyby nie klimat łagodny który mu pozwala często w Grudniu robić w polu. O parę mil od Monachium kilka wiosek żyje w ogromnej części z torfowiska. Patrząc ze wzgórza w słoneczny dzień, tysiące bud bieleje na ogromnym półmilowym obszarze — jak miasto jakie. Mówiono mi, iż takich miejsc jest bardzo dużo w Bawaryi.

Oczewiście, że przy takim dobrobycie trudno przypuścić, iżby ruch społeczny który obecnie wstrząsa zachodnią Europą — owa walka o kawałek chleba, mogła mieć wielki wpływ na ludność wiejską. Wieś zostaje tu jeszcze po za areną walki społecznej i bez żadnego na nią wpływu. Chociaż nie sądzę, iżby to długo potrwało. Wśród tejże samej wioski rośnie coraz bardziej liczba parobków i najemnic (Bauernknecht, Dienstmagd), to jest takich indywiduów które nie mając swego gruntu, służą u wieśniaków gruntowych. Czasami wprawdzie stosunek tych ludzi jest jeszcze patryarchalny, często jednak bywa źródłem sprzeczek bójek, a nawet zbrodni, jak podpalenia, grabieży itp. To więc jest ów żywioł, o któryby mogła zaczepić rodem z miasta kwestya socyalna. Lecz obecnie żywioł ten jeszcze bardzo słaby i niezorganizowany, bo gdy nad którym parobkiem zacięży ręka gospodarza, to wprost rzuca go i idzie o parę mil do miasta by stanąć przy fabryce jako robotnik. Miasto nęci go nadto większą różnorodnością przyjemności i wrażeń. Zresztą i na wsi bywa już nieraz taki nadmiar rąk, że niema często źródła zarobku, a cóż dopiero dzieje się po miastach.

Robotnik fabryczny w mieście bierze przecięciowo dziennie dwa reńskie. U mniej zdatnych do roboty spada ta cena na 1 złr. 30 ct. ($^1/_2$ złr.) u bardzo zdatnych dochodzi 3 guldenów. Ci którzy mają więcej niż 3 guldeny dochodu, są w tak małej liczbie, że zupełnie nie mogą być brani na uwagę przy ogólnym opisie stosunków. Licząc na rok 300 dni roboczych wypada, iż robotnik ma około 600 reńskich rocznego zarobku. Nie chcąc

nudzić czytelnika wyliczaniem szczegółowym cen potrzeb życia, sądzę iż mi zawierzy, że licząc prócz obiadu i kolacyi piwo tytoń i inne drobne wydatki, wyniesie to wszystko dziennie na guldena. Nadmienię tylko, że obiad i kolacya tu wliczone są tak szczupłe, że wystarczyłyby może dla filozofa wychudłego wśród pyłów bibliotecznych, ale nigdy dla robotnika stojącego cały dzień przy ręcznej pracy. Rocznie więc samo nędzne wyżywienie siebie samego kosztuje 365 reńskich. Liczmy tygodniowo pół guldena na łóżko do spania w nieopalonej komórce (Schlafstelle), to jest, na najnędzniejszy nocleg wypadnie 27 reńskich. Oczewiście, trudno wymagać od tego człowieka, by on w święto przez cały dzień siedział w tej komorze. Z konieczności więc musi przesiadywać w piwnej gospodzie, liczę więc na każde święto osobny wydatek na piwo pół guldena, a zatem 30 złr. rocznie. Oto są konieczne wydatki robotnika, które się z góry dadzą obrachować. Razem więc wszystko wynosi około 430 złr. Dajmy na to, że podatki i odzienie wyniosą tylko 30 złr. rocznie, to z całej sumy rocznego dochodu zostanie mu, jeśli jest bardzo oszczędnym co najwięcej 140 złr. na inne potrzeby. Jest to jeszcze dość znośne, zwłaszcza jeśli robotnik nieżonaty.

Ale jakże się zmienia rachunek dla tych, co biorą tylko 1 złr. 30 ct.? a są jeszcze gorsze pozycje. Tak naprzykład czeladnicy szewscy brali tygodniowo od 3—7 guldenów przy 14 do 15 godzinnej pracy codziennej. Taki stan był jeszcze wprzeszłym roku. Posługacze na kolei za całodzienne mocowanie się z węglami, z wozami, brali 54 ct. i nic więcej. Zapewne! to pozycye wyjątkowe — liczba takich nędzarzy jest bardzo określona w stosunku do całej klasy robotniczej, ale nie zapominajmy, że te wyjątki charakteru ujemnego, są sto razy większego wpływu na sprawę społeczną, niż takaż sama ilość wyjątków dodatnich, to jest, robotników pobierających od trzech do czterech złr. dziennie. Serce się kraje patrząc na tę nędzę. Komuż się łza nie zakręci w oku, czytając taką odezwę, umieszczoną w dzienniku może na wyżebranym kawałku kolumny. „Któż się też wstawi za nami robotnikami na kolei? Jak tu wyżyć za 54 ct. przy obecnej drożyźnie. Mówiono nam, że sejm ustanowi dodatek i my biedni (arme Teufel) będziemy brali po 1 guld. 12 krajcarów (oto marzenie nędzarza! jego ideał!) Ale

nadzieją trudno żyć! — Niechże już raz Generalna Dyrekcya zlituje się nad naszym rozpaczliwym stanem!!“

Oto zarobek mężczyzn! Ha! zaprawdę świetny jeszcze w porównaniu do zarobku kobiet.

Praca kobiet to przeważnie białe szycie, praca u modniarek, praca w fabrykach ładunków i cygar, służba sklepowa i kawiarniana. Szwaczka zarabia dziennie 36 krajcarów, to jest maximum biorąc przecięciowo, a zapłata w fabrykach spada do 14 krajcarów. Panna sklepowa w pierwszym złotniczym sklepie — a więc istota, która musi mieć trochę więcej wykształcenia, boby się znaleść nie umiała wobec kupujących, która również musi mieć trochę porządniejszą suknię, bierze jedzenie i 10—15 reńskich miesięcznie. Najwyższa dzienna płaca, to jest przy hafcie złotem i srebrem wynosi 45 krajcarów dziennie. Na jakąż drogę popycha kobietę taka zapłata?

Jakiż wynik z takich stosunków roboczych płci obojga? Bardzo prosty: ogromna liczba bezżennej i niezamężnej ludności, a następnie ogromna liczba ludzi nieznających ojca i matki, których młodość przechodzi w domu podrzutków i sierot. To konieczne następstwo pozycyi materyalnej tej klasy i upadku zasad moralnych, często z całą świadomością wydzieranych z serca tych ludzi. O życiu rodzinnem nie ma mowy, żona tu prawie zawsze ciężarem dla męża, przykrą koniecznością życia. A i wśród tego stadła przypatrzmy się, czy może się rozwinąć ciepło rodzinne, ta siła olbrzymia, na której stoją społeczeństwa wszystkie. Robotnik wstaje do roboty o piątej zrana, o szóstej a często o siódmej wieczorem wraca do domu strudzony. Często zmuszony jest wejść do gospody, bo nieraz taniej jest kupować jedzenie niż w domu gotować. Żona z nim nie idzie, gdyż on przy swojej ciemnocie uważa ją za niższą istotę, bo mniej zarabia od niego, zresztą jeśli jest dziecię, to musi przy niem pozostać. Mąż wraca po ósmej i kładzie się spać, bo jutro trzeba wstać o piątej. Gdzież tu czas na wypielęgnowanie uczucia rodzinnego, kiedy tu ledwo czas pozostaje na rachunek dziennych wydatków. Toż samo z potomstwem. Ledwo że podrosło chłopię lub dziewczę, już rodzicom nie wystarcza na jego utrzymanie; idzie więc do jakiej roboty całodziennej i spotyka się z ojcem w gospodzie, nie czuje dla niego wdzięczności, bo kawałek chleba co je, je z własnego zarobionego grosza. Jakież ono wspomnienia rodzinne z sobą

w świat poniesie? Żadne! To dziecię, choć ma ojca i matkę, jest sierotą. W tem właśnie leży różnica położenia roboczej klasy u nas i na zachodzie. I u nas szwaczka bierze lichą zapłatę, i u nas robotnik dzienny nie szczególnie płatny, ale każdy z nich gdzieś tam na przedmieściu ma jakieś kółko rodzinne, ma jakąś chatę, jakiś gruntu kawałek, choćby ogród warzywny — tam czeka go żona lub braterstwo lub często cała liczna rodzina — on jest członkiem tej familii. Tu przeciwnie: w najczęstszych wypadkach jego dom to komórka nieopalona, a jeśli miał rodziców, to zapomniał o nich. Jest to społeczeństwo podrzutków i sierot od urodzenia, lub od chwili wyjścia w świat, co na jedno wychodzi.

Oto jest stan tych, *którzy chleb biorą,* teraz przejdźmy do *chlebodawców.* Spytasz więc może sz. Czytelniku: Czyż mogą oni patrzeć na taki stan rzeczy? Czyż w piersiach nie mają Boga i serca? Czcze to słowa! Niegdyś przed wieki żył Bóg w ich sercach, lecz gdy zwątpienie zawładło nimi, w ich piersiach stanęła Golgota! Bóg umarł wraz z jego słowem, miłością. Niema Boga... Bóg umarł! Ludzie to zwierzęta! miłości bliźniego niema! Życie nasze tylko od kolebki do grobu, a więc czemprędzej zużyć je! szukać środków na to! — złota! złota! jak najwięcej! — a kto ci w drodze staje, usuń go. To walka o byt — wolna konkurencya. To stan moralny chlebodawców; świadectwem na to ich czyny.

Pomijając ten wzgląd, że charakter pierwotny Niemców był zaborczy, że w ich dziejach początkowych widzimy luźne oddziały walczące również z luźnemi garstkami, który to charakter dziś, gdy wpływ chrześcijaństwa upada, staje znowu w całej pełni w innych tylko formach — w formie handlu, w formie polityki i t. p.; wprost w naturze ludzkiej, w jej ujemnej stronie leży to, że skoro namiętność jaka popchnie człowieka na jaką drogę upadku, to musi dojść do katastrofy. Jeżeli przyjmiemy jako zasadę, że głównym celem naszym jest używanie, póką̣d czas i siły potemu — jeżeli przyjmiemy ów dogmat głoszony w naszym wieku, cóż bardziej konsekwentnego nad to, że będziemy wszelkiemi siłami starali się o przysporzenie jak najwięcej środków do zaspokojenia tej chęci użycia. Czegóż za pieniądze dostać nie można? a więc pieniędzy jak najwięcej! wszędzie, na każdym kroku starać się zdodobyć grosz, pół grosza, będzie z tego suma. Kupienie kapitałów, powiększanie ich, oto

prąd, który przenika tutejsze społeczeństwo do szpiku kości, a stosunek ludności do obszaru ziemi pomaga w tej robocie całą siłą. Nadmiar rąk do pracy jest tu już tak wielki, że właściciel fabryki może cenę zarobku zniżyć do ostateczności. W razie gdyby robotnik nie chciał za tak małą zapłatę pracować, on ma kapitał, ma zapas zebrany i może czekać. Robotnik czekać nie może; głód zmusza go przyjąć zapłatę wystarczającą ledwo na wyżycie. Przy takiej zapłacie kapitalista może produkta swej fabryki taniej sprzedawać, a tym sposobem kapitał nakładowy prędzej wróci do jego rąk i on znowu dalej puszcza go w obieg — oczywiście każdym razem z przyrostem. Wszystkie stosunki tutejsze począwszy od wyrobów fabrycznych aż do wydawnictwa czasopism (rzemiosło wynalezione w XIX wieku), wszystko oparte na tej zasadzie: najemnikowi dać jak najmniejszą zapłatę, a towar wystawić za cenę zadziwiająco tanią. Któż naprzykład nie kupi trzech arkuszy druku za jeden krajcar? — Przy takim trybie obrotu kapitałem przyrost roczny dochodzi do niepomiernych procentów. Jeżeli tak jest, to prawo zabraniające lichwę traci zupełnie podstawę. Wraz z zniesieniem prawa lichwy kapitalista zyskuje jeszcze jedną broń w swej walce o pieniądz. Skoro na takich podstawach skupi się w ręku kilku ludzi, większa ilość pieniędzy, poczyna się rozdział społeczeństwa na proletaryat i kapitalistów. Obok wielkiej fabryki, fabryka z małym nakładowym kapitałem rzadko się utrzyma. Wielka fabryka ma lepszy materyał, lepsze maszyny, lepszych dozorców; wyrób, który wychodzi z niej, jest co najmniej lepszym a czasem i tańszym, a więc bardziej pokupnym niż towar mniejszej fabryki. Tej zostaje chyba powiększyć swe rozmiary, lecz na to trzeba kapitału — pożycza więc, lecz oczywiście na lichwę. Właściciel wielkiej fabryki lichwy nie opłaca, zawsze więc stoi lepiej. Rok za rokiem dług rośnie i zostaje albo czekać na licytacyę, albo wejść w spółkę z wielką fabryką. Zwróćmy uwagę, że naraz padły dwa ciosy pogarszające sprawę. Raz, że owe dwie fabryki złączone stały się straszniejsze dla reszty małych fabryk, pozostałych przy życiu, po drugie znika z widowni jedna drobna fabryka, w której jeszcze właściciel miał osobisty stosunek z robotnikiem, gdzie jeszcze było pozostało coś z życia patryarchalnego. Obecnie robotnik pracuje w tejże fabryce, ale nad nim stoi rządca, on widzi tylko urzędników bióra spółki — on już nie widzi przed

sobą człowieka i czuje że ma do czynienia tylko z kapitałem. Oczywiście przy takim stanie stosunków niema co myśleć, iżby uczucie jakiejś filantropii miało tu miejsce i to ze skutkiem. Niech który z kapitalistów uniesie się poczuciem ludzkości i pocznie dawać swym robotnikom większą dzienną płacę, przyrost jego kapitału się zmniejszy, „a zimny nóż konkurencyi z ręki sąsiada przeszyje mu piersi i życie przetnie.“ Idąc dalej tą drogą, stosunki plączą się coraz bardziej Kapitał buduje pałace, a zapłata — minimum, spycha robotnika do nędznej izby. Tam się rozwija nauka, wykształcenie, a co najmniej ogłada, tu w tymże progresie nastaje zdziczenie. Robotnik kapitalisty już nie rozumie, bo on ma „zu feine Sprache.“ To wieża Babel! Wielkie prawdopodobieństwo, że w skutek podobnych stosunków rozeszły się ludy z pod owej wieży. To była w historyi ludzkości pierwsza „Stricke“ robotników. Wtedy było jeszcze gdzie uciekać, a i dziś tysiące uchodzą do Ameryki — nie kapitalistów lecz robotników. Kapitalista coraz dalej staje od robotnika, coraz bardziej traci go z przed oczu i traci to poczucie, że on takim człowiekiem, że on jego bliźnim, a liberalna teorya opowiada mu taką przypowieść: „Na pewnej wyspie znalazły się dwa rodzaje małp. Z czasem liczba ich tak się powiększyła, że brakło pokarmu. Poczęła się walka na każdym kroku i wkrótce silniejszy rodzaj małp wydusił słabszy.“ Według tegoż liberalizmu wśród ludzi panują te same prawa naturalne, co wśród zwierząt, kto więc ma więcej sił, niech z tego korzysta. Ludzkość istnieje w formie gmin i państw, zawładnąć więc rządem gmin i państw jest koniecznością. Trzeba zawładnąć nadto prasą dzienną, by módz wpływać na umysły we własnym interesie. W obecnej chwili wszystkie rządy, wszystkie gminy miejskie są w ręku mieszczan-kapitalistów. Magistrat monachijski składa się przeważnie z miejskich liberałów, czystej wody. Na czele stoi dwóch burmistrzów żydów. Bardzo często posiedzenia bywają tajemne, by nikt się nie mięszał w ich sprawy. Długi coraz rosną, a oczywiście przez to miasto wpada w ręce tych, którzy pieniędzy pożyczyli. W czasie gdy ruchy socyalne coraz silniej występują w skutek coraz większej nędzy, magistrat rzuca 50.000 złr. na fresk w sali posiedzeń, kilkanaście tysięcy na nędzną fontanę, kilka tysięcy na zjazd śpiewaków, kilka tysięcy na jubileusz uniwersytecki. Wdowom urzędników obcina emerytury, a w tymże czasie podwyższa

pensyę burmistrzom po 1.000 złr. Jeden z członków odezwał się, że „gdy dla robotnika kawa jest drogą w skutek nałożonego cła, to niech się zadowolni trochę słabszą,“ a na temże samem posiedzeniu dano zapomogę handlarzowi ostryg. — Gdy krawcy udali się do ministeryum w sprawie konkurencyi, którą im robią więźniowie swoją bajecznie tanią pracą, sekretarz przyjął ich na wstępie okrzykiem: „Aha! komuny chcecie! komuny!“ Gdy czeladnicy stolarze zrobili zmowę, majstrowie wymogli, iż ministeryum kazało żołnierzom stolarzom wyjść z koszar do warsztatów, przez co oczywiście zmowa została rozbitą. Oto z ogromnej liczby kilka faktów — wszystkiegobym nie spisał — faktów rzucających światło na postępowanie miejskich panów z robotnikami. Pomijam cały system pośrednich podatków, który jest niczem więcej jak zrzuceniem całego podatkowego ciężaru na klasę roboczą (obszerniej o tem było traktowane w rozprawie O. S. Pawlickiego „Lassalle i przyszłość socyalizmu“), pomijam, iż przy każdym ruchu robotników, nawet przy każdem najprawniejszem ich żądaniu prasa kapitalistów wysila się na wszelkie, do absurdum dochodzące kłamstwa — wspomnę jeszcze tylko w ogóle, że kapitaliści miejscy ciężą na wszystkich stosunkach, a zawsze w jednej i tejże samej roli, wyzyskując pracę i zbijając grosz do grosza.

To też socyaliści w swoich odezwach wołają: „Ku nam! ku nam! nędzarze dzisiejszego wieku! Nie tylko wy robotnicy, lecz i wy niżsi urzędnicy, i wy literaci podziemni, i wy pomocnicy sklepowi i t. d. Niema dla was innej drogi! Albo do naszego obozu, albo w niewolę kapitalistów“. Exploatacya nędzy i uważanie człowieka zarówno z bydlęciem, dochodzi do stopnia nieprawdopodobieństwa.. — Prawo zabrania używać dzieci do pracy fabrycznej, a niedawno w Augsburgu policya zrobiła rewizyę i wyciągnęła z fabryk gromadę dzieci — dziesięcioletnich dzieci. — Jeszcze jeden fakt. W Marcu czy Kwietniu 1873 r., policya berlińska odkryła dom jeden, w którym w podziemiu i na strychu znaleziono około 200 ludzi śpiących na zgniłej słomie lub wprost na błocie.... nie obok siebie, lecz często jeden przez drugiego.... a zacny właściciel domu brał za ten nocleg 1 ½ srebrnego grosza.

Oto nocleg ludzi na jednym końcu społeczeństwa, a jakież mieszkania tych co stoją na drugim? Kto pieniądz uważa za najwyższą rzecz — w naturze tego leży również chęć pokazania

tego bogactwa, które on posiada, i oto przed kilkudziesięciu laty modą w kole mieszczan tutejszych były bronzy — ogromne złocone, pięknej rzeźby. Po olbrzymim łańcuchu przy zegarku, po cennych brylokach, po wielkich sygnetach na palcu, poznasz jescze do dziś mieszczanina. Z czasem weszła ogłada, wszedł bardziej ukształcony gust estetyczny, a nadto powiększyły się kapitały. Bronzy, choćby nagromadzone w pokoju jedne na drugich, już nie były wiernymi przedstawicielami bogactwa tego, który te pokoje zamieszkiwał, było to już zresztą przeciwne estetyce. Trzeba było znaleść coś innego, coby nawet w małej formie przedstawiało większą wartość pieniężną, i oto przed 10 laty nastała epoka, w której za malowidła płacono bajeczne sumy. Za studencką robotę, łokieć wszerz i wzdłuż, bez myśli, bez sensu, płacono 300—500 flor. Tak było aż do krachu wiedeńskiego, po krachu przez długi czas — nikt się nie zapytał o obrazy. — Malarze, którzy w tej epoce zeszli często na prostych rzemieślników, bez ducha, bez myśli — zostali naraz w nędzy. I do nich więc trafiają słowa socyalistów: „do nas, do nas — i wy artyści! nie ma dla was innej drogi! albo służba bourgeoi'zyi, albo obóz proletaryatu“! Jeżeli kapitał tak cięży na pracy robotnika, to jedyna droga dla niego złożyć kapitał drobnych wkładek, i ten kapitał składkowy wyprowadzić do walki z kapitałami jednolitymi. Takby się zdawało, lecz przypatrzmy się bliżej, czy to możebne. Rozrost tutejszych kapitałów jest taki wielki, że chcąc mieć choć trochę niezależności w jakimś przedsiębiorstwie, trzeba mieć minimum kilkanaście tysięcy guldenów. A ileż taki robotnik, jakeśmy go widzieli może dać do składki? Kilkanaście — najwięcej kilkadziesiąt guldenów, to znaczy, że na stworzenie kilkunastu tysięcy, trzeba, by do spółki przystąpiło co najmniej kilkuset robotników. — Ale jacyż to wspólnicy? umiejący wprawdzie czytać i pisać, ale ciemni, biedni, a tem samem z żądzą poglądający na każdy grosz. — Dziesiątego z nich skusisz do sprzeniewierzenia się i oszukania towarzyszy. W razie więc nawet, gdyby takie spółki rzeczywiście uwalniały robotników od exploatacyi kapitalisty, to w tym co dziesiątym wspólniku znajdzie kapitalista broń do rozbicia spółki. Przypatrzmy się następnie, kto może stać na czele takiej spółki? Ludzi poświęcenia wiernych pewnej sprawie—tembardziej takiej jeszcze — niema tak dużo wśrod inteligencyi, by we wszystkich spółkach wszystkie posady wpływowe były przez nich ob-

sadzone — dostaną się więc one lub w ręce ludzi przebiegłych, którzy dla siebie obedrą spółkę lub ludzi zaprzedanych kapitalistom, którzy umyślnie źle poprowadzą interesa spółki, — w najlepszym razie staną na czele spółki ludzie rozumni, uczciwi, ale bez poświęcenia, którzy sobie za ten rozum każą dobrze zapłacić, a wtedy korzyść spółki zejdzie do małej sumy. Dowodem prawdy tego rozumowania jest, tysiączna praktyka.— Tak więc spółka jest niemożebna, bo do spółki potrzeba zaufania wspólnego między wszystkimi, a tego wśród setki ludzi ciemnych, bez wykształcenia być nie może.

Z politowaniem więc teraz przypominam sobie słyszane niegdyś opowiadania o zachodzie — o dobrobycie tutejszego ludu — o tem, jak robotnik z ulicy je obiad z dwóch, trzech potraw i pije szklankę wina. — Cóż z tego kiedy to człowiek bez żony, bez dzieci, sam jeden na ziemi, kiedy to człowiek bez jutra — jego dzieciństwo przeszło w domu podrzutków, a umrze— on wie o tem dobrze — w szpitalu. Pod *numerem* była jego kołyska, pod *numerem* grób jego będzie. Z równem uczuciem przypominam sobie owe zachwycanie się tanością wyrobów fabrycznych. To prosty wypływ konkurencyi fabryk, a w skutek tego wypływ exploatowania pracy robotniczej. Im taniej jaką rzecz fabryczną kupuję, tem głębiej do serca ciśnie się pytanie — co mógł wziąść robotnik za tę robotę? co zarobił dziennie? Ile krwi i życia zostawił przy tej pracy? Ile razy przeklął właściciela fabryki, nim wykończył tę sztukę?

Oto stan socyalny Niemiec! Kapitały wciąż rosną i rosną a robotnik zgrzyta zębami, że to z jego krwi i potu, a on tem nie władnie. Liczba jednostek bez domu i bez rodziny rośnie, a tego wszystkiego skutkiem jest według świadectwa sprawozdań sądowych coraz to większe zdziczenie obyczajów — Patrząc na ten obszar strasznych stosunków, sądzę każdy powie: a więc podnieść oświatę, podnieść w życiu zasady moralne wśród tej klasy nędzarzy! Lecz czy to możebne. — Stosunki handlowo-przemysłowe w Niemczech tak się rozwinęły, ze na to, by zrozumieć tę maszynę społeczną, by nie dać się wplątać jak niewolnik bez świadomości do czego i na co, lecz by panować przynajmniej myślą nad nią, na to trzeba skończyć co najmniej niższą handlową szkołę lub gimnazyum niższe t. j. trzeba pracować przynajmniej do lat piętnastu nad nauką. Powiedz to robotnikowi,

on ci się w oczy zaśmieje, on ledwo może wystarczyć na wyżywienie dziecka do lat dziesięciu, a potem pędzi je do roboty, bo nie ma sił na pokrycie wydatków. Chłopak więc nauczywszy się ledwo czytać i pisać, rzuca książkę i rusza do warsztatu i ledwo że w gospodzie wieczorem ma czas przeczytać jeden z kuryerków miejskich, w którym niestety znajduje tylko ziarno zepsucia i rozjątrzenia.

Jeśli robotnicy nie mogą, to niechże państwo podniesie szkoły — zawołasz Sz. Czytelniku! Ah! właśnie z tem słowem wchodzimy na jeszcze jedno pole exploatacyi pracy i krwi najbiedniejszej ludności, na pole exploatacyi *en gros*. Porównajmy naprzykład budżet wojny z budżetem oświaty, a przecież nie wojna lecz oświata jest pierwszą potrzebą narodu! Porównajmy fundusz dla inwalidów wojennych: 187000000 talarów z funduszem dla inwalidów nauczycieli wiejskich: 5000000 tylko. — Gdy wojna wybuchła w 70 roku, robotnik tu szczególnie na południu był wcale jej niechętnym. Powiadano mu, że gdy kontrybucya będzie wziętą, to cła i podatki zostaną zmniejszone. Tymczasem podatki po wojnie się podniosły. Wpłynęła z Francyi kontrybucya wywalczona także i rękami robotników i wieśniaków i rozeszła się niewiadomo na co między wyższe rangi wojskowe, na roboty forteczne, których przedsiębiorstwo wzięli na siebie oczywiście kapitaliści. — A proszę nie zapominać o tem, że te wszystkie fakta i tysiące innych podobnych z najrozmaitszymi komentarzami były głoszone podawane po kilka, po kilkanaście razy w tutejszych drobnych dzienniczkach, — lud to wszystko czytał, może nie pojął rozumem lecz sercem odczuł, i uczuł nienawiść straszną, a usta zadrżały przekleństwem i groźbą. Bo też w całej owej matni tutejszych społecznych stosunków przewija się na każdym miejscu nić wściekłej nienawiści, żądzy, zemsty, a z drugiej strony szatańskiej, nieludzkiej dumy i od czasu do czasu... strachu.

Tak więc Bóg kazał, by na wszystkich naszych stosunkach prawo miłości kładło swoje piętno, a wśród tego społeczeństwa nienawiść i duma przesiąka wszystko do szpiku i kości. *Tu już nie ma religii.* To społeczeństwo, *co do form chrześciańskie, lecz w treści pogańskie.* Nawet i tutejsza partya katolicka, w ten jak się na zewnątrz objawia w swoich stosunkach z innymi warstwami ludności, to przeważnie tylko.... *partya polityczna.* Ludzie tej partyi, często nawet przewódzcy, w życiu codziennem

prywatnem żyją mniej lub więcej prawdziwem chrześciańskiem życiem, lecz w sprawie społecznej, w sprawie najgłówniejszej tego narodu, ileż razy ręka w rękę stają z liberałami? w spółkach i przedsiębiorstwach? Iluż z nich tak samo uważa robotnika jako towar? Iluż robotników, którzy dziś liczą się do partyi katolickiej — jutro — w rozpaczy — stanie w obozie komunistów? Nie! to tylko społeczeństwo ma prawo zwać się chrześciańskiem, w którem od stosunków politycznych przez stosunki społeczno-handlowe, aż do stosunków sąsiedzkich wszystko oparte na zasadzie miłości bliźniego. Lecz gdzie jak tutaj stosunki warstw społecznych polegają na „walce o prawo bytu“, tam modlitwy po kościołach są chyba bluźnierstwem Bogu.

Kto w złocie widzi jedyny cel swojego bytu i za tem goni całą żądzą swej duszy, ten w skutek samej natury rzeczy przychodzi do przekonania, że własność którą posiadł, posiada wyłącznie bez żadnych przywiązanych do niej obowiązków. Koniecznem zaś następstwem tego jest dążność do obalenia instytucyj nakazujących te obowiązki, i oto już w początku XVII wieku widzimy dążność i miejscowe próby do zniesienia cechów. Później przez dwa wieki ciągle się to daje czuć, nareszcie koniec ośmnastestego wieku niszcząc wszystko co było chrześcijańskiem, zniósł cechy i ogłosił „naukową zasadę“ *wolnej konkurencyi*, inaugórował epokę pogańską: *walkę wszystkich przeciw wszystkim.* Słusznie Lassalle powiada, iż postawić do konkurencyi ludzi równych siłą jest rzeczą do usprawiedliwienia, ale postawić bezbronnego przeciw uzbrojonemu, robotnika przeciw kapitaliście, jest to oddać pierwszego na łup drugiego. Każdy tu zauważy, iż w całym tym postępowaniu kapitalistów jest zupełny brak podstaw moralnych. Bo też, co dziś u nich prawdą, jutro może być zwalone przez „nową postępową teoryą,“ która będzie lepiej broniła ich interesów giełdowych. Gdyby nawet ta teorya była bezsensem, powtarzają ją jako jedynie zbawiającą formułkę. Tak naprzykład, gdy socyaliści poczęli wołać o wspólne posiadanie kapitałów, kapitaliści wymyślili teoryą formowania się kapitałów przez oszczędność i odmawianie sobie przyjemności. Lassalle drwiąco nazwał ich indyjskimi pokutnikami co stoją na słupach, odmawiają sobie pokarmu i napoju, a na czele ich stoi największy pokutnik Rotszyld.

Obudzenie gorączkowej żądzy wzbogacenia się, rozwój zwątpienia religijnego od herezyi Lutra do ateizmu Voltaira i materyalistów dzisiejszych, wreszcie rozwój materyalistycznego na egoizmie nie poczuwającym się do żadnych obowiązków względem drugich opartego pojęcia osobistej nabytej lub odziedziczonej własności: oto trzy główne czynniki działające w tej trzechwiekowej wstępnej epoce do naszego wieku ruchów socyalnych. Nadto trzeba dodać czwarty punkt, raptowną zmianę stosunku liczby ludności robotniczej do liczby miejsc pracy.

Na podobnej stopie jak dzisiaj, był stosunek kapitalisty i robotnika już w początkach tego wieku. Robotnik jednak nie umiał sobie jeszcze zdać sprawy kto właściwie jest jego ciemiężcą? On jeszcze do dziś nie zupełnie jasno widzi swe położenie i daje się często prowadzić na drogi zupełnie przeciwne jego interesom, a o ileż mniej rozumiał swój interes przed kilkudziesięciu laty! Czuł on, że go ciężar jakiś przygniata i gdziekolwiek widział ruch jaki zapowiadający zmianę stosunków, widział w nim jakby chwilę wybawienia. Było to na rękę kapitalistom, z tłumów robotniczych tworzyli oni sobie armią rewolucyjną, z pomocą których ostatecznie wywalczali sobie prawne pierwszeństwo państwowe. Lecz z każdym rokiem otwierały się oczy robotnikom. Już po rewolucyi 1830 r., gdy robotnicy ze zwycięstw wywalczonych ich własnemi rękami nic nie zyskali prócz, jak sami wyrażają się, „nędzy w innej formie“ jaśniej im stanęła ta myśl, że to nie król, nie szlachta są ich nieprzyjaciołmi, przeciw którym trzeba ustawicznie walkę toczyć, lecz mieszczanie i kapitaliści. Już po roku 1830 uformowały się w Anglii i w innych krajach towarzystwa robotnicze z celem czysto ekonomicznym. W roku 1840 w Londynie powstało stowarzyszenie robotników, które chociaż nie pod tą nazwą lecz w rzeczywistości było już internacyonalnem, bo zawierało w sobie Anglików, Francuzów i Niemców. Jeszcze raz proletariat dał się wciągnąć do ruchów 1848 roku, lecz i z tej walki nie wyniosłszy nic zerwał ostatecznie ze stanem średnim. Przewodnicy robotników jak Marx i Engelson przewidywali to naprzód i już w 1847 roku puścili manifest w imieniu „związku kommunistów“ w Londynie, w którym wypowiedziano jak najjawniej zupełne zerwanie związków z kapitalistami i podjęcie „sprawy robotniczej wyłącznie siłami samychże robotników.“

Nastały później lata cichej propagandy po towarzystwach już egzystujących i zakładanie nowych, tak że w roku 1859 już sieć takich klubów pokrywała Anglię, Francyę i Niemcy, i zrodziła się myśl jeszcze silniejszej ogólnej organizacyi, poparta wymownie wspomnieniem niedawnych smutnych doświadczeń. Poczęła się propagandą tej zasady, że robotnicy pokąd się sami w sobie nie zorganizują silnie, żadnymi zbrojnymi ruchami nic nie wywalczą. Rozwinęło się również poczucie tych wszystkich zawodów, które proletariat doznał po każdej rewolucyi, gdy w imię wolności walczył ręka w rękę z kapitalistami. Jako konieczny wynik z tego było przekonanie, iż robotnik winien unikać wszelkich ruchów jeźli one nie wyszły z łona samego proletariatu lub jeźli są zawczesne. Oczywiście, brakło tu tylko jeszcze formy oficyalnej, bo główne punkta dzisiejszych zasad *internationalu* już wtedy były w życiu. To też w 1863 roku odbyła się narada w Londynie, a w 1864 roku w Paryżu została wybraną komisya z 50 mająca opracować statuta organizacyi internationalu i przedstawić je do potwierdzenia ogólnemu kongresowi zwołanemu do Genewy na rok 1866. W tymże samym czasie, gdy Marx i Engelsen w Londynie i Paryżu kładli pierwsze officyalne fundamenta internationalu, w Berlinie i Lipsku zakładał Lassale towarzystwo „Allgemeiner Deutscher Arbeitverein.“

Kongres 1866 roku w Genewie liczący 60 deputowanych potwierdził statuta opracowane przez komisyą pięćdziesięciu i wypowiedział zasadę, że wykształcenie robotników winno być jak najbardziej praktyczne, by nietylko nadzorcy warsztatów t. j. słudzy kapitalistów wychodzili z tej szkoły, lecz i zwykli robotnicy. Wtedy to uradzono odezwać się do biednych urzędników, artystów i literatów. Radzono o środkach uformowania jakiego banku międzynarodowego i w końcu zrobiono wymówkę Anglikom za ich materyalizm, za to że nic innego w kwestyi socyalnej nie mają na celu jak tylko polepszenie płacy dziennej robotnika. W ogóle international jest niechętny Anglikom za ich nieruchawość, „to nieszczęśliwe stworzenie, mówiono, ten John Bull! mów mu o „zorganizowaniu pracy“ to jemu przed oczy staje zaraz człowiek na koniu z szlifami i pióropuszem.“

Rada główna Internacyonalu miała odtąd rezydować w Londynie „aby podtrzymywać ducha rewolucyjnego.“ Drugi kongres z 67 roku w Lauzannie liczący do 70 deputowanych po-

szedł już dalej. Postawił jako środek do walki z kapitalistami, tworzenie się związków wspólnofachowych (Gewerkschaft) jednakże jako główny cel tych towarzystw miała być „organizacya wewnętrzna i propaganda zasad socyalizmu.“ „Obecnie możemy walczyć o podwyższenie płacy roboczej, lecz naszym ostatnim celem jest zniesienie systemu zapłaty dziennej, a wprowadzenie wspólnego podziału ogólnego zarobku z całej fabryki.“ Przyjęto zasadę usunięcia religii z programu wykształcenia, prawiono o utworzeniu wspólnego języka, i radzono nad ulepszeniem formy sądownictwa, „bo często społeczeństwo winne jest zbrodni którą popełnia jednostka.“ Trzeci kongres w Brukselli z 98 delegatów, ogłosił zasadę, że maszyny i narzędzia fabryczne należą do robotnika, a nadto: drogi, lasy, ziemia, kamienne łomy, kopalnie kruszczów i węgla należą do ogółu. Kult biblii i świętych ma być usuniętym, a natomiast wprowadzonym kult ludzi zasłużonych w sprawie socyalnej. Jako charakterystyka ducha, który panował na tym kongresie, niech posłuży ten ustęp z jednej mowy: „nie tyranów chcemy zrzucić lecz tyranją. Precz wszelkie rządy! bo one nas duszą podatkami, precz wojska bo one nas mordują, precz wszelka religia bo ona ogłupia nam rozum.“ Najważniejszym był kongres w Bazylei w 69 roku złożony z 80 delegatów. Określenie własności prywatnej wypowiedziane w Brukselii, zostało tu ostatecznie umotywowane i sformułowane. „Własność prywatna ziemi powstała prawem gwałtu i nadużycia, musi ustąpić rozwojowi własności opartej na związku gmin.“ „Społeczeństwo ma prawo znieść własność prywatną ziemi i zmienić ją na własność wspólną — koniecznością jest, by ziemia stała się znowu własnością ogółu.“ Oto uchwały tego kongresu. Z konieczności przyszło do mowy o prawie spadku, i tu się począł spór i... — prawo spadku nie zostało zniesionem. Oczywiście, jest to najwyższa niekonsekwencya, jednakże ona należy do pocieszających objawów w sprawie socyalizmu. Więcej podobnych objawów postaram się zestawić gdy będę mówił o stanie moralnym robotnika, które to objawy dają pewną nadzieję wyjścia, gdy do myśli tłoczy się pytanie, na czem skończy się ten cały ruch szalony. Kongres w Bazylei odkrywa nam już jaśniej jak socyaliści przedstawiają sobie przyszłe urządzenie społeczeństwa. Główną osią wszystkiego jest *International* z Radą główną na czele, pod nią stoją Rady narodowe,

pod temi, Rady prowincyonalne, a pod niemi, Rady pojedynczych sekcyj. To forma zewnętrzna, ale treść właściwa przyszłego społeczeństwa stanowią stowarzyszenia fachowe, stolarzy, kowali, literatów, artystów itd. Każde to towarzystwo organizuje się według swej woli, a za pośrednictwem rad miejscowych i generalnej urządzają swe stosunki na zewnątrz. Nikt po za obrębem tych towarzystw stać nie może. Kongres w Haadze 872 roku i kongres w Genewie 1873 r. nie dodał nic nowego. W Haag Bakunin został wykluczonym z *Internationalu.*

W Niemczech przed rokiem 1863, Schulze-Delitsch ze swoją teoryą spółek pożyczkowych i *konsumvereinów* miał jeszcze jakiś głos wśród klasy robotniczej, lecz około tego roku powaga jego upada. Robotnicy widząc iż te wszystkie założone przez niego towarzystwa, stały się również „prywatnemi przedsiębiorstwami miejskich kapitalistów“ — widząc nadto, iż *Fortschritt-partei* posługuje się niemi jak innemi towarzystwami śpiewaków, gymnastyków itp., tylko w swoich egoistycznych celach, zwrócili się ku Lassallowi. Lassalle wypowiedziawszy myśl, że „powołaniem robotników w przyszłości jest owładnięcie rządami państwa, że konsekwencyą historyczną obecnie jest hegemonija czwartego stanu, że robotnicy do tego dążyć powinni z całą „świadomością sprawy“ — stał się dla nich „Mesyaszem wydziedziczonych“ i założył towarzystwo „Allgemeiner deutscher Arbeiterverein.“ W tymże czasie Bebel i Liebknecht robili już propagandę na korzyść tworzącego się *Internationalu.* Lassalla jednak organizacya była już gotową, i dla tego działanie Bebla i Liebknechta nie miało jeszcze wówczas wielkiego skutku. Jednakże do roku i Lassalle począł wątpić w swe dzieło. W roku 64 wydając właśnie swą polemikę przeciw Delitschowi, tak pisze do jednego z przyjaciół: „nie wyobrazisz sobie jak jestem zmęczony, przez kilka miesięcy prowadzić walkę na każdym kroku, a nadto jeszcze zabić tego Juliana to nad siły ludzkie. Jestem zdenerwowany do najwyższego stopnia, często do piątej z rana nie mogę zasnąć. Tak silnie wierzę w te zasady które głoszę, a ci, o których sprawę tu idzie nie rozumieją mię wcale. Do dziś tylko 3000 członków liczy związek, a już znaczne kapitały poszły na tę sprawę. Lecz wytrwajmy do końca, może nadejdą wypadki polityczne, które bieg rzeczy przyspieszą.“ Wkrótce potem Lasalle jak wiadomo został zabity w pojedynku, i jak mówią, prawie zwąt-

piały w swą sprawę. Po nim stanął na czele związku *Schweitzer*, który jak się później jawnie okazało, stał „w jak najbliższych stosunkach z policyą berlińską.“ Pisał artykuły na cześć Bismarka, wypowiedział zasadę pruską „durch Einheit zur Freiheit“ i ostatecznie przeniósł prezydyum związku robotników do Berlina. To zrobiło ogromne wrażenie tu na południu, i uformowała się sekcya osobna z organem „Proletarier“ wychodzącym w Monachium i Augsburgu. Oczywiście działania Bebla i Liebknechta nabrały zaraz większej siły, tembardziej, że *International* już był zorganizowany. Tak więc w roku 68 zwolennicy *Internationalu* złożyli pierwszą naradę w Norymberdze, na której uradzono zjazd na rok przyszły do Eisenach, gdzie postanowiono założyć odrębną partyę. Pierwszy dzień posiedzeń w Eisenach był nadzwyczaj burzliwy. *Schweitzeryanie* chcieli się wedrzeć przemocą, gdy ich nie puszczano, pokazali mandaty i weszli, lecz z postanowieniem rozbicia posiedzenia. Prezydent potrzykroć zawieszał debaty, bo nie można było dojść do dyskusyi taki był krzyk i rozruch. Przy końcu jeden ze *Schweitzeryanów* na stół wskoczył coś prawił, pięściami groził, lecz niepodobna było go zrozumieć. Dopiero na drugi dzień, gdy prezydent stanowczo cofnął mandaty *Schweitzeryanom*, pozostali delegowani mogli narady rozpocząć, i ostatecznie zorganizowali partyę. W treści ta *partya socyalno-demokratyczna* jest tem samem, co stowarzyszenie Lassallistów. Różnice są następujące: u Lassallistów jest jeden prezydent i jedno towarzystwo rozsiane po całych Niemczech, w skutek czego policya berlińska wymaga i oczywiście posiada listę wszystkich członków. *Socyalno-demokratyczna* zaś partya składa się z miejscowych *ludzi zaufania*, na czele których stoi wydział rezydujący jak naówczas w Brunświku. Posiedzania lokalne zwołuje *mąż zaufania* na mocy prawa wolności zgromadzania się, i policya nie ma środka dowiedzenia się kto tą sprawą kieruje. Lassalliści powiadają, iż głównem żądaniem jest polityczna akcya, chociaż prądem wypadków byli zmuszeni do włączenia w zakres swej działalności, i towarzystwa z celem ekonomicznym, a nawet w łonie tego towarzystwa utworzył się związek dla popierania zmów robotniczych, co jest zupełnie wbrew myśli Lassalla, „wroga wszelkiego bawienia się w kluby.“ Socyalna partya uznaje zarówno działanie polityczne i ekonomiczne, twierdząc, iż jedno od drugiego oddzielone być nie może, że nadto obecnie czysto

polityczne i legalne działanie na nie wiele się przyda. Liebknecht to jawnie raz wypowiedział: „Nasi posłowie w sejmie, nie do sejmu niech zwracają swe słowa, ale przez głowy posłów niechaj do ludu przemawiają.“ Tworząc partyę, ani się śniło Lassalowi o międzynarodowym jej charakterze, on utworzył tylko *„niemieckie powszechne stowarzyszenie robotników,“* z jak najbardziej zcentralizowaną organizacyą, on był przeciwnikiem federacyi. Socyalna partya wprost uznaje siebie za sekcyą Internationalu, przyznaje jego zasadę, i że to „sprawa ani narodowa ani lokalna ale socyalna,“ jednakże na zasadzie federacyi, a Liebknecht powiada, że byłoby wielką myłką „tracić z oczu względy narodowe. Jestem w Niemczech, w Niemczech prowadzimy wojnę.“ Prócz tych dwóch partyj jest jeszcze partya radykalna miejska w południowych Niemczech, tak zwana *Volkspartei*, stała ona dość blisko nowo złączonych socyalnych demokratów aż do kongresu w Stutgardzie roku 1870. Partya ta żądała od kongresu wyrzeczenia votum niezaufania kongresowi w Bazylei z roku 69 za zniesienie osobistej własności ziemi. „Co znowu! wołał Liebknecht — partya ludowa żąda od nas votum niezaufania uchwałom bazylejskim — o nie! nic z tego! ja sam jestem komunistą, a jeżeli włościanie tego nie rozumieją obecnie, to trzeba im powoli wskazywać korzyści jakie wynikać będą ze wspólnego władania ziemią.“ Jako pośredni krok do tego stanu w przyszłości uchwalono działać wszelkiemi wpływami, aby dobra państwowe, kopalnie, dobra dworu nie przechodziły na własność prywatną, lecz były wydzierżawiane towarzystwom rolniczym, któreby wspólnie uprawiając te ziemie, wspólnie następnie dzieliły dochody. Na tym więc kongresie *Volkspartei* zerwała zupełnie z partyą socyalną, a natomiast przyłączyła się do niej wraz z organem swoim, *„Proletarier“* wspomniona wyżej sekcya południowa, która przed kilku laty oddzieliła się od Lassalistów.

Tak stały stosunki społeczne w Niemczech, a w szczególności tu na południu, gdy wybuchła wojna z Francyą. Była to trudna próba dla socyalistów! Sama nawet Rada Główna była pod wpływem chwili, lecz robotnicy południowych i średnich Niemiec jak również i redakcya organu *Volksstaat* Liebknechta patrzyli z podejrzliwością, bo „od zwycięstw Prus nie można się niczego spodziewać“ — bo „rząd Pruski — według Liebknechta — jest najgroźniejszym wrogiem sprawy społecznej.“

Po zwycięztwie pod Sedanem Wydział wydał proklamacyę do robotników, wydrukowaną w *Volksstaat* a nadto rozrzuconą w 10,000 egzemplarzy wzywając, by zwolennicy partyi „po wszystkich miejscach jak najjawniej wypowiedzieli protest przeciw anneksyi Alzacyi i Lotaryngii, i także by się domagali zawarcia jak najbardziej honorowego pokoju z Francyą.“ Partya wojenna ze swojej strony poczęła wśród klasy robotniczej propagandę, że oni nie powinni słuchać tej odezwy, bo skoro kontrybucya będzie wziętą, to podatki i cła będą zmniejszone, rząd zaś przyznał potęgę tego ruchu socyalnego, gdyż ogłosił stan wojenny w Niemczech,“ który długi czas trwał, a Wydział został aresztowany i skazany na więzienie. Trzeba przyznać, iż delikwenci nie zachowali osobistej godności. Wyjednali od Marxa zeznanie, że partya socyalno-demokratyczna nigdy nie była przyjętą do Internationalu, że nawet nie żądała takowego przyjęcia (!). Tłumaczenia się były często bez sensu; tak naprzykład 29 letni Bracke wypowiedział, iż on myśli o reformie socyalistycznej nie naruszając jednakże podstaw obecnej monarchii (!) Więcej zachowali osobistej godności Bebel i Liebknecht przy procesie, który im wydano w Lipsku w marcu 1872, oskarżając ich o dążność do obalenia tronu rządu saskiego a wprowadzenia swych zasad socyalistycznych, do czego nawet mieli zamiar użyć niewolników francuzkich. Przecząc postawionym zarzutom, nie wypierali się jednak swoich przekonań. Odczytano im ustępy z ich pism, w których twierdzą: „iż przemoc jest koniecznym czynnikiem gdy nowa zasada na świat się rodzi, że przemoc jest również ekonomiczną potęgą, że socyalizm to żadna kwestya teoryi, lecz wprost kwestya siły, której żaden parlament nie rozwiąże, tylko bój na ulicy lub na czystem polu, że walka ta musi mieć centrum w Berlinie. Berlin do nas należy! — tam Niemcy zostały w niewolę zakute, tam będą oswobodzone!“ — Potem poczęły się pytania. Ciekawe dość światło na bieg sprawy socyalnej rzuca porównanie odpowiedzi Lassala również przy procesie przed kilku laty z odpowiedzią Liebknechta, a to na zapytanie: czy przewrót społeczny musi nastąpić w przyszłości? „To tylko kwestya czasu, odpowiedział Lassalle, i to albo w szacie pokojowej z góry jeżeli wyższe stany zechcą zawczasu zrozumieć swój interes, albo z dołu od ludu z całą grozą, w potarganej odzieży i z rozpuszczonemi na wiatr włosami!“ Lieb-

knecht już nie wspomniał o pierwszem przypuszczeniu, tylko o przemocy mówił i powoływał się na ostatnie wypadki we Francyi.

Mimo wszystkie prześladowania i szykany ze strony policyi rozwój partyi poszedł dalej. W Dreznie na kongresie w roku 1871 gdy komisarz policyi wzbronił dysputy nad komuną, towarzystwo bez dysputy dało wotum zaufania redakcyi *Volksstaat* za jej zachowanie się wsród wypadków politycznych ubiegłego roku i w sprawie robotników po za granicami Niemiec. Zrobiono więc co chciano — policya była bezsilną. W następnym roku na kongresie w Moguncyi 1872 r. zdano sprawę, iż „chociaż skutki wojny w pierwszej chwili były bardzo zastraszające, to jednakże obecnie propaganda przyniosła owoce nawet tam, gdzie się tego zupełnie nie spodziewano;“ że w ostatnim roku partya zyskała 4000 członków a *Volksstaat* zyskał 1800 nowych abonentów. Taki raptowny zwrot od apatyi do tem silniejszej organizacyi trzeba przypisać owym kłamliwym obietnicom partyi wojennej o zniesieniu podatków. Na tym kongresie był również postawiony wniosek zbierania dat statystycznych o stanie robotników pod każdym względem, polecono jednak nie odwoływać się o wsparcie tej pracy przez jakiebądź istniejące władze rządowe, boby to było z ubliżeniem dla robotników.

Koniec roku 1872 i początek 1873 r. był dość burzliwy, a były to następstwa ostatniej wojny, była to kryzys robotnicza tu na południu. Miliardy wpłynęły do kraju i sprowadziły podrożenie wszelkich potrzeb życia, a pośrednio podrożenie raptowne ceny mieszkań. Do tego przyłączył się jeszcze jeden powód. Dawniej nie wolno było robotnikowi żenić się jeżeli nie wykazał się z odpowiednich funduszów. W tym czasie to prawo zostało zniesionem i (co także liczę do objawów pocieszających w tej sprawie) ogromna liczba robotników pożeniła się. Skutkiem tego sprawa mieszkań, która już latem się była zaczęła, w jesieni przyszła na porządek dzienny, a ledwo dopiero na wiosnę w r. 1873 ucichła. Podawano petycye do magistratu, na które on odpowiadał milczeniem; schodzono się, radzono — lecz był to ruch bardzo spokojny, bo udział w nim brali ojcowie rodzin, biedni wprawdzie, lecz jeszcze to nie proletaryat w całem znaczeniu tego słowa. Były jednakże inne zapowiedzi przyszłych na wiosnę ruchów: stolarze robotnicy zrobili zmowę. Już blisko mie-

siąca trzymali się stojąc bez roboty, gdy majstrowie wyprosili w ministerstwie wojny, żeby stolarze, którzy pod ten czas byli w szeregach, zostali im użyczeni do warsztatów. Stricke oczewiście upadł, lecz skutkiem koniecznym i zwykłym pozostała nienawiść jeszcze większa do całego obecnego stanu rzeczy. Stricke to wielka szkoła socyalizmu.

W parę miesięcy potem został przez liberałów i kapitalistów rozbity Dachauer-Bank słynnej pani Spitzeder, gdzie tysiące z proletaryatu miało swoje wkładki. Straszny rozruch powstał w mieście na tę wieść, tłumy roiły się po ulicach, na *Ludwigsstrasse* stanęły działa, patrole kirasyerów z pistoletami w ręku przeciągały wszerz i wzdłuż miasto przez cały czas pokąd w domu właścicielki banku trwała rewizya. To były tylko zapowiedzi ruchów wiosennych. W marcu 1873 r. drukarze w Lipsku zrobili zmowę. Bezwarunkowo drukarzy trzeba uważać jako inteligencyę robotników i oni w tych ruchach zawsze są najbardziej czynni. Drukarze niemieccy już oddawna związali się w jeden „ogólnoniemiecki związek“ w celach wzajemnego wspierania się pieniężnie. Z 10,000 zecerów w całych Niemczech należy do związku 6800. Otóż gdy zmowa w Lipsku stanęła, po wszystkich miastach, gdzie były towarzystwa należące do związku, zbierały się składki na podtrzymanie lipskich kolegów. Krok ten wywołał fakt do dziś jeszcze niepraktykowany. Właściciele drukarni po różnych miastach znieśli się z sobą i przeciw zmowie swych robotników postawili swoją — *zmowę pryncypałów*. Ogłosili, iż każdy z zecerów należący do owego ogólnego związku traci miejsce, jeżeli do dwóch tygodni nie wystąpi z niego. Ogromny szereg firm po wszystkich miastach niemieckich przystąpił do tej zmowy. Krok ten ze strony pryncypałów zrobił ogromne wrażenie wśród robotników. W Monachium zwołano *posiedzenie ludowe* — 1000 ludu stanęło. „Panowie! — przemówił delegat zecerów — pryncypałowie chcą rozbić nasz związek, naszą kasę pomocy bratniej! Pryncypałowie związali się słowem honoru zgnębić nas moralnie do ostatka... i to zwie się słowem honoru!! Pamiętajcie! jeśli my padniem, to i z wami tożsamo się stanie. Jedno z dwojga panowie! *albo niewola*, *albo komuna*. (Brawo! brawo! — komuna! komuna!) Do niewoli nie wrócimy . . . to wiemy panowie, a więc wołamy o waszą pomoc.“ — — „Nigdy a nigdy na to nie pozwolimy! – wołał delegat towarzy-

stwa robotników. — Ha! Teraz wszyscy ci panowie w zgodzie. Ultramontanie i liberalni, *białoczarni* i *białobłękitni* (pruskie i bawarskie farby) stoją ręka w rękę, bo to wojna przeciw nam. Widzicie panowie w jakiej to sprawie oni wszyscy są w zgodzie, w walce kapitału z pracą. Drukarze! stójcie silnie i ani kroku wtył! Niemieccy robotnicy nie dadzą swych braci na łup kapitalistom!" — Delegat zaś partyi socyalno-demokratycznej tak mówił: „Nie ustąpcie z swej drogi pokażcie że i wy rowolucyoniści! Przecież i Bismark rewolucyonista! Panowie! obowiązkiem wszystkich robotników bronić sprawy zecerów! — Wasza sprawa — nasza sprawa! (Tak! tak! brawo! brawo!) Ha panowie bogacze! gdy wy spiskujecie, to się nazywa historycznym postępem, a gdy my stawiamy prawne żądania, to my rewolucyoniści! — Drukarze! prędzej tłuc pójdziem kamienie po drogach, niż zezwolimy na rozbicie waszego związku! (Hoch! Hoch!). Okna się zatrzęsły od krzyków. O godzinie jedenastej w nocy rozeszli się wszyscy wołając: „gdy wy przegracie to i my przegramy!" — Oto mały obrazek posiedzenia socyalistów. Trzy godziny z górą trwał *meeting* 1000 ludzi wrzasło co moment oburzeniem lub extazą, a jednak policya nie śmiała słowa powiedzieć taki rygor panował wśród tego zebrania. Zaraz też zarządzono składki po towarzystwach na pomoc zecerom — sprawa zecerów stała się sprawą wszystkich robotników. Właściciele drukarskich zakładów wytrwali mimo to wszystko w swem postanowieniu i wypędzili zecerów należących do związku. Nie długo jednak — dwóch tygodni nie upłynęło — ledwo kilka jeszcze firm trwało w swym uporze, reszta przyjęła zecerów napowrót i musiała się zgodzić na podwyższenie płacy. Tu się jawnie pokazało czem jest sprawa socyalna na zachodzie. Spór między miejskimi liberałami i ultramontanami ustał, gdy przyszło walczyć z robotnikami wzięli się za ręce mimo poprzednich i następnych scysyi. Były już dnie w których już radzono o wydawaniu wspólnego dziennika bo zecerów brakło. Było by to dość komicznem i nadzwyczaj charakteryzującem tutejsze stosunki, gdyby naprzykład na jednym i tymże arkuszu stał artykuł katolicki z *„Bayrischer Kurier"* i artykuł bezwyznaniowy z *„Neueste Nachrichten"*. *Vaterland* pozostał na swojem stanowisku niezwruszony, szydził, łajał liberałów jako pierwszą przyczynę tych wszystkich ruchów i socyaliści chociaż wiedzą dobrze iż on jako katolik jest wrogiem ich zasad i teoryi,

uznali jednak w nim przyjaciela robotników. Ani na jedną chwilę nie przychodziła redakcyi myśl zawieszenia wydawnictwa lub przyłączenia się do ogólnego pisma, zecerów katolickiemu pismu nie zabrakło, Upadek zmowy pryncypałów i to w tak krótkim czasie jest również dowodem że exploatacya, o której mówią robotnicy jest prawdą, mimo iż kapitaliści temu przeczą. Gdyby wymagania robotników były nieusprawiedliwione, toby kapitaliści mając zapasy trzymali się spewnością dłużej i ostatecznie zwyciężyliby, lecz widocznie ta nadwyżka której domagali się zecerowie była tak małą w porównaniu do straty którą pryncypałowie ponosili wskutek oddalenia robotników, że niepodobna było ponieść takiej *ofiary pieniężnej dla idey*. I znowu pokazuje się tenże charakter miejskich liberałów kapitalistów, złoto przedewszystkiem! mniejsza o zasadę! mniejsza o solidarność! mniejsza o dane słowo honoru! — wszystko zdrogi kiedy grozi strata guldena!

Przykład zecerów podziałał i na innych robotników. W przeciągu kilka tygodni odbywały się niemal dzień w dzień różne posiedzenia. Krawcy, szewcy, robotnicy po fabrykach rzeczy drewnianych, metalowych, glinianych blaszanych, kamienych; introligatorowie i piekarze, jedni po drugich robili zmowy, a zawsze z odwołaniem się do całego ogółu, a zawsze z myślą utworzenia ogólno-niemieckiego związku, o którego praktyczności przekonano się w sprawie zecerów. Ostatecznie ruch ten ogarnął nawet kobiety. Z inicyatywy krawców i pod ich opieką zebrało się posiedzenie robotnic, lecz na pierwszy raz bardzo nieliczne. Ciekawą była mowa jednej dziewczyny — następnie prezydentki. „Przykro mi widzieć jak robotnice nie rozumieją swej sprawy! Jedna mi rzekła iż nie przyjdzie tu bo nie ma się w co porządnie ubrać; druga machnęła ręką mówiąc: daj mi pokój! ja mam swoje 36 krajcarów dziennie, mam nadto kochanka, co mi tam z posiedzenia! — Nie robotnice! w łachmanach tu przyjdźcie, niech każdy widzi w jakiej my nędzy żyjemy! nie czekajcie pokąd wam kochanek nie sprawi odzienia! Wierzcie mi panowie! — rzekła zwracając się do obecnych mężczyzn — większość z nas wiodła by życie uczciwe, gdyby nie taka rozpaczliwa nędza“.

Już i te zmowy wszystkie same przez się miały w sobie dość palnego materyału, gdy na dobitek wszystkiego, browarnicy ogłosili że od pierwszego Kwietnia podniosą cenę pi-

wa. Wzburzenie urosło w dwójnasób, poczęto mówić o rewolucyi, poczęto wołać o wprowadzenie napowrót taksy piwa i pokarmów. Chwila coraz bardziej stawała się krytyczną, po koszarach wojsku rozdano patrony i kazano być w pogotowiu. Stan taki trwał przez kilka dni. Policya widziała się zmuszoną zrobić nacisk na piwowarów, by odstąpieniem od swoich żądań, wstrzymali lud od rozruchów. Proszę się nieśmiać z piwnej rewolucyi! bo ta w Niemczech a mianowicie w Bawaryi może być najstraszniejszą.

Wówczas tembardziej nie była śmieszną groza piwnej rewolucyi, że prócz w Monachium działy się jeszcze i po innych punktach rzeczy dające tróchę do myślenia. Musiały zapewne i w owych punktach być pewne poprzednie ruchy i niepokoje, których dopiero ostatni wynik stał się głośnym i jawnym dla wszystkich. We Frankfurcie lud rzucił się na browary, zbombardował około 12 domów, zrabował kilka sklepów, ostatecznie wojsko stanęło, a oficer pruski bez trzykrotnego poprzedniego wezwania do rozejścia się zakomenderował, ognia! Padło więcej niż dwadzieścia trupów, a rannych jeszcze więcej, 100 robotników zostało aresztowanych. Zauważano iż te rozruchy robią najbardziej robotnicy przybyli z okolic, kazano więc dyrekcyi kolei by żądała od naczelników najbliższych stacyj, iżby każdym razem dawali znać jaka ilość robotników przybywa. Na drugi dzień po owych rozruchach przybył na dworzec pociąg z Offenbach przepełniony robotnikami, policya wzbroniła odmykać wagony, zatoczono lokomotywę z drugiego końca i pociąg napowrót odjechał tam zkąd przybył. Kilka dni przed tem w Buchloe 250 robotników przy kolei zrobiło krawal i dopiero batalion strzelców przywołany z okolicy uśmierzył rozruch. W tymże samym czasie wybuchła rewolucya w Manheim; lecz najcharakterystyczniejszemi były rozruchy w Stuttgardzie. Żołnierz pokłócił się z żydem tandeciarzem, od słów przyszło do kułaków, za żydem ujęli się żydzi, za żołnierzem jego koledzy, a następnie lud i przez trzy wieczory trwała bójka uliczna żydów i robotników w sojuszu z żołnierzami. Domy żydowskie zbombardowano, wkońcu co jest najbardziej godnem uwagi, poczęto wołać: hajże na Gründerów! hajże na fabrykantów! stanęły silne patrole i rozruch przycichnął.

Brakowało jednej iskry a podobne rozruchy wybuchłyby były niezawodnie i w Monachium. *Geldprocentowicze* byli w wielkim

strachu! wołali w niebogłosy by policya nie spuszczała z oka tych wszystkich ruchów, by wszelkich środków użyła, do ich poskromienia! A *Vaterland* szydził z nich: „aha! kochani! aha! serdeczni, a kto to tego piwa nawarzył? A czemu wy teraz nie wołacie: „*laisser passer! laiser faire!*“ A nie tylko mieszczanom kapitalistom, groziło niebezpieczeństwo. Słusznie nawoływał i „der Freie Landesbote“ do opamiętania się ogólnego „bo to grozi niepodległości Bawaryi.“ Był to czas kiedy ostatecznie prusofilstwo z roku 1870 i 1871 łamało kark w Bawaryi, gdy coraz głośniej wołano: „No! teraz mamy skutki naszego braterstwa z Prusakami, nowe podatki, drożyzna życia, reforma monetarna i t. p.“ Słowo „Preusse“ poczęło w coraz szerszych kołach stawać się słowem szyderstwa lub obelgi. W takim nastroju rzeczy cóżbybyło łatwiejszego, jak szepnąć ludowi: przecież to prusacy winni temu wszystkiemu, hajże na *Türckenstrasse,* gdzie pruska ambasada! Ot i gotowy *casus belli!* A chociażby i tego nie było, niech by się tylko lud rzucił na *Maxymilian* i *Thalstrasse* to jest na żydów kapitalistów na bawarskich Prusaków, to jużby tu wojska Pruskie weszły tak samo jak niegdyś do Polski, „bo rozruchy w Bawaryi grożą spokojowi Reichsbundu.“

Powoli burza poczęła ucichać, wszystko wróciło do dawnego trybu, zostały tylko następstwa oczywiście nie małego wpływu na przyszłość. Pierwsze, to poczucie w robotnikach własnej siły, i jeszcze jedna więcej praktyka, że im większa organizacya i im większy rygor tem pewniejsza wygrana. Drugim skutkiem było podskoczenie zapłaty dziennej od 1 fl. 24 kr. do talara dziennie, a trzecią pozostałością po tej kryzys było to zawiązanie towarzystwa wydawnictwa dziennika socyalnej sprawie poświęconego. Nie dalej jak w miesiąc po owych ruchach pokazał się pierwszy numer dziennika „*Zeitgeist.*“ Następny przeciąg czasu aż do dni dzisiejszych przeszedł wprawdzie bez żadnych gwałtownych ruchów jednak na ciągłej podziemnej organizacyjnej pracy. Nie uszła ona oka policyi, a ostatnim wynikiem tego był właśnie ostatni proces kryminalny przed sądem przysięgłych. Przeszłego roku 23 marca uformował się *związek organizacyi robotników*, podzielił miasto na 17 kwartałów, w każdym założył czytelnie i naznaczył *człowieka zaufania.* Policya przestraszona zażądała szczegółowego wykazu tych czytelni i wykazu miejsca urodzenia się, religii, wieku, zajęcia i t. d. wszystkich *ludzi zaufania.* —

Organizacyjny komitet nie dopełnił tych żądań wskutek czego czytelnie zostały zamknięte a stowarzyszenie rozwiązanem. Oczywiście działaczami w tej sprawie byli przeważnie wybitniejsi członkowie partyi socyalnej. Mimo rozwiązania oficyalnego robota nie ustała. Wysłano delegatów na zjazd do Norymbergii, na zjazd do Gotha, odbyto 21 posiedzeń i w sierpniu poczęto znowu mówić o zorganizowaniu się w *towarzystwo robotników*. Wybrana komisya z 45 miała opracować statuta i podać je do potwierdzenia *ludowemu zebraniu*. Tymczasem policya mając to wszystko na oku, wyjawiwszy wszystkie czynności członków *socyalno demokratycznej partyi* wypowiedziała, iż cały ogół tych członków uważa jako lokalne tajemnie zorganizowane towarzystwo które rozwięzuje z powodu politycznych celów, jakie to towarzystwo stara się przeprowadzić. W drugim artykule dyrekcya policyi wyliczyła motywa dla których przychodzi do tego przekonania, porównując zdania wygłaszane w *Zeitgeist* z zasadami kongresów w Eisenach w Stuttgardzie i na kongresach *Internationalu*. Zarzucała także członkom partyi że podtrzymywali zmowy robotników.

Przy zakładaniu owych czytelni zażądano także zestawienia dat statystycznych co do stanu robotników. Dziś te same daty stastatystyczne zbierają stowarzyszenia krawców, szewców i t. p., każde z osobna i będą je ogłaszali w dzienniku *Zeitgeist*, który pomimo że „związek wydawnictwa“ został również przez policyę rozwiązanym nie przestaje i nie przestanie wychodzić, bo kto ma około 3000 abonentów, ten się niczego nie boi. Muszę tu nadmienić, że kto chce mieć wyobrażenie o tem, jak się ta partya szerzy, nie powinien na żadne inne cyfry patrzeć, jak tylko na cyfry prenumeraty dzienników. Liczba członków stowarzyszeń podobnych tendencyj nic nie znaczy; znałem mnóstwo robotników nie należących do żadnego towarzystwa, a każdy z nich mówił: „jak będzie komuna w Monachium, to ja pierwszy do niej należę.“ Nieraz w miejscach, gdzie liczba jawnych socyalistów dochodzi setki, kandydaci socyalni otrzymywali po kilkaset głosów i więcej. Do towarzystwa należy tylko ten, który ma pewną niezależność. Liczba członków, to tylko liczba oficerów, a armiją można zobaczyć tylko podczas *przeglądów wójsk socyalnych* — podczas *krawalów*. Liczba podanych głosów przy wyborach także nic nie mówi. Znam tu fabrykę Mafeya, arcyliberała 800

robotników głosuje zawsze za nim, a nawet i katolicy, którzy tam pracują, mimo że katolicy, głosują za nim. Robotnik, z fabryki którego z liberałów straciłby miejsce, gdyby głosował za katolikiem, a cóż dopiero, gdyby głosował za socyalistą. Słowem tylko cyfry prenumeraty dzienników socyalistycznych mówią nam prawdę. Robotnik, choć służy liberałowi lub katolikowi, dziennik kupi jaki chce, bo któż go tam śledzi jaki on dziennik czyta. W tym dzienniku znachodzi on potwierdzenie swych myśli i chęci, i to mu wystarcza; obecnie milczy, lecz gdy przyjdzie chwila stanowcza to stanie na pewno do szeregu. Oto cyfry tyczące dwóch głównych dzienników socyalistycznych: gazety *Volksstaat* organu partyi *socyalno-demokratycznej* i *Neue Socialdemokrat* organu *Lassallistów*. W r. 1869 *Volksstaat* liczył 3000 abonentów, w 1871 r. 2 Kwietnia 3212, w trzecim kwartale 4146, w ostatnim 4488, w pierwszym kwartale 1872 roku 4800, a przy końcu tegoż kwartału 5447, a 21 Września wyżej 6000. *Neuer Socialdemokrat* miał 23 Października 1871 r. 5000 abonentów. Nr. 23ci w 1872 roku 5600, w drugim kwartale 1872 r. 6700; 4 Sierpnia 7400; 11 Września 8056 abonentów. Nadto mogę dodać, że wspomniany *Zeitgeist* założony w Kwietniu 1873 roku, i według zdania samejże policyi, obejmujący koło czytelników w pewnym tylko okręgu Monachium, ma obecnie trzy tysiące abonentów.

Należy jeszcze wspomnieć i o środkach pieniężnych tej partyi. Kasa, to najsłabsza strona tego stronnictwa, przewódzcy ciągle się skarżą, że robotnicy nadzwyczaj zaniedbują swój obowiązek płacenia wkładek. To zmusiło przewódzców do szukania innych źródeł. Jednym z takich jest właśnie kapitał zebrany przez Kinkla około roku 1850. Kinkel zbierał go w celu poparcia rewolucyi w Niemczech i ufundowania rzeczypospolitej. Gdy w 1852 roku Ladendorf wziął na siebie dozór tej kasy, liczyła ona wtedy 30,000 dolarów. Chociaż Ladendorf jest przeciwnikiem socyalizmu dał jednak Beblowi w roku 1868 na koszta prodagandy 3,500 franc., potem wydziałowi partyi 3000 fr., potem znowu Beblowi na podróż na południu Niemiec 500 fr. Zapewne że z tegoż samego źródła pochodzą także pieniądze, które Bebel otrzymał w Szwajcaryi w 1869 r. 2010 fr., a w 1870 r. 1005 fr. Cyfry te wyszły na jaw przy wspomnianym wyżej pro-

cesie Bebla i Liebknechta w r. 1872. Pieniądze te były zawsze dawane bez żadnych wzajemnych zobowiązań.

Oto jest obecny stan socyalizmu w Niemczech! Nie zachwyca mię potęga Niemiec na zewnątrz, do śmiechu pobudzają mię wykrzykiwania na katedrach profesorów niemieckich o *bezwzględnej wielkości Niemiec*. Ostatnią wojnę nie cały naród dobrowolnie, prowadziła ją partya rządowo-pruska, klasa pracująca protestowała przeciw wojnie i tylko urok ciągłych zwycięstw i szerzenie wśród pospólstwa kłamliwych nadziei, podniecających nie uczucie lecz dumę narodową i chciwość, uspakajały niezadowolenie ogromnej masy robotniczej. Brakło jednej wielkiej przegranej, zawiodłyby miliardy Francyi, a tem samem materyał palny buchnąłby do razu. Dziś lud widzi, że był oszukanym i można go podsłuchać jak na to wyrzeka. Wojsko niemieckie zwyciężyło, Niemcy jako państwo na zewnątrz stanęło w Europie na czele, lecz przez to stanęły one na drodze zdobywczej, na drodze działania na zewnątrz, nie mogą więc tyle uwagi i pracy zwrócić na wewnątrz, ile tegoby wymagała kwestya życia i śmierci tego narodu, kwestya socyalna, którą nie łatwo rozwiązać. Wojna z Francyą to sprawa drugorzędna, a pierwszorzędna jeszcze nie rozwiązana. Jeżeli robotnik— ogromna część ludności Niemiec — odmówi posłuszeństwa, jeźli korzystając z czasu wojny, a chociażby nawet w dzisiejszym stanie ciągłego oczekiwania odwetu ze strony Francyi, podniosą się rozruchy socyalne, cóż wtedy zdoła podtrzymać przewagę Niemiec na zewnątrz?

Nie jest to jednakże obecny stan tylko samych Niemiec, lecz w ogóle całego Zachodu. Na tej arenie cywilizowanego świata formują się dwa obozy wrogie sobie na śmierć i życie. Z jednej strony kipiące morze szarej robotniczej klasy z pianą przekleństwa na ustach i kułakiem wzniesionym do góry; z drugiej strony zaś za mitraliezy i wojsko kryje się garstka frakowej przemożnej kapitałem i inteligencyą klasy mieszczańskiej. Jeszcze bój ostateczny się nie począł, lecz już padły strzały na pierwszej placówce — nietylko w Paryżu.

Jestto serdecznem życzeniem panującej klasy wywołać starcie się z socyalistami jak największe i jak najprędzej, póki jeszcze prze waga po ich stronie. Robotnicy doskonale, to rozumieją. „Ho! ho! wiemy iż oni chcą nas *zum Putschen* doprowadzić, ale nic z tego!“ Zdanie to było wypowiedziane jawnie na posiedzeniu podczas

owej kryzys robotniczej. Zasada unikania niewczesnych wybuchów rozwinęła się najbardziej w młodym pokoleniu wychowanym już w owej organizacyi socyalnej, która się poczęła od 1863 roku; w pokoleniu karmionem od dziecka zasadami dzienników *Volksstaat, N. Socialdemokrat* i t. d., przejętem już silnie zasadadami karności. Dziś gdyby się robotnik ruszył, kapitał zwyciężyłby niezawodnie, bo jeszcze wojsko usłucha komendy i da ognia do ludu. Lecz jeśli partya socyalna wytrwa w cierpliwości lat dziesięć, to i na wojsko liczyć nie można. Nie mówię tego bez podstawy — jawne są ślady iż propaganda socyalna wchodzi do koszar wojskowych, a w Zürichu już przed kilku laty stał się następny wypadek. W skutek toastów prusofilskich podczas wojny powstał rozruch w mieście, wojsku kazano wystąpić. Wojsko stanęło chętnie — dla parady. Lecz gdy lud się nie rozchodził, i oficer zakomenderował: „ognia!“ żołnierze parsknęli śmiechem i z całem szyderstwem sami sobie krzyknęli: „do nogi broń!“ — Nie radzę więc panującej klasie zbyt zawierzać wojsku, gotowe ono zawieść w stanowczej chwili..

Klasa kapitalistów sama na siebie bicz skręciła. Trzeba było cechy, ową bezwarunkowo lepszą formę bytu społecznego niż dzisiejsza, zamiast je znosić zastosować do nowych form produkcyi i handlu. Lecz to się nie dało pogodzić z ową rządzą złota, a bezreligijność przeszłego wieku nie ozwała się żadnym głosem przestrogi. Dziś ci sami ludzie wracają wprawdzie do zasady łączności lecz w przewrotnej formie: towarzystwa czeladników stają do walki z towarzystwami majstrów. Wszystko ich dzieli a nic nie łączy, bo z tego co wiązało cechy, z krzyża i krwi co po nim płynie niezostało w sercach i życiu tych ludzi tylko czcza forma.

To też nim tu rozświta dzień cudu łaski, musi wprzód nastąpić dzień kary. Ci ludzie co zachowawszy wiarę modlą się wśród tego społeczeństwa i za to społeczeństwo, nie cofną kary od niego. I my mieliśmy epokę taką! Za czasów Bolesława Wstydliwego zastępy świętych chodziły po kraju naszym, lecz modły ich nie cofnęły kary, którąśmy zasłużyli również przewrotem do gruntu stosunków społczesnych — walką wszystkich przeciw wszystkim, gdy setka ludzi z jednego powiatu walczyła przeciw setce sąsiadów gdy książęta rabowali podrogach. Nim nastał dzień łaski, dzień odrodzenia się pod rękę Łokietka wprzód zachuczał nad nami dzień kary bożej—bicz Batu Chana.

Ale jakaż to kara czeka Niemcy? na czem się skończy dzisiejsza ich robota? kto zwycięży? Odpowiadam krótko: przedostatnie zwycięztwo będzie socyalistów, ostatnie katolicyzmu. Czy w obecnej walce partyi liberalnej z katolicką zwycięży liberalna czy katolicka, zawsze to będzie tylko jednym krokiem bliżej do zwycięstwa socyalistów bo oni przezto będą mieli mniej o jednego wroga. Żadna partya nie dotrzyma kroku socyalistom. Przypatrzmy się każdej z kolei.

Partya liberalna mówi tylko o zupełnej wolności słowa, myśli, ba, nawet czynu. Ich to przecie zasada *laisser faire, laisser passer*, lecz skoro partya katolicka lub socyalna poczyna się ruszać, nawołuje rząd i policyę. Oni nie wierzą w to co mówią, zasady ich nie mogą być ujęte w system choćby chwilowej trwałości — oni nie zwyciężą to pewna. Dziś trzymają się ręka w rękę, lecz gdy niebezpieczeństwo zagrozi na dobre, będą wzajemnie kopali dołki pod sobą.

Partya katolicka! Ha! duch mocny, ale ciało słabe! — A szczególnie katolicy Bawarscy noszą wielki grzech na swem sumieniu! Wszak przez tyle lat mieli tu władzę wyłączną! Bóg i przyszłośc zapytają tych ludzi czemu ten talent poruczony zakopali w ziemię? czemu nie raz ręka w rękę szli z poganami dziewiętnastego wieku! czemu zaniedbali szkoły? czemu zaniedbali wychowanie księży? Serce się nieraz sciska będąc na zebraniu katolików. Setki ludu gotowe by słuchać słów otuchy — przewodzca mówi, ale czujesz, że to nie prawdziwe złoto, czujesz że i on liberalizmem zarażony, a może nawet niewierzy w to co mówi. Staje ksiądz na mownicy! Czujesz w tej piersi głębokie bolesne poczucie obecnej chwili, czujesz jak całą duszą i sercem chciałby obecne społeczeństwo wyrwać z upadku ale cóż z tego! ukształcenia odpowiedniego mu nie dano — widzi zgubne skutki zasad pogańskich wprowadzanych w życie, ale siły do walki z niemi nie ma, bo nie ma pojęcia o tej doktrynie pogańskiej, z której te zasady wyszły. Jak lud żądny słowa jest i prawdy miałem dowód niedawno, gdy wystąpił kaznodzieja katedralny Weber i nadzwyczaj popularnie a z całą gruntownością miał odczyt o „stowarzyszeniu chrześciańskich matek“. Mówił godzinę, odpoczął kilka minut, mówił drugą godzinę, i żeby kto się z miejsca ruszył! Czasami tylko westchnienie z piersi której z matek przerywało ciszę. Lecz takich kaznodziei nie wiele,

drudzy pożal się Boże! Sami katolicy nieraz się z nich pośmiechują, choć oczewiście słuchają spokojnie bo, szajka szpiegów liberalnych szydziłaby potem z niekarności partyj katolickiej. Ci ludzie jednak nie zwyciężą! Siła tych ludzi największa jeszcze na wsi w fanatyzmie chłopa, tą siłą jednak mogą co najwięcej zwyciężyć liberałów lecz nie sprostają socyalistom bo z tymi będzie walka na ulicach miasta, i ci są liczbą silniejsi.

Jedna więc tylko partya ukazuje nam się w całej swej nagiej sile i prawdzie: *Socyaliści*. Gdy stanie przed tobą robotnik w smolnej od pracy koszuli, gdy zakasawszy rękaw, pokaże ci kułak żylasty i trzęsąc nim przed oczy twoje powie ci stanowczo: „Słuchaj! jak przyjdzie chwila to cię zabiję — bo to wolno! jeśli tobie wolno mnie gnębić;“ to musisz przyznać, że ten wierzy w to co mówi! i nie wątpisz że ten zwycięży, bo takich milijony. Co potem będzie? to nowe pytanie, to tylko pewna, że wgłębi tej piersi ciemnej głęboko na dnie jeszcze Bóg żyje i on go zbawi i to będzie ostatnie zwycięstwo. Na to dam dowody trochę niżej i na tem właśnie opieram nadzieję jeszcze jednej drogi wyjścia dla partyi katolickiej. Jeżeli w obecnej walce z liberałami katolicy zwyciężą i jeśli zwycięstwa tego użyję na to, by nietylko formę lecz i treść katolickej nauki wprowadzić w życie, jeśli wszystkie stosunki od tronu do poddanych, od polityki gabinetowej aż do handlu tandetą ureguluje według nauki Chrystusa, którego to uregulowania masa ludu *żąda i domaga się*, choć sama czasem o tem nie wie, wtedy cały tłum socialistyczny robotników stanie po ich stronie, a przewódzcy ich dzisiejsi zostaną *generałami bez armii*. Lecz jeśli katolicy tego nie dokażą, muszą zginąć! już wyrok sobie podpisali tylko oprawca jeszcze nie zebrał odwagi by podnieść topor śmierci

Socyaliści muszą w przyszłości zwyciężyć, bo wszystko pracuje w ich sprawie, a i oni pracują silnie i organizują się tak, jak żadna partya.

Zwróćmy jeszcze raz uwagę na to, czem jest socyalizm z czego wynika; nie jest to rzecz nowa, to tylko dalszy ciąg tegoż samego moralnego upadku ludzkości, który się począł w wieku XV i XVI, gdy po raz pierwszy w chrześciańskiej epoce zostało złamanem prawo, na którem cały świat stoi. Prawem tem jest: *miłość* — *wzajemność obowiązków*.

Luteranizm wyrwał człowieka z pod tego prawa pod względem moralnych stosunków mówiąc: każdy niech wierzy jak chce, niech się nie wtrąca do wiary cudzej, a i sam niech się pomocy od nikogo nie spodziewa. Syn jego *liberalizm*, prowadząc tę zasadę dalej, wyrwał nadto człowieka z pod owego prawa pod względem materyalnym, inagórował zasadę *wolnej konkurencyi* i zasadę pieniężnego i *naukowego egoizmu*, którą nietylko na zachodzie, ale i we wielu naszych szkołach trąbią w uszy od dziecka wszystkim uczniom. — „Każdy niech się stara by mu dobrze było, a będzie dobrze całemu społeczeństwu," to niby „kochaj siebie samego, to będzie dobrze bliźniemu twemu" — parodya Bożego przykazania! Tu się jawnie okazuje cała głębia prawdy słów Chrystusa: „kto znosi jedno prawo, znosi cały zakon." Czasami nie można zmierzyć tego odrazu, loika faktów wykazuje to później. Któżby się był ośmielił nazwać *Luteranizm* w jego pierwszej fazie — poganizmem? — a oto w trzy wieki potem poznaliśmy „go po owocach jego."— Jednakże do czegóż może doprowadzić wola ludzka obok praw Bożych? Złamać te prawa w naszych stosunkach codziennych, nawet w stosunkach międzynarodowych na pewien czas, mamy potemu siłę, lecz dokonać tego na zawsze, wyrwać cały byt ludzkości z pod mocy Bożego prawa — tego siły ludzkie nie zmogą — jak nie zmogą choćby na jednę chwilę ruszyć ziemię z jej posad. Dla tego cały ten kierunek upaść musi, a musi upaść drogą kary. Złamać prawo mamy wolną wolę, lecz *eo ipso* ściągamy na się karę. Ponieważ idąc już wtedy drogą przeciw prawu, przeciw naturze wszech rzeczy, musimy dojść wreszcie do punktu, gdzie nasze drogi tak się splączą, że już nasz rozum nie wystarczy... kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera: nigdzie to tak jawnie nie bije w oczy jak w tej sprawie. Rewolucya prowadzona przez stan miejski, stan trzeci od XVI do XIX wieku — na zasadzie wolnej konkurencyi, skończyła się wygraną tegoż stanu, lecz taż sama zasada kazała im zacieśnić owoce tej wygranej tylko do kółka, swego wybranego, a tem samem stworzyli obóz wrogów — niechętnych im z całą słusznością, bo przecie nie sami kapitaliści wywalczyli dzisiejsze stanowisko swoje, lecz wraz z robotnikami. Komunizm — z punktu bezwyznaniowego — jest najprawniejszą reakcyą przeciw liberalizmowi. Liberalizm więzi pieniądze w ciasnym kółku kapitalistów. Komunizm dąży do rozszerzenia tychże

kapitałów na wszystkie warstwy. Kto z nich ma racyą? Według liberalnego dogmatu *większość ma rację* — a więc i komuniści jeśli będą w większości, będą mieli racyą. Socyalizm daleko większą ma podstawę niż liberalizm, socyalizm żąda konsekwencyi której niema wpostępowaniu liberalizmu. Żąda on tylko zupełnego wcielenia zasad wygłaszanych właśnie przez liberałów, jakoto: praw człowieka,szacunku pracy osobistej, prawa większości itp. Liberalizm wydarł im Boga, cóż dziwnego, że oni chcą ziemię posiąść, że oni już nie zwracają się ku niebu, nie zwracają się w tę stronę, gdzie właśnie znaleźliby zasadę *protestującą w samym założeniu obecnemu porządkowi rzeczy,* socyaliści protestują tylko przeciw zasklepieniu się bogatych, przeciw odsunięciu ich od tego, co oni sami w raz z nimi wywalczyli.

Jednakże wraz z rozwojem socyalizmu walka dochodzi do najwyższego zamieszania od chwili, gdy niknie chłodna rozwaga i panuje tylko namiętność. Ah! w takich chwilach najlepiej człowieka i społeczeństwo poznawać. I rzecz dziwna! w takich to chwilach rozdrażnienia budzą się w sercach tych ludzi ciemne wspomnienia instytucyj i praw, które chrześciaństwo przyniosło z sobą tu na ziemię, budzi się niby tęsknota za postradaną rzeczą, której się cenić nie umiało. Ten lud domaga się napowrót tych instytucyj, ale te wspomnienia są tak ciemne, że on je uważa za swój, za nowy wymysł. Trochę niżej wskażę cały szereg takich objawów zapowiadających powrót chrześcijaństwa, to będzie ostatnie zwycięztwo!

Lecz dziś! dziś liberalizm szerzy niewiarę wśród ludu, by zwalczyć katolicyzm — szkoły wiejskie i wyższe wychowują plemię albo ciemne albo do szpiku kości zmateryalizowane, na tym gruncie sieją potem apostołowie socyalizmu. Od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka idzie apostoł nowej idei często biedny odarty, lecz z sercem pełnem gniewu i złości i święcie wierzący w swoją dobrą sprawę i jej zwycięztwo. „Patrzcie! — woła do ludu — te miasta rozkoszne! te pałace świecące, ten przepych, ten dostatek, to pot z waszego czoła, to krew wasza skrzepła.“ „Klasy wyższe, to stek rozpusty i zbrodni — my musim świat zbawić, bo oni go zakują w kajdany. Oni nas wydziedziczyli, my ich musim wydziedziczyć.“ „Patrzcie! — niewolnicy jesteśmy i niewolników rodzimy.“ „W ziemi naszej własnej my nie mamy ojczyzny!“ — Ani jednego słowa tu swego nie do-

dałem, i pytam, co się dzieje w sercu prostego człowieka, gdy przy braku zasad moralnych przy ucisku społecznym jaki jest, słyszy takie słowa. Pan Böhm w powyżej wspomnianej książce swojej, boi się owych 500,000 dzieci które do szkoły nie chodzą, nie tu główne niebezpieczeństwo, tu cały lud miejski robotniczy, nawet ci, co do katolickich towarzystw należą, nawet ci pójdą do komuny. Tu już szkoła mało ma znaczenia w kierunku dodatnim, bo stosunki społeczne, zepsute do gruntu, olbrzymią siłą rozwijają w sercu zasady ujemne. Przecież od 1806 roku, aż do ostatnich czasów szkoła w Bawaryi była katolicką i cóż? właśnie w tym czasie, obok i pomimo tych szkół katolickich, rozwinął się najbardziej socyalizm. Wspomnienie o Bogu o którym dzieciom katecheta w szkole mówił zabił głos inny. Głód, szyderstwo i prześladowanie gromowym głosem ozwały się później w ich sercu, „Nie ma Boga, bo by na takie podłości nie pozwolił...“ słyszałem to sam z ust robotnika, jedna zmowa robotnicza rozbita — ta „wielka szkoła socyalistów,“ jak mówi Bakunin, wyrwała mu z piersi wszystko, co było zasianem w katolickiej szkole, i postawiła w obozie socyalistów. Zresztą bezbożni apostołowie socyalizmu krążą wszędzie wśród ciemnego ludu; a wśród klasy oświeconej, pośród owych nauczycieli wiejskich co poczynali nauki swoje od uczenia się mowy, pośród owych specyalistów techników, wśród rzemieślników, artystów, pośród specyalistów, lekarzy, naturalistów, filologów, krążą satelici lub dzieła takich Marksów, Engelsonów, Beckerów, Bakuninów. Lassalla nie liczę do nich, bo ten jeszcze najzacniejszy z socyalistów. Czegóż to w głowę tak niedouczonych, a lepszego bytu chciwych ludzi nabić nie można! a ci właśnie wychodzą na menerów robotniczego ludu, i szepcą mu za Marksem; „cóż łatwiejszego i cóż sprawiedliwszego nad wydziedziczenie klas wyższych, wszak pierwej garstka wydziedziczała cały ogół, dziś więc cały ogół wydziedziczy garstkę!“ Albo czy nie działa na umysły taki naprzykład początek broszury Engelsona: „Państwo to spisek tajemny.“ Pomijam już stosy innych piśmideł, załączam tylko w przypisku wyjątek z książeczki, parę z prospektu na *Neue Stunden der Andacht* [1]).

---

[1]) *Psalm 12. — Gottes wunderbare Erstehung.* Stammt auch sonst der Wesen Leben ob von einem Elternpaar, blieb doch elternlos der Schöpfer, weil er schon vor Anfang war.

Prócz tej pracy demoralizacyjnej na polu duchowem partya ta organizuje się w sobie, a ponieważ socyalizm jest antytezą chrystyanizmu, nie podobna zaprzeczyć mu pewnego antypodycznego podobieństwa z organizacyą kościoła. Na czele stoi *nieomylny* kongres. Władzę wykonawczą ma generalna rada. Ona ma prawo exkomuniki, ma prawo suspendowania sekcyj. *Generalrath* powinien się wprawdzie znosić z radą krajową, gdy idzie o suspendowanie jakiej sekcyi, lecz gdy naprzykład — jak się zdarzyło w Hiszpanii — rada krajowa popadła pod klątwę, *generalrath* uznał za *ortodox* pozostałą mniejszość sekcyi. Słowem w czasie między jednym kongresem a drugim rada generalna a w rzeczywistości kilku przewódzców tej rady są nieomylnymi. Dalej następują *Föderalraty*, to kościoły narodowe *Provincialraty* to biskupstwa, ostatecznie sekcye, to probostwa.

Wyższe klasy rozumują, mają czas, mają siły potemu; ludowi trzeba tężsamą naukę podać ujętą w formuły, w dogmata. I oto jest cały szereg takich dogmatów, w których jedno słowo nie zostaje zmienionem, mimo że niemal na każdem posiedzeniu bywają powtarzane. Podaję je w przypisku w oryginale, bo jeszcze w Polsce one nie mają prawa obywatelstwa.[1])

Uud das ist das grösste Wunder, dass er vor der Schöpfung schon, selbst geworden war sein Vater, und zugleich sein eigner Sohn. Dass er aus dem nichts erstanden ohne Eltern Lieb, und Lust, und allkräftiglich geworden. Ohne Milch der Mutterbrust. *Psalm 15.* — *Vom Leben im Himmel.* Allerholdste Engelinnen flettern sanft um dich herum, und da brauchst, du nur zu winken denn sie wissen schon warum. O da kunst du alles schauen, alles was die Seele entzückt, nicht ein einziges Feigenblättchen dekt ob wohin dein Augeblückt. Oto są *Stunden der Andacht*, a rozchodzi się to wśród ogółu, bo ceny takich rzeczy bajecznie tanie, za szóstkę kupuje się parę arkuszy druku, a czasem więcej.

[1]) Der Socialismus ist eine neue Weltanschauung, welche sich auf religiösem Gegiete als Atheismus auf politischem als Republicanismus und auf ökonomischem Gebiete als Communismus ausdrückt." — „Gleiche Rechte gleiche Pflichte." — „Der Boden gehört der Gesamtheit" — Expropriateurs werden expropriirt." — „Jeder gewinne gemäss seiner Anstrengung." — „Gleichheit, Freiheit, Brüderlichkeit und *Soli-*

Nie chcę powtarzać tego, co już o socyalizmie powiedział w Przeglądzie Polskim Ojciec Stefan Pawlicki, nie rozbieram samejże doktryny, zwracam tylko na to uwagę, że doktryna ta w żaden sposób nie jest zdolną uformować jakiegokolwiek społeczeństwa, wytworzyć jakąkolwiek cywilizacyę tak jak to zrobiły inne niechrześciańskie wyznania: mahometanizm, buddaizm i t. p. Wszędzie we wszystkich tych wyznaniach był — często mylnie — lecz zawsze uwzględniony czynnik ogromnej wagi w życiu człowieka — uczucie. W tem społeczeństwie, które socyalizm chce stworzyć, wszystko ma polegać na liczbie, na rachunku. Lecz czy to możebne? Weźmy ten jeden tylko dogmat: *każdy będzie miał zapłatę według natężenia się w pracy.* Gdzie będzie miara na to, kto się więcej natęża a kto mniej? lub ten dogmat: *ziemia należy do ogółu.* — Jakiem prawem mieszkaniec Wieliczki będzie miał ze swoich żup 100 razy więcej dochodu niż Krakowianin ze swego pola? Ostatecznie jak się dadzą pogodzić kraje między sobą? Jakiem prawem Polak będzie miał 10 razy więcej gruntu niż Anglik? — Lecz co się dziwić, że ogół, że satelici nie mają jasnego pojęcia przyszłych stosunków, kiedy papież socyalizmu Marx pozwala sobie na czcze deklamacye. W dziele swojem („Kapital“ — książka z 800 stronic) Marx rozbiera rzecz punkt za punktem, sucho wprawdzie i na fałszywej podstawie, lecz konsekwentnie jak pedant niemiecki; na raz gdy przychodzi do punktów, gdzie konsekwencye prowadzą do strasznego zawikłania, pedant ów wpada w entuzyazm i woła: „Expropriateurs werden expropriirt,“ „bo cóż łatwiejszego jak wydziedziczyć garstkę przez ogół.“ — „Wtedy to familia wstąpi w wyższą formę bytu!“ Ale w jaką? dla czego koniecznie w wyższą? wszak właśnie teorya Darwina ubóstwianego

---

daritãt.“ — Ostatnie słowo ma ogromne znaczenie, socyaliści bowiem wyrzucają kapitalistom, iż nie byli solidarni, że nie dotrzymali tego co obiecali. Ostatni zaś dogmat, „Die Zukunft gehört dem Socialismus.“ Niemasz robotnika trochę więcej wtajemniczonego w całą sprawę, by ci podczas rozmowy nie powtórzył przynajmniej jednego z tych dogmatów i to nie zmieniając jednego słowa, jednej intonacyi.

przez nich wszystkich dowodzi, że często forma wyższa przeradza się w niższą. — Nikt bliższego określenia nie daje![1]

Jeżeli państwo socyalistów stanie się na pewien czas rzeczywistością, to będzie ono państwem strasznego despotyzmu! Chłód grobowy owłada człowiekiem na myśl o tem społeczeństwie, w którem o wszystkiem — od obiadu aż do żony — nie!... aż do wolnej kobiety przyszłości — trzeba się będzie dowiadywać w miejscowem biurze. „Biada tam wszelkiemu talentowi! biada wszelkim wyższym zdolnościom“ — woła Eugen Jäger *(der moderne Socialismus)*, a socyaliści powiadają, że równość zdolności i równość rozwoju musi nastąpić przy równości wszelkich stosunków wychowania, na co jako dowód stawiają teoryę Darwina. Tak więc Niemcy mają przed sobą w każdym razie alternatywę despotyzmu, pytanie tylko z jakiej ręki? czy z ręki Bismarka jako cezaryzm, czy z ręki Marxa jako tyranizm Kleona.

Lecz jest to już w naturze Europejczyka, że on usnąć nie może, że nie da się zakuć na długo w więzy niewoli, że nie jest zdolny zasklepić się w państwo Chińskie. Jednakże — smutna konieczność złego — ci, którzy będą te więzy rwali, tym razem będą jeszcze gorsi niż ci, co je kuli.

Na pierwszym planie zasługuje zawsze na uwagę Internacyonał; zwróćmy jeszcze raz oczy na niego i zważmy w jakim kierunku idą herezye powstałe w jego łonie? International egzy-

---

[1] Ah! mylę się! co do stanowiska kobiety w tej wyższej formie bytu rodziny jeden z bogów *minorum gentium* socyalista, dał bliższe określenie. *Neuer Socialdemokrat* (z 72 roku Nr. 19) tak powiada: „dziewczyna, która swobodnie rozrządza swoją miłością, nie jest wcale prostytutką — to wolna kobieta przyszłości! W przyszłem państwie tylko miłość będzie kojarzyła związki, — między ślubną żoną a tak zwaną prostytutką będzie różnica tylko *quantytatywna* (*!!!*) Dzieci będą należały do matki a państwo będzie miało oboje w swej pieczy.“ Oto stanowisko kobiety w proponowanym socyalistycznym państwie — wszelka godność kobiety upada — schodzi ona na państwową maszynę. Czemu socyaliści nie zapytają się kobiety czy ona się zgodzi na to stanowisko? a przecież oni głoszą równość praw kobiety a więc i prawa głosu — szczególnie w tej dość ważnej dla niej sprawie.

stuje dziesięć lat, a do dziś liczy już cztery herezye wyszłe z jego łona: *sekta marsylska*, *sekta amerykańska*, *sekta londyńska i sekta Bakunina*. Sekta marsylska, występująca oficyalnie na kongresie w Haadze, przyznała zasady Internationalu lecz wypowiedziała, iż nie myśli poddawać się uchwałom rady głównej lub kongresów. Sekta amerykańska czyli sekta wolnej miłości, założona przez dwie siostry w Ameryce, wypowiedziała ostatecznie, że emancypacya robotników może tylko przyjść z góry od kapitalistów, robotnicy bowiem są niezdolni do tej roboty, ponieważ są biedni, a więc przekupni. Sekta londyńska żądała postanowienia, by od uchwał kongresu była jeszcze apelacya do głosowania okólnikiem po wszystkich sekcyach. Nie mówiąc już o Bakuninie, dwie najpierw wymienione sekty wskazują, w którą stronę posuwa się herezya — w stronę jeszcze większej dezorganizacyi, w stronę tak zagmatwanych stosunków, że w głowie się mąci myśląc o nich.

„Wszystkie prawa obowiązki i urządzenia wypływające z dzisiejszego porządku rzeczy. Wszystkie infamie sądownictwa, policyi i religii, będą miały raz koniec w nowym porządku rzeczy. Stosunki obojga płci mają być wolne zupełnie". Gdy rada generalua nie chciała uznać sekcyi Bakunina pod nazwą „Sekcya socyalistyczno-rewolucyjnej propagandy", począł wołać, że Internacyonal to despota, że chce kongresy zastąpić konferencyami, że jest gniazdem intryg i kończy temi słowy: „to jest absolutne niepodobieństwo mieć władzę nad równymi sobie, a przytem być moralnym człowiekiem!"

Lecz może ktoby myślał, że takich ludzi jest mało, że oni nic nie zrobią? Oh! jest ich dosyć. W Szwajcaryi kilkanaście sekcyj (Jurassische Föderation), znaczna część sekcyj w Belgii, większa część sekcyj w Hiszpanii wraz z radą krajową, wiele sekcyj we Włoszech wkońcu cała Rosya — może z wyjątkami — ten kolos ciemnego ludu! W ostatnich czasach Bakunin przycichł, International exkomunikował go, ale wieści chodzą, że wśród organizacyi Internationalu jest druga tajemna organizacya Bakunistów — co bardzo możebne bo to nadzwyczaj czynni ludzie. Nie zowiązała się choćby drobna sekcya by się tam nie zjawił apostoł Bakunina, ze swoim czerwonym programem. Ci ludzie chcą zaraz — natychmiast rewolucyi. Bakuniści Hiszpańscy wyrzucali generalnej radzie na Kongrasie w Haadze iż ona

„ani jednej rewolucyi nie urządziła". — Bakuniści to socyaliści socialistów. W państwie socialistów, które przez gwałt powstanie przemocą i despotyzmem na chwilę może się utrzymać potrafi, buchnie rewolucya Bakunistów, rewolucya, której zadaniem będzie „ogniem i mieczem zorać cały boży świat". — Bakuniści będą mieli zupełnie to samo uprawnienie bytu co i socyaliści. Państwo socyalistów będzie stało na zasadzie nieomylności uchwały większości, lecz Bakuniści powiedzą u nas jest więcej inteligencyi, a tam tylko tłum przeważa, trzeba ten tłum przekonać że nasza idea jest lepszą a ponieważ „przemoc jest pomocnikiem przy porodzie na świat nowej idei" a więc przekonajmy ich o tem gwałtem. Z punktu socyalisty czy może być więcej usprawiedliwiona rewolucya. Nadto proszę zważyć, że socyalizm rozwija namiętności, w jakim kierunku — świadczy Bakunizm. Im dalej będą się plątały stosunki społeczne tem więcej będzie Bakunistów — i ostatecznie będą stanowili większość.

Komuna paryzka była niewinną zabawką dzieci w porównaniu do tych rewolucyj w przededniu których żyjemy. Szlachetnymi byli Girondyści w porównaniu do tych tłumów, które Robespierre prowadził. Jakobini wyrznęli Girondystów, później Danton guilotynował aż pokąd sam nie padł pod guilotyną, potem Robezpierre również przez rzeź doszedł do rusztowania, ostatecznie nastała straszna anarchia i silna ręka Napoleona była błogosławieństwem dla Francyi i świata. Tak i po rewolucyi socyalnej nastąpią rzezie Bakunistów, później przewódzcy ich padną nieochybnie, a nad tłumem rozhukanym i luźnym zapanuje pewnie jakiś despota i zaprawdę ten despota będzie dobroczyńcą ludzkości. A jeśli nastanie kilka lat spokojnych, lud się opamięta, rozmyśli nad tylko co przebytą krwawą drogą, wtedy wyjdą z ukrycia ci, których dziś świat wyśmiewa jako exaltowanych wyznawców, na których w dniach owych rzezi i ognia patrzyć będą z pogardą i gniewem i których niejedna głowa padnie w straszny ów dzień. Wyjdą wtedy z ukrycia na żniwo swoje, na nowe apostolstwo nauki Chrystusa. I ludzkość przyjmie ich i ludzkość po tylu klęskach zrozumie przez nich podane słowo Boże, zrozumie ich i ten tłum ciemny, któremu myśli zatruto zwątpieniem, którego nauczono bluźnić przeciw Bogu, lecz w którego piersi żyje jeszcze silne poczucie Boga i jego praw, których wyrwać z siebie on nie miał siły, i tylko bunt przeciw nim podniósł.

Bo ileż stron dobrych jest jeszcze w tych sercach zdziczałych, o które będą mogli potrącić przyszli apostołowie chrześcijańscy.

Przewódzcy socyalistów twierdzą, iż wyższą formą familii to wspólność żon, robotnik to powtarza, ale on w to nie wierzy. Dowodem na to ten fakt, że gdy zniesiono zakaz żenienia się kto nie miał na to funduszów, setki robotników związały się nie w śluby wolnej miłości lecz w śluby kościelne. *Towarzystwo robotników rzeczy drewnianych*, uważane przez socyalistów jako ideał przyszłej organizacyi społecznej, ma w swoich statutach taki artykuł: „Na koszta pogrzebu jednego z członków kasa towarzystwa wypłaci 13 talarów jego *prawnym następcom.*“ Jakie tu związki familijne były na myśli? pewnie nie wolnej miłości lecz chrześcijańskie, bo w razie przeciwnym słowa *prawnym następcom* nie miałyby sensu!

Zniesienie własności to tylko mrzonka przewódzców! Niech kto zapyta robotnika, czy on swoją własność pozwoli sobie zabrać. Przy tem zważmy, ze nawet wśród przewódzców nie ma zgody na zniesienie prawa spadku, a prawo spadku jest przecież nonsensem przy zniesieniu prawa własności. Zresztą *najzacniejszy z socyalistów* własność pozostawił i powiada otwarcie: „alles einmal erworbene gesetzliche Eigenthum ist vollständig unantastbar u. rechtmässig“ (Arbeiterprogram. S. 21 — Lassalle). Jest więc i poczucie prawa własności.

Przewódzcy wołają o zniesienie narodowości a w chwili rozdraźnienia po roku 1870-71 zaprzeczyli sobie samym, bo Niemcy wołali na Generalrath, że za wielu Francuzów w skład swój przyjmuje, a Francuzi wołali, że rada choruje na germanizm. Gdzież się podziało „precz z narodowością.“

Nie ma Boga! wołają przewódzcy, a w pismach z zimnem szyderstwem bluźnią wszystkiemu, co religia podaje. Lecz wejdź w rozmowę z robotnikiem! powiedz mu: „lecz na to przecież Bóg nie pozwala!“ Jeden popatrzy ci się w oczy z boleścią jak gdyby z wyrzutem, żeś wspomniał to, co mu niegdyś drogiem było, a co on stracił; z wyrzutem, żeś w ranę go trącił. A drugi z pianą na ustach krzyknie! „Jaki Bóg! nie ma Boga!“ i kułakiem w stół uderzy „wierzyliśmy w Niego, i cóż pomogło? sprobujem bez Niego“ Lecz czujesz, że to nie jego słowa, że to go tak na-

uczono. On bluźni przeciw Bogu, ale to podarek liberalizmu! on wrogiem chrześcijaństwa, ale to zawdzięcza żydom. To nie ateizm u niego, to bunt przeciw Bogu. To nie ów chłodny atheizm liberalizmu i przewódzców socyalizmu, co gdy mu wspomnisz o Bogu uśmiecha się do ciebie ckliwie, jak gdyby mówił: „żal mi ciebie, żeś taki głupi“ nie! to ten sam stan, w którym również ciemny poganin bił swego bożka za to, że mu się źle powodziło. Lecz czyż może być większy dowód, że on w tego bożka wierzył? Oh! prędzej da się nawrócić ten, który krzyż po ojcach odziedziczony gruchocze i nogami depce, niż ten, który rachuje gdzie ten sprzęt ponieść, by dostać za niego najwięcej pieniędzy. W piersi robotnika żyje jeszcze poczucie Boga!

U tych ludzi jest także poczucie szacunku i miłości pracy. Podczas zmowy stolarzy jeden tak mówił: „Robią nam zarzut, że pracować nie chcemy i dla tego tę zmowę urządziliśmy. Fałsz! my chcemy pracować, my kochamy naszą pracę! Ależ my ludzie i nam się przecież uczciwe życie należy.“

Przewódzcy to doskonale widzą, a skarbiąc serca robotników wołają ciągle do nich: „Komuna nie będzie żadnem ciałem parlamentarnem, to będzie społeczeństwo pracy“ i temi to słowy wywierają urok na robotników. Oto są strony serc robotników, o które będą trącali przyszli apostołowie chrystyanizmu, ci którzy ostatecznie ten świat zwyciężą, ci którzy wiernie zachowują słowa pożegnalne Chrystusa: „na świecie ucisk cierpieć będziecie, ale ufajcie, jam zwyciężył świat.“

Tak po długich latach klęsk i niedoli, po dniach strasznej nauki ludzie znowu wrócą do przekonania, że rozum ludzki nie ma siły na zupełne zorganizowanie społeczeństwa, że są wyższe ideje i prawa, które rozum nasz pojąć może i powinien, lecz przed którymi korzyć się musi, w treści których nie ma prawa zmienić jednej litery, że wraz z odrzuceniem tych praw rozum nasz nie wystarcza na pogodzenie tych wszystkich sprzecznych interesów, które się w życiu ludzkości krzyżują, a które są wynikiem połączenia w człowieku złych popędów i ułomności z jednej a sumienia z drugiej strony. Zwrócą się wówczas do owej książeczki spisanej przez czterech nie uczonych, nie mędrków, lecz prawych sług Bożych, do owego zbioru przypowieści i nauk

prostych, z których ludzkość już tyle wieków czerpie i której wyczerpać nie może; do mądrości, która wyrwała niegdyś całą ludzkość z upadku, bo ileż społeczeństw i wieleż razy znalazło tam swe odrodzenie? wieleż ich i ile razy znajdzie je jeszcze wprzyszłości? Bo są to słowa Tego, co zbawił na krzyżu ludzkość całą, w jej wszystkich przeszłych i przyszłych pokoleniach.

Michał Żmigrodzki.

KWESTYE PODRZĘDNE

przez

A. Dołężynę.

LIST I.

Kraków w Styczniu 1874.

Czy pamiętasz Sabinko rozmowy nasze, w powrocie z wspólnych wycieczek? Bierze mnie ochota odnowić je, potrącić jeszcze o te kwestye, co stanowiły ich przedmiot; dorzucić słówko do rozbieranych wtedy przez nas zagadnień życia; snuć dalej w pisemnej rozmowie z Tobą, to czegośmy nie domówiły onego czasu. Kto wie, czy chwile gawędki jeszcze dla nas powrócą? Nic w życiu nie wraca w ten sam sposób i w tych samych warunkach, pamiętajmy o tem! I dlatego że nic nie wraca, my nie odchodźmy od tego, co dobre — a dobremi były pogadanki nasze pod kwitnącemi kasztanami plantacyj. Każda z nas zapatruje się wprawdzie na życie z innej strony. Tobie uśmiecha się ono, jak przyszłość zasłonięta jeszcze, jak przestrzeń szeroka i długa, którą masz przed sobą; mnie zaś przedstawia się życie jak odbyta już droga.

Mimo tej różnicy położeń, w zgodzie jesteśmy co do najgłówniejszych rzeczy. Obiedwie wiemy, czego chcemy, a pragniemy tylko tego, co uszlachetnia serce i podnosi duszę! Ale

że życie w większej połowie składa się z rzeczy powszednich, z faktów pospolitych, i że po za tą sferą kobiecie żyć niepodobna bez zaniedbania najpierwszych obowiązków, więc cały sekret na tem, aby połączyć to co podniosłe z tem co zwyczajne, tak aby pierwsze nic nie straciło, a drugie zyskało wszystko na tem połączeniu.

Sama sobie na przestrogę napisałam to zdanie zaraz na początku. Nie chciałabym cię nudzić, droga Sabinko; nie mam też zamiaru stawiania ci drogoskazów, tyle już tych rąk z wyciągniętym palcem wskazującym stoi daremnie po drogach życia, a Słowacki w pierwszej pieśni Beniowskiego zdyskredytował raz na zawsze doświadczenie, nazywając je zgaszoną świecą, bawełną w uszach od ludzkiego jęku, i różnie jeszcze. To prawda, sparzyć się trzeba koniecznie osobiście; przez prokuracyę, na nic się to nikomu nie zdało; tylko że na ranę można położyć balsam kojący, zamiast piekącej trucizny, i to jest zadaniem medycyny moralnej. Higiena duszy ma ogromne zadanie! Lecz ludzie bez niej żyć próbują, i ani myślą o tem, że bez niej żyć niepodobna. Dla zdrowia i upięknienia ciała robi się tyle! począwszy od pieluszek aż do szlafroka starego pedogryka, wszystko obmyślane jest ku wygodzie i ochronie. W porządku duchowym, moralnym, idzie się najczęściej samopas i naoślep; gdzie tam, idzie się wśród przeszkód i w obałamuceniu.

Ledwie cię czytać nauczą, już spotykasz na stolikach książki i dzienniki paradoksów pełne, słyszysz rozmowy drażliwe dla dziecięcego ucha, widzisz ryciny zapełniające potwornościami twoją wyobraźnię; światek twój wewnętrzny zaludnia się zagadkami, których rozwiązać nawet nie próbujesz! I z tym balastem masz iść w drogę, w drogę ciężką i ciemną i długą niekiedy, nieopatrzona niczem prócz instynktu. Jeżeli masz instynkt dobrego, przeczucie Boga w duszy, to wyjdziesz cało, choć z ranami i guzami, a wtedy błogosławione te rany i te blizny, to twoja własność, to twój moralny dorobek, tego ci nikt nie odbierze i nic nie zastąpi! Ale biada, jeżeliś nie obdarzona szczęśliwą, wyższą naturą! W zadowoleniu własnem szukać będziesz szczęścia, i nigdy go nie znajdziesz! Zadowolenie siebie, to przepaść bezdenna! Wszystko, cobyś w nią wrzuciła, nie zapełni jej; im więcej jej dajesz, tem pustsza

jest, i woła więcej, ciągle woła! Zatkajmy uszy; nie dajmy się tej pokusie, a pokusa to potężna; daj jej mały palec, ona weźmie całą rękę, a potem ramię, a potem ciebie całą. Kiedy przeciwnie nie ma wdzięczniejszej pracy, jak praca nad sobą, nie ma tryumfu, jak zwycięztwo nad sobą.

Weźmy jaki mały przykład. Uprzytomnijmy sobie, jaka jest następna chwila po dogodzeniu sobie, a jaka po przezwyciężeniu się. Dajmy na to, żeś się zniecierpliwiła, że ktoś niesłuszne, gorzkie powiedział ci słowo, żeś się próbowała bronić, ale nie miałaś już zimnej krwi, i jak zwykle w takim razie bywa, zamiast przytoczyć coś na swoją obronę, powiedziałaś słowa, które cię w twoich własnych oczach poniżyły; wychodzisz więc z pokoju, aby zakończyć niemiłą rozmowę, ale ręka ci także źle służy, zanadto nagle puściłaś klamkę i — trzasnęłaś drzwiami. W pierwszej chwili czujesz pewien tryumf; trzasnąć drzwiami wydaje ci się wcale niezłym argumentem! Ale nie upłynęło jeszcze ani pięć minut, kiedy już dałabyś niejedno, aby ten fakt odwołać; przygniata on cię jak złe wspomnienie, uwłacza ci najwidoczniej, i jeżeliś się zastanowiła choćby chwilkę nad sobą, nigdy już drzwi tak głośno nie zamkniesz w podobnej chwili. Potrzeba tylko, aby przyszła owa chwilka zastanowienia.

A teraz odwrotna strona medalu czyli strona dodatnia. Przypuśćmy, że w kółku, w którem żyjesz, znajduje się osoba, która nie posiada twej sympatyi; nie jestto wstręt właściwy, ale brak punktu stycznego, odrębność gustów lub wychowania, słowem brak zrozumienia i niechęć zbliżenia się wzajemna. W dodatku powtórzono ci jakąś jej uwagę o tobie, która cię zadraźniła i coraz więcej czujesz się od niej oddaloną. W tym składzie rzeczy znajdujesz się w jakiemś towarzystwie, gdzie (jak to najczęściej bywa) z braku tematu do rozmowy, biorą bliźniego na stół anatomiczny i sekcyonują żyłka po żyłce. Przedmiotem sekcyi jest właśnie zwyż wzmiankowana osoba i jej ujemne strony. Rozmowa ta, w której zrazu nie wzięłaś udziału, sprawia ci jednak pewne zadowolenie, słuchasz z zajęciem i potakujesz w duchu — i już, już masz coś bardzo trafnego dorzucić, ale na czas przychodzi rozwaga i twój Stróż Anioł szepnął ci, żebyś jej właśnie broniła. Dobrą stronę jakąś ma każdy, szukasz jej w osobie, o której mowa, i natychmiast

znajdujesz i podnosisz ją wobec tych, którzy tylko ujemne widzieli. Twoje serce rozszerza się, podnosi, czujesz żeś odniosła zwycięztwo nad sobą, dziękujesz Bogu i dobrą chwilę święci twoja dusza. Przy najbliższem spotkaniu z tą osobą spostrzegasz, że przestrzeń rozdzielająca was zmniejszyła się znacznie, a z czasem i łaską Bożą zamieni się ona w dobry stosunek.

W tych pozornych drobrostkach codziennego życia leży często materyał wielkich rzeczy, a nie ten wojownikiem kto pokonał drugich, ale kto siebie zwyciężył. Tryumfy nasze na tem polu tem droższemi nam są im z większą trudnością osiągnięte.

Czy tylko ja dzisiaj nie zapomniałam tego nad sobą panowania, rozpisując się tak bez miary? Czy mi przebaczysz, że zagalopowałam się trochę na pole teoryi, kiedy miałyśmy nie wychodzić z formy gawędki?

Otóż lekarstwem na to jest, abyś mi jak najprędzej odpisała, co myślisz o tem wszystkiem? W przyszłym liście odpowiem na rzuconą przez ciebie kwestyę: dlaczego tyle panien nie wychodzi za mąż?

A tymczasem życzę z całego serca, abyś ty znalazła to słońce szczęścia, które się nazywa miłością, w dobrem znaczeniu tego wyrazu — a czy to będzie miłość jednego czy miłość wszystkich, byle była z Bogiem i w Bogu, spokojną będę o ciebie Najdroższa.

Tem życzeniem żegnam cię

Twoja

Anna.

LIST II.

Kraków w Marcu 1874.

Niedawno temu znajdowałam się na liczniejszem zebraniu towarzyskiem, składającem się przeważnie z kobiet, pomiędzy któremi znowu przeważały panny, wyszłe już po za epokę zwaną: na wydaniu. Mój pociąg do obserwacyi sprawił, że zamyśliłam się mimowolnie nad przyczyną, dla której te ko-

biety pozostały i pozostaną już prawdopodobnie osamotnionemi wśród społeczeństwa. Zrazu przyszła mi na myśl owa kwestya kapitalna dzisiejszych czasów, czyli kwestya kapitału. „Małżeństwo jestto kosztowny Sakrament,“ powiedział niedawno jakiś żartowniś, którego swatano. Ależ jakby na zaprzeczenie nasunęły się na myśl różne pary świeżo połączone, bo na chlubę naszego miasta powiedzieć trzeba, że wyszło właśnie kilka panien bez posagów, za ludzi z majątkami, albo z bytem zapewnionym przez owocną pracę. Zresztą galerya panien, jaką miałam przed sobą, liczyła w swojem gronie uposażone i od natury i od losu jednostki. Szukałam więc między niemi jakiejś cechy wspólnej, mającej wytłumaczyć moją zagadkę, odpowiedzieć na moje zapytanie.

I czy wiesz, co znalazłam? Może się oburzysz, droga moja, może nazwiesz to uprzedzeniem lub surowym sądem; lecz ja mam przekonanie, że tym, których się szanuje, należy się prawda, a szanuję płeć moją, więc powiem bez ogródki: znalazłam zbytnie zajęcie się sobą. Nie znam rzeczy, któraby była mniej do twarzy, któraby więcej szpeciła, jak ta myśl przywiązana do każdego ruchu, do każdego słowa: jak ja się też wydaję?

A czy uwierzysz, że to usposobienie nie jest do pokrycia żadną sztuką, największą nawet zręcznością. Osoba zajęta sobą nie potrafi nigdy zająć nikogo. Mężczyzni bez zdania sobie może sprawy z wrażenia swego, czują, że po za tą figurką pozującą ciągle, znajduje się ukryta egoistka, niezdolna ukochać prawdziwie; a nie ma już dzisiaj tych bohaterów, którzy kochani czy niekochani chcą tylko uszczęśliwić przedmiot swej miłości. Nawet romanse dzisiejsze nie przedstawiają już takich sytuacyj. Małżeństwo, jak wszystko, zastosować się musiało do ducha czasu, i z idealnego tylko połączenia dusz, zeszło do assocyacyi kapitału i pracy. Pod nazwą kapitału nie rozumiem tu wcale spółki finansowej, lecz mam na myśli kapitał moralny, stopień ukształcenia, przymioty serca i umysłu, ułatwiające bardzo tę pielgrzymkę we dwoje przez świat i życie. W małżeństwie bowiem jest taka wspólność interesów, że linia graniczna między poświęceniem a korzyścią własną jest prawie niedostrzegalną. Więc każdy szuka tego, co mu

najmniej ma zawadzać, owszem tego, co pomagać ma w trudach i zadaniach życia.

A pytam się, czy kobieta zajęta sobą może być istotną pomocą, podporą dla męża? Powiesz mi może, iż wada ta wyradza się właśnie z braku sposobności zajęcia się drugimi? Ach moja Sabinko, gdzież brak tej sposobności? w jakim najciaśniejszym kąciku nie ma tysiąca bied cudzych i cudzych potrzeb. Należy tylko przestać myśleć o sobie, a nawałem nasuną się sposobności myślenia o drugich. Początkowe wychowanie kobiety powinnoby szczególnie wziąść na uwagę ten kierunek, i w małych już dziewczątkach budzić tego ducha ofiary, bez którego kobieta jest lalką, manekinem do wieszania coraz to nowych sukien i kapeluszy.

Nie łudźmy się, miłość bez abnegacyi jest tylko miłością własną. To nasze *ja* jest takie twarde, takie trudne do usunięcia na drugi plan. W mężu, w dzieciach, w ludziach w ogóle można szukać i kochać tylko siebie, i błąkać się bezwiednie w tem zaklętem a tak ciasnem kole. Dla duszy otwierają się szerokie horyzonty tylko w wyrzeczeniu, i to jest prawdziwa, jedyna emancypacya, do jakiej dążyć nam wypada.

To, co piszą i mówią o wyzwoleniu naszem, traktując sprawę naszą jak sprawę murzynów, uwłacza nam, mojem zdaniem, niepomału. Myślałby kto, żeśmy naprawdę takie uciśnione, że jęczymy w kajdanach niewoli. Wszystko zależy od pojęcia wolności i od użytku, jaki się z niej robi. Weźmy naprzykład manię ślizgawki, która w ślad za innemi nowościami przyszła do nas z zagranicy. Matki rodzin, matki kilkorga dzieci rozbijają głowy, padając na lodzie, a mężowie milczą — i cóż tu mówić o niewoli? Gdyby która z prababek naszych, co to rodziły i wychowywały bohaterów, wstała z grobu, aby przypatrzyć się skarłowaciałej na duchu prawnuczce, to jeszcze prędzej uciekłaby od tego smutnego widoku.

Już sama łyżwomania przecina kwestyę mniemanej niewoli.

Może czytając te słowa, marszczysz brwi moja Sabinko? może i ciebie także wodzi na pokuszenia szyba zamarzniętego stawu? Uspokój się; dla dziewcząt uważam ten rodzaj rozrywki za grzech powszedni, a może tylko za małe wykroczenie przeciw dobremu smakowi, o tyle jednak, o ile nie przechodzi ono w passyę, w niepohamowanie — a widzimy niestety, jak

te małe rzeczy, źle użyte, groźnemi się stają. To są nasze bicze i kajdany, i od tej niewoli uchowaj nas Panie.

Tymczasem lud stopniał, aksamitne trawniki rozesłały się po ziemi, drzewa pękają, a słowik cotylko nie zaśpiewa swego Alleluja. Bo i on i my i wszystko na ziemi tę jednę ma racyę bytu; każdy ma być jedną nutą w tej wielkiej symfonii, której finalnym akordem bramy wieczności otworzym sobie.

„Piękny jest świat ten i wszystko, co zawiera; ale trudno byłoby żyć na nim bez myśli o drugim, lepszym i piękniejszym“ — powiedział Jan Paweł Richter.

Tak więc przez znane do nieznanego dążmy, coraz szerzej, coraz swobodniej poglądając przed siebie. Nie ma niewoli dla tego, kto ma serce dla każdej wyższej miłości otwarte; nie ma samotności i opuszczenia dla tego, kto tą wysoką, lepszą miłością cokolwiek ukochać potrafił!

Cóż ty na to, Najdroższa? Nieraz potrącałyśmy o tę kwestyę życia ofiary, życia dla drugich; zdawało mi się wtedy, że uważałaś moje w tej mierze przekonania za graniczące z utopią. Pewnie więc i dzisiaj nie przekonałam cię jeszcze, ale nie tracę nadziei i chcę na przyszły raz mówić z tobą o życiu wewnętrznem, które jest podstawą wszelkiego duchowego postępu i rozwoju.

A tymczasem niech ten wiosenny wietrzyk, który rozwiewa ci włosy, zaniesie ci myśl moją, uścisk mój i niech ci moje uczucia opowie.

Anna.

LIST III.

Kraków w czerwcu 1874.

Królestwo nasze, droga Sabino, bardzo podobne do królestwa Chrystusowego; nie jest z tego świata. Wszelkie usiłowania równouprawnienia płci naszej w rzeczach zewnętrznych są i pozostaną mrzonką, a szkoda tylko zabiegów tych ludzi co z dobrą wiarą upominają się o prawa, których nikt nie zaprzecza.

Gdyby. się znalazła kobieta obdarowana wielkim geniuszem i odpowiednią do geniuszu siłą fizyczną, wolna od tyranii nerwów, migreny i t. p — któż jej zabroni i przeszkodzi zostać choćby nawet.... admirałem.

Sławna Dora d'Istria pisze uczone dzieła, maluje ogromne olejne obrazy, w paru miesiącach uczy się każdego języka, robiąc przy tem tuzinami pończochy; — uratowała życie kilku tonącym, tak pływa znakomicie. Niemniej pozostanie ona tylko ciekawą odmianą, rzadkim egzemplarzem, nie stworzyła ani szkoły, ani reguły. Co dowodzi, że owe bohaterskie zachcianki naszych protektorów i adwokatek sprawy naszej rozbijają się o.... pierwszą kołyskę.

Wprawdzie, wielki procent kobiet niezamężnych nie przestaje stanowić jednej z najtrudniejszych do rozwiązania kwestyj społecznych, lecz jakkolwiek liczny byłby ten zastęp, niepodobna brać go inaczej, tylko jak się bierze wyjątki, to jest liczyć się z nim trzeba osobno. Ogół nie da się wyjąć z pod praw najmędrzszą ręką Stwórcy nakreślonych.

Jeżeli warunki w jakich kobieta ma żyć i działać przedstawiają na zewnątrz niezbyt szerokie pole, jakież natomiast obszary stoją jej otworem w życiu wewnętrznem. A jeżeli sumiennie i z dobrą wiarą zastanowimy się nad tem, przyznać musimy, że lepsza cząstka nam się dostała. To co mężczyzna wynosi na świat z domowego ogniska, co wprowadza w życie, w czyn zamienia, jest częstokroć natchnieniem zaczerpniętem w tej życiodajnej atmosferze, która otaczała pierwszą młodość jego. Pozornym więc jest tylko brak wpływu i działalności kobiet, historya bowiem dowodzi, że prawie wszyscy wielcy ludzie niepospolite mieli matki, a jeden z najznakomitszych pisarzy francuzkich powiedział niedawno: nie mamy człowieka, bo nie mamy kobiety.

Jeżeli ważność zadań życia mierzyć się da odpowiedzialnością jaką za sobą pociągają, to wielkiem jest zadanie nasze, jest ono rodzajem kapłaństwa, i tak jak kapłaństwo, niegodnie piastowanem być nie powinno. I jedno i drugie potrzebuje pewnego skupienia, skoncentrowania się wewnętrznego, pewnej ciszy, w której urabiać się tylko może w właściwych warunkach — jednem słowem potrzebuje życia wewnętrznego.

Dla całkiem nieobeznanych z tą praktyką, wyraz ten wyda się może owocem jakiegoś marzycielstwa, egzaltacyi, która, dzięki Bogu, wyszła już całkiem z mody. Więc nie o tem tu mowa. Nic trzeźwiejszego i prostszego jak życie wewnętrzne, życie duszy dla tych, co duszą są obdarzeni.

Utrzymując tak troskliwie życie fizyczne czy nie czujemy potrzeby postarać się, aby władze nasze moralne rozwijały się i postępowały pod wpływem okoliczności sprzyjających? Rozum, pamięć, wola potrzebują tak dobrze pokarmu jak i ciało, potrzebują pokrzepienia i spoczynku. Bez urządzenia się wewnętrzego idą luźno i samopas, przestają być narzędziem, ktoreby nam służyło do podniesienia siebie i wszystkiego dokoła, a wówczas stan nasz ogólny zbliża się bardzo (przebacz mi porównanie) do stanu zwierząt rządzących się tylko instynktem naturalnym i wpływem wrażeń chwilowych.

Potrzeba więc zbudować sobie w duszy małą pustelnią i do niej się w pewnych chwilach uciekać, stanie się ona wkrótce arsenałem gdzie i broń najdzielniejszą przeciw słabościom naszym i tarczę najpewniejszą przeciw złym wpływom zawsze znajdziemy.

Jak we wszystkiem tak i w tem, najtrudniejszy jest początek. Jakiekolwiek są warunki życia naszego czy to praca odpowiednia usposobieniu, czy praca ciężka i przymusowa, czy życie rozrywek bez końca i ciągłego towarzyskiego obcowania, w każdym razie przychodzą chwile zmęczenia, czczości, unużenia, w których nic nie myślimy i nic nie widzimy prócz wielkiego znaku zapytania: po co to wszystko? W owej chwili anioł i szatan stają obok nas i każdy radby wziąść ducha naszego pod moc swoją. Anioł mówi: wszystko co cię spotyka obmyślane jest przez najmiłościwszą Opatrzność — wszystko spożytkować możesz na swoje i drugich zbawienie; wznieś się tylko trochę wyżej a wszystko w innem ukaże ci się świetle; staraj się być lepszą, a ulepszysz drugich; nie bądź ciężką innym a oni miłemi ci się staną — jednem słowem pracuj nad sobą a zdobędziesz wszystko!

Szatan jedno mówi tylko słowo: używaj — i częstokroć zwycięża. A zwycięża dla tego żeśmy częstokroć bezbronni wobec niego, że na ten argument tak racyonalny na pozór, nie mamy w próżni naszego serca, żadnej odpowiedzi, ześmy sobie

nie zbudowali tego przybytku, w którymby broń nasza spoczywała.

Szczęśliwa dusza, która pierwszej chwili przesytu i znużenia użyje na to, aby kamień węgielny tego gmachu życia wewnętrznego założyć. Znużenie przyjdzie wprawdzie nieraz jeszcze, ale jakże odmiennie będzie przyjęte i traktowane jeżeli znajdzie umysł przygotowany na tę konieczną ewentualność ziemskich rzeczy.

Natura niecierpi próżni, mówią, o ileż więcej duch niecierpi próżni, nietylko choruje w niej, ale marnieje, przepada.

Szukajmy więc oazy pośród pustyni i tam niech będzie mieszkanie nasze.

Z początku dość na to chwilki, naprzykład kwadrans przed wieczorną modlitwą, zastanowić się nad sobą, podsumować rachunek i wiedzieć swoje habet i debet jak to porządny kupiec czyni. Powoli wejdzie to w chwalebny nałóg — a z czasem przesiąknie tem cała nasza istota i na wszystkich naszych czynach zewnętrznych wybije się to piętno wyższego życia, tak że i najlichsza, najdrobniejsza czynność nasza mieć będzie swoją aureolę — aureolę dobrych chęci.

Kończąc, czuję jak mało powiedziałam, jak wiele brakuje do wyczerpnięcia tej kwestyi, ale kartka papieru objąć wiele nie może, a postanowiłam nie przechodzić pewnych granic; kilka luźnych myśli chciałam ci rzucić do rozważania i nic więcej.

Jeżeliś więc, Najdroższa moja, nie spróbowała jeszcze tego odosobnienia w duchu Bożym, czyniącego nas najsposobniejszemi do wszystkiego czego stosunki z ludźmi wymagają od nas, to zachęcam cię bardzo do pierwszego na tej drodze kroku.

Jeszcze tę korzyść daje życie wewnętrzne, że wszyscy jemu oddani rozumieją się odrazu, a nawet nieznani sobie, zbliżają się z sobą jakby najdawniejsi znajomi.

Schodźmy się w tej myśli i w tym duchu i w nim bądź jedno.

Twoja *Anna.*

LIST IV.

Kraków w czerwcu 1874.

Zamierzyłam dziś, Sabinko ukochana, dotknąć sprawy bardzo drażliwej, o którą nieraz sprzeczałyśmy się zawzięcie, póki nad duszą Twoją nie zeszło to światełko, które Cię dobrej sprawie pozyskało na zawsze, a zarazem stało się między nami nierozerwalnem ogniwem. Jakie to szczęście tak się rozumieć, co do najgłówniejszych rzeczy! Wszystko zresztą ma się w dodatku, a nadewszystko tę pewność siebie wzajemną, której żadne pozory nie odbiorą; ani pozorna obojętność, ani pozorne zapomnienie, ani pozorna twardość w obejściu, która między bardzo bliskiemi duchem, ma nawet pewien urok. Czy rozważałaś kiedy te słowa Zbawiciela do najbliższych wypowiedziane? Tę odpowiedź jaką dał Matce Swojej na godach w Kanie, to przemówienie do Maryi Magdaleny po Zmartwychwstaniu, to upomnienie Piotra na morzu? Wszystko na pozór szorstkie, a w gruncie takie pełne miłości opartej na zaufaniu, na pewności swoich, na wspólności uczuć i przekonań! — Tak twardo mówić, można tylko z gorącego serca do takiego o którem się wie, że także miłością płonie....

Nie sądź że ten wstęp ma na celu złagodzenie jakiej gorzkiej prawdy. Owszem, nigdy może, pisząc do Ciebie nie czułam się tak miękko usposobioną; chciałabym bowiem temu co mam powiedzieć, usłać drogę do Twego przekonania, a z mego przedmiotu zdjąć całą mgłę fałszywych zapatrywań i przesądów — bo mam mówić o dewocyi.

Wyraz d o w o t k a obija nam się co chwila o uszy na różne tony; na ton szyderczy, litosny, a nawet pogardliwy. Warto więc przypatrzeć się bliżej tej odmianie i określić bliżej ten gatunek, a nie potrzebujemy na to iść, jak nurek, na dno morza, między polipy i wymoczki, z narażeniem życia. Nasza kategorya znajduje się na powierzchni. Wszędzie ją spotkasz, przy okrągłym herbacianym stole, na raucie i balu, z igłą przy całodziennym zarobku, i na odległem przedmieściu lub na poddaszu.

Cóż więc jest dewocya? Biorąc rzecz taką jabąby być powinna, jestto życie w Bogu, jestto zużytkowanie jak najodpowiedniejsze wszystkich władz duszy, jestto postawienie się na tym wyższym punkcie widzenia, zkąd najdrobniejsze nawet rzeczy nabierają jakiegoś szlachetniejszego piętna. Dewocya, biorąc ściśle, jestto zachowanie, tak zaniedbanego w ogóle najpierwszego z przykazań: „Będziesz miłował Pana Boga twego“ i t. d.

I czy tu jest z czego szydzić, nad czem się litować, czem pogardzać?

Możnaby załamać ręce i opuścić głowę w zwątpieniu... Ale podobno lepiej uderzyć się w piersi ze skruchą i to takie trudne: „mea culpa“ powiedzieć. Nasza wina, ile razy szukanie własnej pociechy pociągnie nas do zaniedbania powinności, nasza wina ilekroć przebywanie na wyżynach duchownych, czyni nas niewyrozumiałemi dla ułomności ludzkich; „nasza wina, gdy nie umiemy odejść od porywającego duszę zajęcia, dla spełnienia pospolitego, które ma swoją piękność i swoje namaszczenie, jak skoro tylko jest obowiązkiem. A określając coraz bliżej: nasza bardzo wielka wina; (bo ściągamy piętno śmieszności i poniżenia na najświętsze rzeczy) kiedy, oddane pobożnym praktykom zaniedbujemy wychowanie dzieci, wygody męża i domowników, ogólny zarząd domu, który republiką być nie może i koniecznie rządzonym być musi, — a opuszczamy to wszystko dla zachowywania praktyk dogadzających bardzo często — powiedzmy otwarcie — wrodzonemu u każdej prawie lenistwu, a u bardzo wielu, pociągowi dość pospolitemu i niskiemu, do marzycielstwa.

Spodziewam się, że bez żadnego względu położyłam rękę na ranie, bo sama czuję jak ona boli..

Niech jednak nieprzyjaciele sprawy Bożej nie sądzą, że dałam im broń w rękę i że to kapitulacya z mej strony. Bynajmniej. To co ułomność ludzka psuje w dewocyi, nie jest wcale dowodem, że rzecz sama jest niedobrą i niepotrzebną. Czemże stałoby się życie gdyby mu odjąć stosunek z Bogiem

Rezultatem prawdziwego nabożeństwa jest poświęcenie, przeciw którem przeciwnicy dewocyi nic a nic nie mają, owszem zawsze przyjąć je gotowi; chcieliby tylko skasować te

praktyki i tę pomoc duchowną, bez której dusza nad sobą pracująca obejść się nie może.

Biedny, ślepy rodzaj ludzki! Z ilużto wielkich i świętych rzeczy bierze korzyść, nie rozumiejąc ich wcale i nie przyglądając im się bliżej; — jak stado bydełka zjadające z trawą fiołki i niezabudki.

Sądzą, naprzykład, że aby oddać życie swoje, wolą, rozum, siły fizyczne i całe wysilenie starań najgorliwszych pielęgnowaniu chorego, który często jest w dodatku występny, zawsze prawie wstrętny, wymagający i niesprawiedliwy, jak każdy cierpiący, — że na to wszystko dość jest włożyć taki kornet wykrochmalony i fałdzisty habit szarytki lub felicyańską siermięgę.

Ten owoc poświęcenia bez granic, zdeptania siebie, pogrzebania wszystkich naturalnych wstrętów, ten pyszny owoc, świat bierze bezmyślnie i obraca go na swoją korzyść, nie bacząc wcale jaka praca go wydała, jaki kwiat miłości Bożej zakwitnąć musiał na jego zawiązek! To co oni widzą i biorą, jest tylko ostatecznym rezultatem, wyrobem wewnętrznej, długotrwałej, ciężkiej choć słodkiej pracy, a dla obojętnych i samolubnych wszystkiem, bo oni nic więcej nie żądają. Jednak dla dusz co zaparły się świata i siebie, to cząstka tylko, często najpośledniejsza i ostatnia ich wewnętrznego życia; one noszą takie niebo dobrych i świętych uczuć w sobie, że ta miłość bliźniego taka ofiarna i nieograniczona, to tylko odblask tej, jaka ich wiąże z Jezusem.

Każda dusza idąca bez złudzeń po tej drodze, w jakiemkolwiek znajduje się ona położeniu, mogłaby być w głębi serca taką zakonniczką ubogą, oddającą wszystko dla drugich z miłości Boga, a wtedy to co nazywają dewocyą i wyśmiewają nieraz, stanęłoby znowu na przynależnym mu piedestalu.

Za dawnych czasów, prababki nasze, mniej wykwintne we wszystkiem, prostszemi były i w pobożności, bo ją brały z lepszych źródeł. Żyły wiele z zakonnicami; każda pobożniejsza miała przyjaciółkę w jakimś klasztorze, a patrząc bliżej na to życie ciche, czyste, poświęcone, uczyła się praktycznie, co to jest kochać Boga. Dlatego życie ich miało tę uroczą woń zaparcia się siebie, która dziś tak rzadką się stała.

Ale nie przepadła całkowicie, dzięki niebu.

Czy sądzisz, droga moja, że aby znieść z pogodą niejedno położenie, aby sprostać trudnościom jakie się trafiają w życiu rodzinnem i spółecznem i dźwigać życie, którego każda godzina jest niekiedy ciężarem, że na to nie potrzeba w świecie, równie jak i w zakonie, mieć reguły surowej, i od niej nie odstępować. A tu znowu całą tajemnicą, miłość Boga, całym talizmanem, nieustanny z Nim stosunek.

Nieraz patrzałam się na rzeczy, których żadnym ludzkim sposobem wytłumaczyć sobie nie mogłam. Widziałam położenia, z któtych wyjść cało można było tylko uciekając od nich; a tymczasem poczucie obowiązku, nadzieja zrobienia czegoś dla dusz sobie powierzonych, pominięcie zupełne siebie, jednem słowem prawdziwa dewocya, trzymały przykutą do swej kuli niewinną galernicę, i dzień po dniu spływał w heroicznych wysileniach, a mimo tego w spokoju i wewnętrznej pogodzie. Nigdy skarga nie przeszła przez jej usta, nigdy nikt, według niej, nie był winien, tylko jej niezręczność; a nieuznanie, poniewieranie jej osoby, przyjmowała jak chleb powszedni, należny, niezbędny i tak żyła... póki sam Bóg nie zlitował się i nie powiedział: „już dosyć“ a wyrzekł to dopiero w śmierci jej godzinie.

Jakąż więc pomocą w każdej życia okoliczności jest stosunek z Bogiem! Nie potrzebuję mówić ci tego, czego już niejednokrotnie doświadczyłaś.

Życzmy wszystkim, aby to poznali i porywy duszy swojej na te najwyższe rachowali rzeczy, gdyż niczego w ogóle nie nadużywa się tak dalece jak entuzyazmu. Ta potrzeba uwielbienia, zupełnie nawet bezwiedna w każdej budzącej się z dzieciństwa duszy, jest w moich oczach dowodem niezbitym istnienia Tego Jedynego Przedmiotu wszechuwielbień godnego, jakim jest Bóg. Idzie więc o to, aby wszelkie piękno i dobro cenić w odniesieniu do Boga, Jego śladów i działań szukać w sztuce, w nauce, w naturze, a nadewszystko w duszach z prostotą i szczerością Jemu oddanych, których liczbę obyśmy pomnożyć mogły ty i twoja

Anna.

LIST V.

Kraków, w Sierpniu 1874.

Wyrzucam sobie niekiedy, Sabinko moja, brak systemu i dosadności w traktowaniu przedmiotu pogadanek naszych, a to szczególnie wtedy, kiedy z pola drugorzędnych kwestyj zajdę na teren najgłówniejszych, jak mi się to wydarzyło w poprzednim liście. Miałam zamiar bronić sprawy tego zaszarganego rodzaju z różańcem w ręku, zwanego dewotkami, a zaszłam za daleko, ach i za wysoko. Stało mi się tak jak myśliwemu, co na swojem polu upatrując zwierzyny, bezwiednie przeszedł miedzę, a znalazłszy się w przepysznej kniei, nie umiał zapanować nad sobą i powrócić na swój zagon. Więc i ja kiedy zabłąkam się w tę knieję o niebotycznych sklepieniach, zwaną życiem wewnętrznem, nie umiem wyjść z niej od razu. Ale nie robię sobie grzechu z tego; bo nie podzielam wcale zdania autorki "kilku myśli o wychowaniu" że wpływy duchowe, czy zakonne, czynią nas niezdolnemi do pogodzenia się z zadaniami życia zewnętrznego. Owszem, do zajęcia niższego rzędu, zawsze dobrze przyspasabia to co wyższe, byle było prawdziwie wysokiem. A potem tłumaczę się sama przed sobą, że zabierając się do tych pogadanek nie robiłam żadnego planu i nic ci nie obiecywałam, znając dobrze nieudolność moją; że chciałam rozpatrywać się razem z tobą tu i owdzie: po zakątkach ludzkiego serca, po kierunkach myśli ludzkiej, po zadaniach i celach życia, po drogach i środkach obranych lub obrać się mających. Nie spierając się o nic, rozmyślać i badać, *sine ira et studio.*

To też pisząc do ciebie nie mam innego podręcznika prócz dobrej woli mojej i najprzychylniejszego ci serca, i z tych dwóch źródeł czerpię cały materyał tych luźnych kartek, tak różnorodnej treści.

Anibyś zgadła z czem dziś do ciebie przychodzę.

Widziałam rzecz, która gdyby nie była bolesną mogłaby być szalenie śmieszną, i aż mnie wstyd, że mnie najprzód do śmiechu pobudziła. Widziałam dom źle utrzymany; bezrząd

doprowadzony do superlatywu; gospoparstwo domowe, w którem zegar i kalendarz żadnej nie grały roli; sługi robiące swobodnie co im się podoba, dzieci dopominające się gwałtownie o wszystko co bez gwałtu mieć powinny; męża narzekającego lub uciekającego z tego małego piekiełka; sumy pieniędzy przepływające bez rachunku; długi po sklepach przy regularnych i znacznych dochodach; panią domu (powiem wszystko bo w tem właśnie sęk) oddaną poczciwym sprawom, biegającą za cudzemi biedami, odwiedzającą chorych, pocieszającą strapionych, ale niestety... nigdy o stósownej i zgodnej z resztą obowiązków porze; powierzchowności srodze zaniedbanej; noszącą często ranny czepek wieczorem, lub kapelusz z wieńcem róż jak cebule, na mszy rannej... i widząc to, wystaw sobie że zamiast zapłakać, ja się wprzód roześmiałam! O ułomności natury ludzkiej!

Śmiałam się z tej rzeczypospolitej bez republikanów, w rodzaju Francyi za komuny lub Hiszpanii za rządów Serrana.

Na przykład: koło południa spostrzegają się wszyscy w domu, że wcale nie zanosi się na obiad, ledwie bowiem uporano się ze śniadaniem, wśród którego okazał się brak najgłówniejszej ingredyencyi, i nim przyniesiono ze sklepu herbatę, samowar wydał ostatnie tchnienie i na nowo do życia i czynności przywoływanym być musiał. Tymczasem nadeszła jakaś wizyta i zasiędziono w nawpół uprzątniętym salonie; zagadano się w najlepsze a nawet o najpoczciwszych rzeczach: jednakże dzieci, niecnoty, skorzystały z tego i nie dały się umyć ani ubrać, a do tego część personalu żeńskiego służby, poszła na odpustowe kazanie do pobliskiego kościoła. Wszystkim więc czas schodził przyjemnie, a że co przyjemne to schodzi prędko, więc jakoś nieznacznie godzina obiadowa zaskoczyła. Nadszedł więc pan domu i zamarsowany mierzył wszystkie pokoje niespokojnym krokiem, synowie spoglądali tęsknie na zegar, którego wskazówka zbliżała się niemiłosiernie do godziny szkolnej. Wśród tego pani sama, poczciwa zresztą dusza, chciałaby w tej chwili wszystko nagrodzić i w jednej minucie wykonać zadania całego poranku: być ubraną, mieć sługi przy robocie, dzieci w rygorze, ale wszystko wysunęło jej się z rąk, jak furmanowi, który upuścił lejce.

Rzućmy zasłonę na dalsze sceny dnia, któraż z nas nie dośpiewa ich sobie w duszy.

Godziny poranne źle użyte, w domowem gospodarstwie, to zupełnie tak jak zmarnowana młodość. Od wstania do południa to czas, który jest prawdziwą własnością każdej pani domu; co zrobi z tego materyału to będzie zbierała w dalszych dnia godzinach; co w nich zaniedba, tego już nigdy nie dogoni. Ta dwoistość jaka jest we wszystkiem, dwoistość ducha i ciała, złego i dobrego, nieba i ziemi, ma odbicie swoje w dniu każdym, a tem jest poranek i wieczór. Niepodobna pomięszać tego, jeżeli się ma trochę uporządkowane gospodarstwo wewnętrzne i zewnętrzne. Jeżeli nie obmyślisz mniej więcej dnia twego zrana, to bądź pewna, że przy wieczornym obrachunku znajdziesz zero, a przy obrachunku z lat wielu byłyby z tych zer miliony, gdyby przed nimi stała jednostka. Ale tej nie dopatrzysz. *Time is money.* Mieć czas, to jest mieć siłę, bo cóż zrobi osoba, która się tak splątała, że kręci się w kółko jak wiewiórka po klatce. Nie mieć czasu to jest nie mieć spokoju, ani trzeźwości, to jest być ciągle w usposobieniu gorączkowem, w którem wszystko wydaje się krzywo ludzie i stosunki i własne skłonności. Nie mieć czasu, to jest nie umieć sobie z niczego zdać sprawy dokładnie. Dla takich szkoda pięknego wynalazku, który od Piotra Helego do Patka przysługuje się ludzkości.

Pani domu, która obojętna jest na to czy bije dziesiąta czy dwunasta, niech mi się nie chwali, że zna obowiązki swoje i że się do nich poczuwa. Powiesz żem pedantka, ale gdy się trochę rozpatrzysz w skutkach *obojętności na godziny*, usprawiedliwisz mnie zupełnie. Życie nie rozłożone na godziny idzie na marność, leci jak wóz bez hamulca z wysokiej góry, gruchocze się nie doszedłszy celu. Już w starożytności czas był bogiem, a godziny półbóstwami, na znak jaką wagę do nich przywiązywać należy, a nikt piękniej jak Kościół nasz święty nie rozłożył dnia, dzieląc go na kanoniczne hory.

Nie przeczę, że ciężko to nieraz, na uderzenie zegaru, oderwać się od tego co pociąga i pójść z zimną krwią, bez zmiany twarzy, do tego co niezabawne. Gdybyśmy jednak zważyły, że w tem leży pewien rodzaj zasługi bardzo ważnej, choć najcichszej, a może właśnie dla tego wielkiej, że cicha,

że nie przedstawia nic dla miłości własnej i poklasku ludzkiego, praktykowałybyśmy wkrótce z upodobaniem ten rodzaj tryumfu nad sobą. Powiem ci nawet z doświadczenia własnego, że nic nie trzyma tak ducha w jakiemś rozbudzeniu, w jakiejś ciągłej młodości i świeżości jak życie składające się z wielkich kontrastów, a takiem jest życie każdej kobiety, która cokolwiek myśli.

Nie ma dnia bez przejść podobnych następującemu: przyniesiono ci nową książkę w rodzaju, którą najbardziej lubisz, otwierasz w środku, (nie wiem dlaczego książka najbardziej smakuje ze środka; potem się i przedmowa z gustem czyta, a jak trudno zacząć od przedmowy, czy uważałaś?) otwierasz więc, trafiasz na myśl nową, bardzo odpowiednią twoim wyobrażeniom, idziesz dalej, zatapiasz się, przedmiot pobudza cię do własnych uwag, chciałabyś sobie coś zanotować, ledwie umaczałaś pióro, wnoszą... no wnoszą, dajmy na to, kosz z upraną bielizną, a jeżeli nie jesteś wielką panią, lub nie posiadasz osoby, któraby była twoim *alter ego* w domu, *musisz*, podkerślam to słowo, wziąść każdy kawałek do ręki, rozsortować, policzyć i schować. Jedno z najmniej zabawnych zajęć jakie znam. Albo: po jakiemś uciążliwem zajęciu, postanowiłaś odświeżyć umysł, rozerwać się trochę, co nawet jest obowiązkiem; powydawałaś więc i pozamykałaś wszystko, kluczyki w kieszeni, kapelusz na głowie, zapinasz rękawiczki, — aż tu służba nie wiedząc o twoim zamiarze, wpuszcza ci gościa, który i w stosowniejszej chwili bywa plagą; ale gościnność przedewszystkiem, *musisz* usiąść i być uprzejmą.

To co *musisz*, co jest wybitne aż do impertynencyi, co się nie da zanegować żadnem rozumowaniem, ani obejść żadnym fortelem, to jest zawsze prawie obowiązkiem. Jednak przyjąć go zawsze z pogodą należy często do heroizmu! Niechże mi potem dowodzą, że robimy tylko małe rzeczy, kiedy te najmniejsze jakie zacytowałam bywają nieraz takie trudne.

Zarząd domu w ogóle, bywa powierzony instynktowi gospodyni. Jest to monarchia nie mająca spisanej konstytucyi, a biada gdy się do niej zakradnie bezprawie, kiedy wszystko przestanie grawitować w przeznaczonej sobie kolei. Zaprowadzenie pewnych praw, podyktowanych sprytem i obmyślonych sercem pani domu, sprawia że we wszystkich osobach dom

składających budzi się jakiś rodzaj poczucia się do subordynacyi; a przeciwnie, gdy w jakim domu każdy robi co chce i kiedy chce, nabiera się pewnego lekceważenia domu i jego głowy.

Nie tylko dzieci potrzeba wychować, potrzeba także wychować sobie wszystkich domowników. Może mi kto powie, że i to drobnostka.

Strach pomyśleć ile to takich drobnostek bierze się w rękę wraz z ślubną obrączką!

Ale nie myślę odstraszać nikogo. Naprzód wiem, żeby mi się to nie udało.

Niech mi się tylko uda przekonać Cię, że jedną z najpiękniejszych ziemskich, rzeczy jest dom dobrze urządzony, wypielęgnowany, w którym pachnie porządek i kwitnie ład nieuciążliwy nikomu; w którym wszystko robi się niby samo z siebie, kierowane rozumnem przewidzeniem i czujną zapobiegliwością, bez rozbijania się za niczem. Prawda, że takim będzie twój dom Sabinko?

Tego ci życzy twoja

Anna.

WIERNY DO GROBU.

(Z pamiętnika Sybilli).

Chorążyna niespodziewająca się przybycia gościa, którego serce jej może oczekiwało, podniosła rękę do głowy, aby ściągnąć chustkę, którą była obwiązaną, i zastąpić ją jakim eleganckim czepeczkiem — ale czasu już nie było. Rotmistrz wszedł po pokoju sam jeden, bo Chorąży został na ganku i harmiderował na furmana, ze źrebięta wypuścił ze stajni i że jedno z nich najpiękniejsze, chcąc płot przeskoczyć, przebiło się na kołku.

— Co to pani? mówił Rotmistrz, biorąc jej rękę i przykładając do ust.

Chorążyna nic nie odpowiedziała, lubo milczenie było wymowne.

— Cóż się tu stało? Pani masz oczy spłakane.... Któż był tak okrutny, żeby te łzy wycisnąć?

Głębokie westchnienie podniosło pierś Chorążyny.

— Biedne istoty! mówił stłumionym głosem Rotmistrz — niewinne zbrodniarki przykute łańcuchem do waszej taczki!

Słowa te musiały bardzo rozrzewnić Chorążynę, bo dwie łzy lśniące odblaskiem świec zawiesiły się na końcach długich jej rzęsów.

— Wypędzę za dziesiątą górę! wołał jeszcze za drzwiami zirytowany Chorąży. Co to za zgryzota z tymi naszymi ludźmi, nie uwierzysz Rotmistrzu; najpiękniejszy źrebiec po kasztanowatym i bułance przebił się na płocie. Gospodaruj tu, tłucz głową o mur... w jednej minucie wszystko djabli biorą.... A to jakiś dzień feralny! do tylu zmartwień tego było potrzeba!

— Bardzo mi przykro — rzekł Rotmistrz — że trafiłem w taką złą chwilę, ale niepodobna mi było opuścić tych stron nie pożegnawszy państwa, nie wiem na jak długo. Cichszym zaś głosem, zwracając się do Chorążyny, dodał: może na zawsze!

Chorążyna zerwała się z kanapy; Chorąży z otwartemi rękami — oboje otoczyli Rotmistrza jakby go bronić chcieli od kogoś, co ten skarb im wydziera.

— Zkądże tak nagłe postanowienie? pytała Chorążyna patrząc mu przenikliwie w oczy.

— Przecież urlop twój jeszcze się nie skończył? dorzucił Chorąży.

— Powołany zostałem do Warszawy, żebym natychmiast się stawił; z wielkim Księciem nie ma co żartować....

— To oburzające! zawołała pani tonem patetycznym.

— Służba wolność traci — dodał sentencyonalnie Chorąży.

W tem Fedor ukazał się we drzwiach oznajmując, że kolacya gotowa. Zrobiło to na chwilę dywersyą w interesującej rozmowie, którą znowu podniesiono przy stole ze wszystkiemi szczegółami. Zauważała Chorążyna, że Rotmistrz często wpadał w zamyślenie i był w nieswoim humorze; zauważał to i jej mąż, z tą różnicą, że ona przypisywała tę zmianę przyczynie bliżej ją obchodzącej, a on, jako człowiek praktyczny, niedobrej sprawie, w którą zdawał się być gość ich wmięszany.

— Wiesz co Julisiu — mówił Chorąży gdy miano wstawać od stołu — każ nam zrobić ponczyku, na rozweselenie serca, bo widzę, że i nasz Rotmistrz jakiś nieswój.... Wielki książę przecież ci głowy nie urwie....

Rotmistrz roześmiał się ironicznie. — Urwać nie urwie, ale to pewna, że mu solą w oku jesteśmy, my napoleoniści, a do tego z krzyżem legii honorowej na piersi; korzysta on

z najbłahszej nieregularności w służbie..., i przysuwając się bliżej do Chorążego, jakby mu chciał coś powierzyć, mówił trąc czoło w widocznem zakłopotaniu: Rozkaz spadł na mnie jak piorun.... Bóg wie jak długo wypadnie siedzieć w Warszawie, a człowiek znalazł się naraz bez szeląga w kieszeni. Tu się zatrzymał, i miększym głosem mówił:

„Ej kochany panie Janie, jako dawny wojskowy zrozumiesz moje położenie.... Trzeba mi gwałtem z kilka tysięcy, bo chyba w łeb sobie wypalę.

Chorąży zamyślił się i gryząc bursztyn od cybucha przebąkiwał powtarzając: Kilka tysięcy!... Ceny na zboże spadły, na wódkę kupca nie ma.... Ale wiesz co Rotmistrzu! mam bony z czasów francuzkich, mógłbym ci niemi służyć — wojskowemu łatwiej byłoby je zrealizować.

— Ależ kochany kolego! z bonami długi kłopot, a tu pilno potrzeba... zresztą znasz moje konie; pozwolisz żeby tu stały u ciebie do mego powrotu; zawsze one coś warte....

— Nie o to mi idzie — odparł nieco obrażony Chorąży — ale czy mam tyle w kantorku gotówki?

— Poszukaj! poszukaj, a wiem że się znajdzie.

— Jużcić goły nie jestem — a nuż jakie nieszczęście; a nuż żonie zachce się czego... do mnie jak w dym.

— Bagatela ośmiu lub siedmiu tysięcy nie zrobi ci różnicy.

— Mam tylko obrączkowe złoto....

— Temci lepiej.... Zaraz skrypt ci napiszę.... Tylko przed żoną sza, ani słówka.

Kiedy tak rozmawiano, Fedor kręcił się przy kredensie robiąc brzęk talerzami i szklankami... co mu jednak nie przeszkadzało zwracać ucho do toczącej się rozmowy.

Chorąży wstał i wyszedł do sieni, przez którą potrzeba było przechodzić do jego pokoju. Rotmistrz wstał także i przechodził się wielkiemi krokami po izbie jadalnej, nareszcie zwracając się do Fedora, zawsze zajętego ustawianiem naczynia, rzekł: Mój przyjacielu postaraj się o atrament, pióro i papier.

Fedor nic nie odpowiedział, tylko wyszedł do ciemnej sieni, gdzie jak raz spotkał się z wracającym Chorążym, który zapytał: Kto to?

— To ja — odrzekł Fedor — pan Rotmistrz posłał mię po papier i atrament.

— Dobrze — to przynieś.

Fedor zatrzymał go za rękaw od surduta; — prosiłbym wielmożnego pana na słówko.

Oba wyszli na ganek. Fedor skłonił się swemu panu do kolan i rzekł pocichu: Ten oficer chce pożyczyć pieniędzy od wielmożnego pana?

— Właśnie mu je przynoszę — odrzekł Chorąży pokazując trzymany w ręku woreczek.

— Niech wielmożny pan tego nie robi, bo przepadną. Kiedyśmy tam byli u niego na kwaterze, powiedział mi jego ordynans, że po całych nocach gra w karty.

Zamyślił się Chorąży, lecz przypomniawszy sobie konie, które u niego miał Rotmistrz zostawić, rzekł: Dziękuję ci mój stary; będę miał zastaw, to się straty nie boję... wreszcie...

Tu chciał coś dalej mówić, ale się wstrzymał i wszedł do izby jadalnej.

Rozpromieniła się twarz Rotmistrza na widok Chorążego wracającego nie z próżnemi rękami.

Zasiedli przy stole. Fedor położył przed nimi papier i kałamarz a sam wyszedł.

Chorąży odezwał się po chwili: Oto jest trzysta czerwonych złotych, ważnych, obrączkowych, na które zechcesz z łaski swojej skrypt wystawić.

Rotmistrz skrypt podług wszelkich formalności napisał, i zagarnąwszy dukaty uścisnął mu obie ręce i rzekł: Masz moją wdzięczność dozgonną, kochany panie Janie.

— Podziękuj raczej mej żonie.

— Jakto? alboś jej powiedział?

— Naturalnie.

— Ja w tem nic naturalnego nie widzę....

— Ożeń się z posagiem, a zobaczysz.... Tak, tak, mój Rotmistrzu!

Tu ciężko westchnął Chorąży.... Żebyś wiedział jaką miałem dziś scenę, jakie wyrzuty! mówił prawie ze łzami... Moja magnifika wzięła na kieł, co jej dotąd nigdy się niezdarzało.... W głowę zachodzę a niemogę sobie wytłomaczyć co się zrobiło z tej kobiety, rozsądnej, łagodnej, uległej żebyś ją koło palca obwinął......

— A ty cóż na to panie Janie? Zapytał Rotmistrz patrząc mu przenikliwie w oczy....

— Cóż miałem robić? splunąłem i poszedłem... postaw się w mojem miejscu a zrobiłbyś to samo.

Chytrze roześmiał się Rotmistrz — o! co nie, to nie!

— Więc cóżbyś zrobił?

— Wziąłbym ją krótko, jak narowistego konia... konie umiesz ujeżdżać, a żonie nie możesz dać rady: Zmiłuj się! tyś przecie dawny żołnierz, nie rób nam wstydu.....

Jeszcze Chorąży chciał robić jakieś objekcye, jednakże więcej aby się czegoś nauczyć, niż siebie bronić, gdy weszła Chorążyna, a za nią wniesiono oczekiwany ponczyk, którego woń mile rozeszła się po pokoju.....

— Proszę cię Fedorze, każ memu furmanowi zajechać— rzekł Rotmistrz podchodząc do Fedora.

— A toż co znowu? zawołała Chorążyna.... wśród nocy z domu naszego wyjeżdżać?

— Muszę.... w miasteczku biorę konie pocztowe i prosto pędzę do Warszawy, aby pojutrze rano stawić się w Belwederze.

— Pan nie pojedziesz, ja niechcę żebyś pan jechał — mówiła magnetyzując go okiem, jakby chciała przybić do ziemi.

— Lubię ulegać damom, lecz tylko do pewnego punktu, rzekł Rotmistrz z pewnym przyciskiem.

— Służba wolność traci — powtórzył Chorąży sentencyonalnie — z rozkazem Wielkiego Księcia nie ma co żartować...

— A gdybyś pan niepojechał, cóżby wielkiego się stało?

— Nic wielkiego — tylko zamiast sam, jechałbym w towarzystwie żandarmów.

— To oburzające! zawołała Chorążyna — niesłużyłabym za nic w takiem wojsku.

Bryczka zaturkotała, Rotmistrz się żegnał.

— Kiedyż Pana zobaczymy? pytała Chorążyna podając mu rozpaloną rękę, a końcem trzewiczka następując mu na nogę, co zapewne miało znaczenie w symbolicznym języku.

— Dnia oznaczyć nie mogę;— choć serce będzie się codzień rwało, do najlepszych moich przyjaciół....

— Warszawa ma tyle przyjemności, że się prędko za-

pomni o starych znajomych, mówiła Chorążyna smutnie wstrząsając głową.

— Nigdy! rzekł Rotmistrz stłumionym głosem — nigdy się niezapomni! i coś nakształt kawałka papieru zostało w jej dłoni, którą ona konwulsyjnie ścisnęła...... Odprowadzającemu go do bryczki Chorążemu, gdy się całowali w oba policzki, powiedział na ucho: poleciłem memu kuzynowi żeby konie tu dostawił wraz z szorami....

— Dobrze! dobrze! powtórzył Chorąży....

Bryczka ruszyła, a Fedor, który stał pod gankiem, rzucił za nią starą miotłę, mówiąc do siebie: Bodajeś tu nigdy nie wrócił....

Pokazuje się z tego że Fedor nie był wolnym od zabobonów; choć nieraz z magistralną powagą karcił dziewki czeladne za jakieś tam zioła warzone w garnku, za jakieś węgle rzucane na wodę, które miały odczyniać uroki — teraz sam uciekł się do czarodziejskiej potęgi starej miotły....

Ta niekonsekwencya w tak rozsądnej i trzeźwej głowie, byłaby niewytłumaczoną, gdyby Fedorowi przedstawiał się jaki inny praktyczny środek pozbycia się na zawsze tego gościa, do którego miał wstręt niewypowiedziany, chociaż mu nic złego niezrobił. Czując się bezsilnym, stał się zabobonnym. Podobnie jak do starej miotły, tak i zrujnowane spółeczeństwa uciekają się do zabobonu pod różną postacią, czy to chiromancyi, czy magnetyzmu, czy stołów wirujących, bo niedostatek mocy i energii żywotnej, szuka sojuszu z tajemniczemi potęgami natury.

Z przyjemnością przypatrywała się Chorążyna parze gniadych koni, ubranych w lśniące szory, a przyprowadzonej w parę dni po odjeździe Rotmistrza.

— Śliczna para! — rzekła zwracając się do męża — niekaż ich używać do żadnej ciężkiej roboty — będę nimi jeździć na spacer, lub z bliższą wizytą.

Chorąży, który zaglądał im w zęby i macał nogi, strasznie się wykrzywił, i rzekł do furmana: Odprowadź te drandrygi! Więcej owsa zjedzą, niż warte!

— Ubliżasz tak honorowemu człowiekowi, jak Rotmistrz, któryby przecież gałganów nikomu nie narzucał.

— Ubliżać, nie ubliżam; ale co gałgany, to gałgany!

— A ja przyznam ci się, wolę je, niż wszystkie twoje siwki i bułanki.

— Winszuję gustu....

Chorążemu markotno było, że na tak niepewnej hipotece umieścił swoje dukaty, w skutek czego wysokie wyobrażenie, jakie miał o Rotmistrzu, trochę stęchło. Chorążyna nazajutrz kazała gniadosze założyć do karyolki i pojechała z wizytą do Podczaszyny; ale że droga była piaszczysta, rumaki parę razy zaczukały się i stanęły, co przypisała piaskom, do których nie przywykły.

Domowa atmosfera z każdym dniem stawała się cięższą. Wszystko szło niby dawnym porządkiem, ale w tych dwóch duszach, które miały być duszą rodzinnego gniazda, coraz mniej panowało harmonii. Co więcej, ze sprzecznych z sobą żywiołów wyrabiał się coraz mocniejszy kwas, który zatruwał powietrze. Uważali to goście nawiedzający ich dom, i co przedtem lubowali się w gościnnem przyjęciu, oddychali swobodą i szczęściem, jakie zdawało się kwitnąć pod tym dachem — teraz skracali ceremonialnie wizytę, nieraz będąc w ambarasie, jak się tam znaleźć pomiędzy młotem a kowadłem. Pani bowiem najczęściej występowała w roli ofiary, ale ofiary broniącej się kolcami ostrych przycinków pod adresem swego małżonka Mąż nie bywał dłużnym w odpowiedziach, choć widocznie silił się okazywać, że chce i umie utrzymać powagę i zwierzchnictwo pana domu. Niektóre sąsiadki bystrzejsze obserwatorki, zaraz dostrzegły, że się coś niedobrego święci, i ztąd zaczęły biegać po okolicy różne domysły, czyli poprostu plotki, udzielane sobie na ucho z pewną złośliwą radością. Świat bowiem, jeżeli lituje się nad dokonanem nieszczęściem, to znowu nic go tak nie cieszy, jak powolna ruina cudzego szczęścia. Nawet zbrodniarz, który idzie pod miecz katowski, doznaje nieraz więcej współczucia, niż szczęśliwy, któremu noga się powinęła. Koniec końców, szczęśliwość kole w oczy; czy dlatego, że jej upadek daje tryumf naszej zazdrości? czy że nas cieszy ukarane zuchwalstwo tych, co śmieli być szczęśliwymi?

Dom Chorąztwa, jak widzieliśmy, używał w okolicy tej sławy, że go nazywano szczęśliwym, nie z tego, żeby świetniał majątkiem, godnościami dającemi znaczenie, lub stosunkami, przez które mógł sięgać po cele ambicyi — tego tam nie było; ale kwitło szczęście w mierności i pracy. Pola dobrze uprawne wynagradzały plonem; dobytek się mnożył; państwu służyło zdrowie; dziatki się chowały; słudzy przywiązywali się — koroną zaś tego materyalnego powodzenia była harmonia w stadle, nie jakaś idealnie doskonała, lecz ta, co się obopólnie znosi i bywa wyrozumiałą do pewnego punktu, po za który przekroczyć nie pozwalał obyczaj tradycyonalnie utrzymujący się w rodzinach; obyczaj, który się wyrobił na podstawie religijnych wyobrażeń i przekonań, i taki jeszcze się przechowywał w owym czasie, chociaż mało kto się uciekał do źródła. Poprzestawano na tak zwanej moralności, którą propagowały liczne loże wolno-mularskie, usiłujące wyręczać nią wpływ religii. W ważnych też wypadkach, gdzie gorące słowo kapłana mogłoby naprowadzić na drogę wielkich powinności i obowiązków, chłodny i oklepany morał niewiele skutkował; nie wstrząsając do głębi sumień, przesuwał się po wierzchu.

Poczciwy Fedor przywiązany do domu, co nie było rzadkością między sługami owego czasu, kombinował w swej upudrowanej głowie te wszystkie okoliczności, i często zamyślony powtarzał sobie: coś tu złego się święci! — ale jak złemu zaradzić? to już nie mieściło się w jego głowie, choć wołało w sercu. Gdyby Fedor dał się przerobić na Frontina lub Skapina z komedyi, możnaby mu otworzyć szerokie pole do intryg i śmiałych wystąpień, do zręcznych podszeptów i efektowych rozwiązań; ale z nim trudna rada, zamknięty w sobie, pełen kamiennej powagi jak posąg komandora, robił co do niego należało, w tem przekonaniu, że wola jego pana i pani nie roztrząsa się, lecz spełnia, tem więcej, że ani pan ani pani nie ośmielali go do tej poufałości, jaka często bywa przywilejem starych sług, nietylko w romansach i komedyach, lecz i w życiu rzeczywistem. Miał on nawet pewien skrupuł niepokojący go przez parę dni i nocy, z powodu tego sekretu powierzonego Chorążemu o namiętności do kart Rotmistrza, i sam sobie się dziwował, że tak zuchwale wmięszał się w interesa swojego pana, i odradzał mu pożyczki.

Jakiejś stanowczej dywersyi w odgrywającym się dramacie domowym, nie było podobieństwa spodziewać się ze strony Fedora. Widział on, a raczej czuł fatalność zawieszoną nad domem swoich państwa; ale nie będąc w stanie przeszkodzić jej, zamykał się w biernej roli, robił co mu kazano, nie odstępując od zwykłego trybu przywiązanego do obowiązku służby; ani wdając się w pogadanki z innemi sługami, które go nieraz wyciągały na słówko.

Między małżonkami nie wracała dawna swoboda i harmonia. Fedor każdego dnia przy kawie, obiedzie, kolacyi pilnie uważał, czy się coś nie zmieniło na lepsze. Był to wprawdzie pokój, ale pokój zbrojny. Pani często cierpiała migrenę i zamykała się w swoim gabinecie, a rzadko słowem zwracała się do męża. Małżonek jeśli nie siedział w stajni lub w stodole, to wyjeżdżał gdzie w sąsiedztwo, lub do miasteczka. Oboje gdy się razem znaleźli, więcej rozmawiali z dziećmi niż z sobą. Małe te istoty zdawały się być jedynym łącznikiem między jedną a drugą połową tej nadwerężonej jedności.

Stan ten jednak nie mógł utrzymać się długo; nienaturalność i przymusowość stosunku tak już ciążyła obojgu, że przy pierwszej sposobności musiało przyjść do pojednania, lub do wybuchu. Nastąpiło ostatnie.

Było to o rannych godzinach, kiedy Chorąży obchodząc gospodarstwo, wytropił, że furman ukradłszy parę korcy owsa, co się stało z ujmą zwykłej porcyi obroku dla koni, a zarazem naturalną przyczyną ich schudnięcia, sprzedawał go arendarzowi. Wina ta nie miała u niego przebaczenia; po ręcznej admonicyi wymierzonej na miejscu, furman został wypędzony ze służby; atoli wiedząc, że u pani ma łaski i zaufanie, że tylko z nim jednym nie boi się jechać, rzucił się z płaczem do jej nóg, błagając, żeby się za nim wstawiła u pana, który niedość że go ukarał, lecz jeszcze służby pozbawia.

Odprawiła go pani, upewniając, że może zostać; a gdy się oddalił, wyszła mocno zalterowana do pierwszego pokoju, gdzie słyszała chodzącego męża.

— Marcin zostanie; ja chcę, żeby został — rzekła zimnym, lecz rozkazującym tonem.

— Złodzieja nie trzymam, i nie rozumię tej protekcyi.

— Ty wielu rzeczy nie rozumiesz.... Marcin zostanie...

— To sobie go trzymaj, ale od koni mu wara....

— Proszę nie zapominać, że nie sam tylko jesteś tu panem.

— Panuj sobie w garderobie i spiżarni, a do koni i gospodarstwa się nie mięszaj.

— Będę się mięszać, bo to moje. Marcin zostanie!

Diapazon małżeńskiego dyalogu coraz się podnosił.... Z ust żony padło jakieś słowo, na które mąż byłby nie znalazł odpowiedzi, gdyby mu na myśl nie przyszły słowa Rotmistrza o narowistym koniu.

Wykręcony z lulki długi cybuch mignął w powietrzu i wydał tępy odgłos, po którym rozległ się przeraźliwy krzyk.

Na krzyk wpadły dzieci do pokoju, a za niemi wszedł Fedor....

Chorążyna leżała zemdlona na podłodze; przy niej klęczał mąż.

Tadzio i Pelunia z płaczem rzuciły się ku rodzicom.

— Wody! — wołał przerażony Chorąży.

Fedor porwał butelkę i podał ją panu, który bryznął kilka kropel w bladą twarz zemdlonej.... Poczem na jego skinienie podjęli ją z ziemi i zanieśli na łóżko....

Chorąży nie odstępował jej, chociaż otworzyła oczy; całował ręce i nogi; wywoływał dawne wspomnienia pierwszych wyznań miłości; spowiadał się z uczuć swoich, tchnących zawsze tem samem przywiązaniem; nareszcie zaklinał na dzieci, aby mu przebaczyła porywczość, i obiecywał poprawę....

Ona chociaż nie odpowiadała, jednakże nie odbierała mu ręki, którą on do serca przyciskał i pocałunkami okrywał, co mu dawało pewną otuchę, że ukorzając się przed nią i żałując swojej porywczości, wyjedna sobie przebaczenie....

Lekcya ta trwała dość długo, tak długo, że mogła wyczerpać się i skrucha i cierpliwość ze strony winowajcy, który już wszystkie winy brał na siebie, aby tylko usłyszeć przebaczenie.

Zapewne i strona obrażona, widząc zupełne swoje zwycięztwo, a zmęczona żalem i naleganiami, wyrzekła na końcu wspaniałomyślnie: przebaczam!...

W nagrodę za tę łaskawość, akt przebaczenia spłynął

i na Marcina, który pozostał w służbie, i przez wdzięczność stał się zausznikiem swej protektorki.

Po gwałtownej tej scenie nastał nowy rodzaj harmonii między małżonkami, z tą różnicą od dawniejszej z pierwszej epoki, że się przemieniły role: pani rozkazywała, a pan słuchał... w każdym przypadku ona bywała ostatnią instancyą. Upokarzający ten *modus vivendi* dla mężczyzny o tyle był znośnym dla Chorążego, że nie zakłócał mu pokoju, którego był wielkim miłośnikiem, i nie wywoływał zgorszenia, którego bał się jak ognia. W wyobrażeniu swojem wojskowem czuł on się słusznie zdegradowanym za popełniony exces; i tem się pocieszał, że choć odebrano mu komendę zawsze zostawał mu głos doradźczy... Chorążyna zmiarkowawszy, że postawiła na swojem, zmieniła dotychczasowy sposób postępowania. Mniej czytywała romansów, mniej grywała na fortepianie, mniej oddawała się marzeniom, ale zato nierównie więcej mięszała się do gospodarstwa, i co dawniej uciekała od nudnych dyspozycyi wieczornych i narad z ekonomem, pisarzem gorzelnianym, karbowym, gajowymi — teraz lubiła się im przysłuchiwać, a często gęsto odezwała się z jakiem postanowieniem, które choć nienajlepiej świadczyło o jej agronomicznym talencie, a czasem przewracało do góry nogami porządek w gospodarstwie, niemniej jednak przyjmowane było jako wyrocznia. W razach tylko, jeżeli wystrzeliła czem bardzo niedorzecznem — pozwolił sobie Chorąży — ma się rozumieć nie w obecności ekonoma i pachołków gospodarskich — reflektować ją, i zręcznie naprowadzać na odwołanie, lub zmodyfikowanie rozkazu. Zdarzało się, i to nie rzadko, że najwyższe ukazy, bez zwołania rady ministeryalnej, wylatywały z gabinetu pani, roznoszone przez spodniczkowych adjutantów z garderoby... Chorąży o niczem nie wiedząc, spotykał się z nimi — to jest, z ukazami wykonywanemi w praktyce, bardzo niepraktycznej podług jego sposobu widzenia.

— A kto wam to kazał robić? pytał — i ręka jego już konwulsyjnie podnosiła się z harapnikiem.

— Pani kazała — odpowiadano — i harapnik spuszczał się do ziemi...

Trudno było zrazu Chorążemu przyzwyczaić się do gospodarskich gustów swojej żony; tem się jednak uspokajał, że

ten kaprys niepotrwa długo. Tymczasem ona coraz więcej lubiła się mięszać czy to do kontraktów zawieranych z kupcami na kupno zboża i wódki, czy przy puszczaniu w arendę karczem i młynów, nie omieszkując kłaść swego podpisu na każdym takim dokumencie, co w opinii, nadawało jej znaczenie pani i dziedziczki dóbr. Nie wiele też czasu było potrzeba, aby tak u dworskich sług, jak między włościanami, nie zaczęto ją uważać za najwyższą władzę; i w każdej okoliczności i sprawie odnosić się pierwej do niej, niż do samego pana.

Tak stały rzeczy po tej rewolucyi pałacowej, która przeniosła władzę z jednej głowy na drugą. W sąsiedztwie nie umiano jeszcze zdać sobie z tego sprawy; dziwowano się tylko, że Chorążyna nietylko dom prowadzi, ale i w gospodarstwie umie być prawą ręką swego męża, a na interesach prawnych rozumie się jak najbieglejszy adwokat. — O! to kobieta z głową! powtórzył ktoś; a za nim powtarzano chórem: Chorążyna kobieta z. głową.

Stary przyjaciel domu, ów pan sędzia, jak go tytułowano, a o którym napomknęło się wyżej, zjechał był do nich, po dwóch czy trzech latach niebytności. Kochanego gościa witali oboje państwo z nieudaną serdecznością; on nawzajem cieszył się, że zastał ich zdrowych, a najbardziej radowały go dziatki, które znacznie podrosły. Staruszek, wielki sęsat, roztropność chodząca, miał ten przywilej, że go wszędzie używano do sądów polubownych, lub zasięgano jego rady w ważnych okolicznościach. W długiem życiu z ludźmi różnego charakteru i stanu wykształcił się jego dar czytania w sercach i głowach jak w otwartej książce. Nie wiele mu też trzeba było przeżyć dni w towarzystwie naszych małżonków, i w tem, co się koło niego działo, żeby nie dostrzegł zmiany tak w trybie domowym, jak w usposobieniu głównych aktorów. Spodziewał się przeto z jednej lub drugiej strony owych poufnych zwierzeń, do których rościł sobie prawo, jako stary przyjaciel domu.... Ale dzień za dniem mijał, a lubo często znachodził się sam na sam z Chorążym lub z Chorążyną, i zręcznie podsuwał sposobność wywnętrzenia się — nigdy nic nie usłyszał, coby mogło stwierdzić jego domysł, że zaszły jakieś wielkie zmiany we wzajemnych usposobieniach dwojga małżonków. Martwiła go ta skrytość, tem mocniej, im więcej dostrzegał zmiany hu-

moru w Chorążym, którego energia gospodarcza zdawała się być złamaną; stentoryczny głos jego nie grzmiał jak dawniej po dziedzińcu, aż szyby się trzęsły; nie rozwijał przed nim projektów do swoich ulepszeń agronomicznych; a często siedział zafrasowany i milczący, paląc lulkę, z której dym wypuszczał w towarzystwie głębokiego westchnienia. Chorążyna także wydała mu się inną, niż znał ją od dzieciństwa. Z kobiety łagodnej, cichej, nieco waporycznej i omdlałych ruchów, z którą można było bardzo przyjemnie rozmawiać w delikatnej materyi sentymentów — zrobiła się teraz pani domu całą gębą; rezolutna, rozkazująca i podejmująca każdą konwersacyę tonem nieznoszącym repliki. A co najbardziej zastanowiło Sędziego, że często gęsto popisywała się ze zdaniem, które dziś nazwanoby postępowem, a wtedy uchodziło za przeciwne moralności lub poprostu głupie. Trafiło się to, ilekroć razy przyszła na stół materya o wychowaniu kobiety.

Pewnego razu gdy była mowa o Peluni, czy dać jej domową edukacyę, czy oddać na pensyę — oświadczyła, że jedno i drugie nie wiele warte. Trzeba system zmienić; wychowywano nas i wychowują na niewolnicę mężczyzny; cały tryb edukacyi do tego zastosowany celu; a przecież nie brak nam ani zdolności, ani siły, aby na równi stanąć z mężczyzną!

Słowom tym służyło za ilustracyę ukośne spojrzenie rzucone na obecnego małżonka, które twarz jego oblało mocnym rumieńcem; nie uszło to uwagi Sędziego; stanął on w obronie praw męzkiego rodzaju, oponując swej pięknej przeciwniczce argumentami zaostrzonemi żarcikiem, które nie wiadomo czy ją przekonały, czy rozbroiły na chwilę.

Sędzia coraz więcej utwierdzał się w domyśle, że coś tu niezwykłego zaszło.

Pewnego wieczora, kiedy go Fedor przyszedł rozbierać, przyszło mu na myśl wyciągnąć starego sługę na słówko....

— No cóż Fedorciu, dobrze ci u Państwa?

— Dzięki Bogu nie mam na co się skarżyć.

— Ależ, jak uważam coś się tu u was odmieniło.

— A to w czem? proszę wielmożnego pana.

— Tak, zdaje mi się, że już nie to co dawniej... Coś tu musiało zajść... powiedz mi stary; przecie wiesz jakim jestem przyjacielem domu....

Fedor długo nic nieodpowiadał, nareszcie zbliżył się o parę kroków, i patrząc w oczy Sędziemu, który leżał już w łóżku, rzekł cichszym głosem: Jeżeli wielmożny pan życzy dobrze naszemu państwu, powinienby namówić, żeby Tadzia oddali gdzie do szkoły, a Pelunię na pensyę — bo to zawsze lepiej jak dzieci niewidzą....

— Czego? zapytał Sędzia.

— Niech już wielmożny pan mię niepyta, a namówi pana i panią, żeby....

To powiedziawszy zabrał suknie i obuwie i życząc Sędziemu dobrej nocy, wyszedł z pokoju.

Sędzia długo niemógł usnąć, rozbierając w swej głowie, słowa Fedora, a więcej jeszcze jego milczenie....

Następnych dni często zaczepiał Tadzia, egzaminując go z różnych przedmiotów, co chłopca tak nudziło, że stronił od Sędziego, i chował się po kątach. Z Pelunią robił to samo, ale dziewczątko na różne pytania umiało odpowiadać tylko bajeczkami Lafontaina, których ją wyuczyła stara bona francuska.

— Tadzio już duży a mało umie — mówił Sędzia, trzeba go oddać do szkół publicznych.

— Ja bym rad go umieścić w szkole wojskowej — mówił Chorąży; dla Polaka jedyna karyera.....

— Niby to w cywilnym stanie, niemoże wyjść na człowieka? odezwała się Chorążyna, przez system opozycyi bezwzględnej.

— Czy obierze stan wojskowy, czy cywilny — mówił Sędzia — to mniejsza, ale trzeba żeby chłopiec odbył porządnie nauki. W publicznych szkołach wykształci się na obywatela, a im prędzej zacznie się uczyć, tem prędzej skończy....

— Gdzież go to umieścić? pytał Chorąży...

— Można Tadzia oddać do szkół Wojewódzkich, można i do Warszawy.

— Tak, tak, do wojewódzkich, podchwycił Chorąży — będziemy go mieli bliżej....

— Jeżeli oddać, to do Warszawy — podchwyciła Chorążyna. — Co stolica, to nie partykularz. Sama go odwiozę.

— Zgoda i na Warszawę; ale nieociągajcie się; mówił Sędzia, tutaj bąki tylko zbija, tam będzie musiał pilnować godzin.

— W stolicy djablo dużo kosztuje — zauważał Chorąży.

— Niech kosztuje co chce, byle Tadzio wyszedł na ludzi; nieprawdaż kochany Sędzio?

— Masz pani dobrodziejka najzupełniejszą racyą.

— Dla kogóż się poświęcać jeźli nie dla dzieci? — dodała patetycznie.

Chorąży przekonany czy pokonany, pozwolił sobie w końcu zrobić małą uwagę: A żebym ja sam go zawiózł, koszt byłby nierównie mniejszy... Stanąłbym gdzie na Pradze...

— Pozwól, że od mego nie odstąpię — rzekła z żywością Chorążyna — po świętach zabieram Tadzia i jadę; a że go dobrze umieszczę, to więcej niż pewna; choćby zaszły jakie trudności, ułatwi mi Izabelka, która ma takie koneksye w stolicy.

— A i nasz Rotmistrz może dać dobrą radę — wtrącił Chorąży.

Spojrzała nań przenikliwa żona; ale nie wyczytawszy na twarzy jego żadnej złośliwej intencyi, dodała potakująco i obojętnie: Zapewne i on nie odmówi swojej pomocy.

Sędzia zabawiwszy z parę tygodni u swoich przyjaciół — odjechał, nie ze wszystkiem kontent z tego co widział i czego się domyślał — lecz tem pocieszony, że Tadzio, którego do chrztu trzymał, i wiele sobie obiecywał po wrodzonej bystrości chłopczyny, zacznie się uczyć na seryo i nie będzie już patrzał na to, czego nie powinienby widzieć.

Chorążyna po świętach Bożego Narodzenia przyprowadziła swój projekt do skutku i wyjechała do Warszawy z Tadziem, który od głów do stóp oporządzony, dzięki sprowadzonym z miasteczka krawcom oraz szwaczkom z garderoby, mógł się przyzwoicie pokazać na nowej dla siebie scenie. Fedora jednak nie wzięła ze sobą, chociaż on miał wielką ochotę odnowić znajomość z dawno niewidzianą Warszawką. Miejsce jego zastąpił kredensowy wyrostek, przebrany w liberyą z czerwonym kołnierzem i świecącymi guzikami; a Marcin czterema bułankami powoził z kozła. Na koszta podróży sprzedano coś

żyta i gorzałki, a Chorążyna ze swojej strony zaciągnęła dług na kilka tysięcy u swego arendarza, o czem nie powiedziała mężowi.

Podróż na krótkich dniach, z popasami i noclegami, zabrała tyle czasu, coby dziś potrzeba na odbycie drogi z Petersburga do Madrytu. Chorążyna stanęła w hotelu Wileńskim na Tłómackiem, który jej był polecony jako mający dobrą kuchnię i ceny umiarkowane. Rotmistrz prędko się znalazł; Izabelka nie dała się odszukać, i dopiero po długich szukaniach pokazało się, że na zimę wyjechała do Drezna; ale Rotmistrz we wszystkiem umiał ją wybornie zastąpić; za jego poradą Tadzio został umieszczony w konwikcie XX. Pijarów na Zoliborzu. Za jego poradą Chorążyna przedłużyła swój pobyt w stolicy i była na reducie przebrana w różowe domino, i na dwóch balach publicznych, gdzie zrobiła nie małe wrażenie.

Chorąży gryzł się że żona tak długo bawi w Warszawie, i obrachowywał w myśli, jakie to koszta pociągnie za sobą — gdy z poczty przyniesiono mu list od niej, w którym oprócz różnych czułości, donosiła mu, że przechodzi wszelkie wyobrażenia jaka tu drogość; co kosztuje pensya Tadzia, nowe wyekwipowanie go, lekcye języków, rysunków, fechtunku — nareszcie utrzymanie koni — a w konkluzyi, że niema o czem wyjechać; pieniędzy, na gwałt pieniędzy!

Zasępiło się czoło Chorążego; dotąd szukali go kupcy, teraz on musiał szukać kupca na kilkanaście tych wołów które stały na braże, jeszcze nie całkiem upasione, lecz dopasające się. Kupiec z góry dał pieniądze, lecz kupił tanio i jeszcze sobie wymówił, żeby kilka tygodni postały na stajni.

— Jeżeli tak pójdzie dalej; djabli wszystko wezmą — mówił do siebie Chorąży, ale pieniądze posłał.

Przed samą Wielkanocą wróciła Chorążyna w wesołem usposobieniu, i z mnóstwem pudeł i pudełek. — Ucieszył się Chorąży, ale gdy popatrzył na bułanki potężnie schudzone, niemógł tego strawić, i z gorzkim wyrzutem zwrócił się do żony: ujęłaś się za tym łotrem, a teraz masz, na śmierć zabiedził mi konie!

— A wiesz co! miałam na nie kupców; dawano mi już dwa tysiące.

— Dwa tysiące! chyba za jednego?

— Nie; za wszystkie cztery.

— Piękny kupiec!... Zapewne nazywał się pan Tański... że tak tanio kupuje.

— Alem ich nie sprzedała, wiedząc że ty je lubisz...

Na święcone zjechało się dużo sąsiedztwa. Baby i placki niezewszystkiem się udały; zato Chorążyna miała co opowiadać o przyjemnościach stolicy i o nieprzyjemnościach wielkiego księcia, który każdego kogo spotkał pakował pod Białego Orła. Szczególniej starsi oficerowie, co to służyli pod Napoleonem, nie mogą wytrzymać pod nim, i w czambuł podają się do dymisyi.

— A cóż porabia pan Rotmistrz, któregośmy tu poznali? zapytał ktoś.

— Rotmistrz miał osobiste zajście z Wielkim księciem o krzyż legii honorowej, ale odciął mu porządnie: nie na Saskim placu otrzymałem go, Mości książę, lecz pod Mozajskiem... Odpowiedź ta rulowała po całej Warszawie.

— A to śmiało! to patryotycznie! zawołano chórem... człowiek taki mógłżeby znieść jak on, takie upokorzenie?

Nowiny polityczno-wojskowe interesowały mężczyzn; dla kobiet miała Chorążyna inny przedmiot zachwyceń: rozłożyła bowiem przed niemi całe stosy czepeczków, kapeluszy, kołnierzyków, kwiatów, wstążek i mnogość innych fraszek noszących, gust wykwintnej i eleganckiej stolicy...

Jeden Chorąży odwrócił się z westchnieniem od tego widoku, i pomyślał w duchu: „poszły moje woły! żebym choć skosztował z nich kawał sztukamięsy.“

Pożycie małżeńskie toczyło się dalej po pochyłości, na jakiej znalazło się od pewnego czasu.

Uradzono, żeby dla oszczędzenia kosztów po Tadzia nie posyłać na wakacye. Tadzio więc został w konwikcie; ale natomiast zjawił się w sąsiedztwie u swego krewnego, który był dość ubogim dzierżawcą, znany nam Rotmistrz Jaxa. Proces jego — jak szeptali niektórzy — wytoczony mu o jakieś nieregularności w służbie, skończył się wymazaniem z kontroli;

a jak drudzy życzliwsi mu głosili, że sam wziął dymisyę wskutek obrazy doznanej od Wielkiego księcia, co go podnosiło w opinii jako ofiarę patryotyzmu.

Łatwo się domyślić, że w domu Chorąztwa panowało ostatnie to zdanie.

Rotmistrz w cywilnych sukniach, tylko z czerwoną wstążeczką w pentelce, doznał w całej okolicy najlepszego przyjęcia; fetowano go, spełniano kielichy za jego zdrowie; a niektórzy nawet z gorętszych patryotów gotowi byli wypuścić mu folwark w dzierżawę pod bardzo korzystnemi warunkami, aczkolwiek te propozycye zwykle spotykały go pod koniec rzęsistych libacyj, lecz nie powtarzały się po trzeźwemu.

Rotmistrz miał jednak najwięcej pociągu do domu państwa Chorąztwa, odznaczającego się gościnnością, i tam częste oddawał wizyty, a potem już przesiadywał po trzy dni i dłużej. Chorąży miał tę delikatność, że mu się nie upominał o zwrot trzystu dukatów, chociaż termin dawno już minął, uważając tę summę jakby złożoną na sprawę publiczną; wreszcie tak mu się coś zdawało, że kieszonkowe interesa Rotmistrza w nienajlepszym muszą być stanie, bo ten siadając parę razy do ćwika, pożyczył od niego po kilkanaście złotych, i zapomniał mu oddać.

Nieznacznie tak się przyzwyczajono w domu państwa Chorąztwa do osoby Rotmistrza, że kiedy go czasem kilka dni nie było, wszyscy zapadali w kwaśny humor. Pani czuła się znudzoną, a często nawet cierpiącą; pan zaś wieczorami narzekał, że nie ma z kim zagrać w warcaby.

— Gdzie się nasz Rotmistrz obraca? Trzebaby posłać dowiedzieć się, czy nie chory?...

W końcu przyszło do tego, że sam Chorąży, dowiedziawszy się z boku o złem jego położeniu, a do tego przekonawszy się naocznie, jak nie miał prawie żadnej wygody w domu swego krewniaka dzierżawcy, gdzie go odwiedził i zastał chorego, leżącego w zimnym pokoju — zaprosił go najformalniej, żeby się przeniósł do nich, i dom Chorąztwa uważał za swój własny; nie może bowiem patrzyć obojętnie, aby tak zasłużony wojskowy, za tyle trudów i ofiar nie miał gdzie głowy położyć.

— Moja żona — dodał Chorąży — kazała dla ciebie wyporządzić pokój gościnny na piąterku; murarze właśnie przestawiają piec; a ja kazałem dać nową podłogę. Będzie ci tam wygodniej niż tu, gdzie jak widzę zamarzło lekarstwo.

Rotmistrz jeszcze trochę cierpiący, instalował się w domu Chorąztwa na stałego rezydenta.

Nie chcąc — jak mówił — darmo jeść kaszy, prosił, żeby mu Chorąży pozwolił wyręczać się w zatrudnieniach gospodarskich, i w interesach z władzami obwodowemi, z któremi tenże nie lubił mieć do czynienia. Chorąży nie miał nic przeciw temu, ale rzadko z tego korzystał, widząc, jak jest potrzebnym w domu, żeby z nim grał w warcaby lub w maryasza, a panią bawił przyjemną konwersacyą lub czytaniem książek, co nieraz trwało do północy i dłużej. Oprócz tych zalet, był jeszcze Rotmistrz niewyczerpanym w wynajdywaniu rozrywek, jak: podwieczorki w lasku, przejażdżki w bacie po stawie, przebierania się mistyfikujące sąsiadów. Zawołany myśliwy, wracał zawsze obładowany bekasami lub dubeltami, które pasyami lubiła Chorążyna; czasami przyniósł zająca, którym się delektował Chorąży. A jak nadszedł dzień imienin pani lub pana, sprawiał sproszonemu sąsiedztwu niespodziankę, bo albo gorzał w ogniach symboliczny transparent, albo race wylatywały z hukiem w powietrze i kręciły się ogniste młynki.

Wszyscy zazdrościli Chorąztwu tak przyjemnego gościa; domownicy nawet, szczególniej dziewczęta w garderobie, jednogłośnie zgadzali się na to, że odkąd Rotmistrz przybył, zrobiło się bardzo wesoło. Jeden tylko Fedor nic nie mówił, choć mruczał niekiedy: „Głupstwo te czary; wierz tu starej miotle; nietylko tu wrócił, ale usiadł nam na karku“ — i odtąd nabrał takiego wstrętu do starych mioteł, że zawsze rzucał je w ogień. Niechęć jego szczególniej tem się odznaczała, że nigdy nie zabierał Rotmistrzowi sukien do czyszczenia, ale obowiązek ten zdawał na chłopca przy kredensie.

Pewnego dnia Chorąży odebrał list z poczty. Był to list z Litwy, pisany przez jego cioteczną siostrę, jedyną krewną

z żyjących, z którą się wychowywał za młodu, lecz potem stracił ją z oczu; wyszła bowiem zamąż za majętnego Litwina.

List bardzo był czuły; donosiła w nim, że owdowiała, a nie mając własnych dzieci, proponuje Chorąztwu, aby jej dali „którą z córek,“ a zajmie się jej wychowaniem i postanowieniem. Nalega przytem, żeby ją kochany brat nawiedził, i poradził co w interesach, które nieboszczyk na jej głowie zostawił.

Treść tego listu dostarczyła przedmiotu do gadaniny na cały tydzień. Jechać, czy tylko odpisać? jeżeli jechać, to jak, którędy i kiedy? jeżeli odpisać, to co odpisać? Czy zawieźć zaraz Pelunię; czy potem dopiero? — Oboje państwo i Rotmistrz trzeci, obracali tę kwestyę na wszystkie strony, aż nareszcie stanęło na tem, że trzeba jechać i to bez zwłoki, a Pelunię zawieźć, bo dziecku trafia się szczęście, z którego nie skorzystać, byłoby wielkiem uchybieniem.

— Ależ oddawać ostatnie dziecko z domu — mówił, opierając się Chorąży — to jedno, co się osierocać przed czasem.

— Cóż robić! — mówiła Chorążyna — dla szczęścia dziecka trzeba się zgodzić na tę ofiarę.

— Czemże jest życie nasze, jeśli nie ciągłą ofiarą? — dodał sentencyonalnie Rotmistrz.

Stanęło na tem, że Chorąży powinien jechać i to jak najprędzej, nie sam, lecz odrazu z Pelunią, którą i tak potrzeba oddać z domu na pensyon, bo stara bona niewiele ją potrafi nauczyć, a dziewczyna rośnie z każdym dniem.

Wybierał się zatem Chorąży w podróż po ukończonych żniwach; kuł i pasł konie; odnawiał ładowną brykę, wypytywał różnych ludzi, co bywali na Litwie, którędy najlepiej jechać w okolice Mińska, gdzie jego krewna mieszkała; słowem niemało się nakłopotał, powtarzając ciągle: Samemu jeszczeby się człowiek ryzykował; ale z dzieckiem puszczać się w zapadłą Litwę, to mospanie sęk nielada! Rotmistrzu! bywałeś w tamtych stronach, czy to prawda, że jak wjedziesz w lasy, to jedziesz, jedziesz, a końca nie ma?

— Zawsze jak las się skończy, jest gołe pole — odpowiadał, śmiejąc się Rotmistrz.

— To i o rabusiów tam nietrudno?

— Zdarzają się, zdarzają.

— Fedor! pamiętajno wyczyścić i nabić pistolety, weźmiemy je w drogę; nie zapomnij o szabli.

W garderobie przygotowywała się bielizna i nowe sukienki dla Peluni; a w kuchni wędliny i faska bigosu. Chorąży nielubiący bitych gościńców i porządnych karczem, lubił przemykać się małemi dróżkami, na których bez zaopatrzenia się w wiktuały, można było umrzeć z głodu; ale zato nigdzie myta nie płacił.

W dzień odjazdu Pelunia obiegła cały ogród; pożegnała wszystkie altanki, kanapki z darni, drzewa, grządki zasadzone jej rączkami; wyniosła garść grochu i posypała ulubionym gołębiom; popieściła się z krówką darowaną jej od ojca na urodziny — w końcu poszła żegnać się z domownikami. Najczulej rozstawała się ze swoją niańką, która i Tadzia i ją wyniańczyła, a teraz prezydowała w piekarni.

— Moje wy ptaszki! — mówiła Nastia — uleciało jedno, teraz ulatuje drugie — i całowała ją w nogi, w ręce, w główkę.

— Ależ ja wrócę do ciebie Nastusiu, wrócę jak będę dużą panną — pocieszała ją Pelunia.

— Nie obaczą cię moje oczy, jak ty swojego gniazdka nie obaczysz — ciągnęła dalej lamentującym głosem.

Pelunia po kolei żegnała wszystkich; na samym ostatku padła do nóg matce, potem spłakana tuliła się do jej piersi... Fedor wziął ją na ręce i zaniósł do powozu, gdzie Chorąży już siedział...

Gdy się spuścili z góry i przejeżdżali około rzeczki biegnącej do stawu, prosiła Pelunia żeby się zatrzymać...

— Co to? niedobrze ci siedzić? czy możeś co zapomniała? zapytał ojciec.

— Nie, nie — odrzekła Pelunia wyskakując z powozu i pochyliwszy się nad brzegiem zerwała pęk żabich oczek, czyli niezabudek....

— Na cóż ci te kwiatki? zapytał ojciec.

— Naścia mówiła, że już tu nigdy niewrócę, odrzekła ze łzą w oku.

Niewiemy czy takie same przeczucie miał Chorąży, ale

nic nie odpowiedział tylko czoło zachmurzył i dopiero się ocknął gdy trzeba było płacić rogatkę na moście....

W jakie pięć tygodni odebrała Chorążyna list od męża, z przypiskiem Peluni, który donosił, że bardzo szczęśliwie zajechał, że siostra przyjęła go z wielką serdecznością, i odrazu pokochała Pelunię jakby własne swe dziecko. Nareszcie że zastał duży majątek, ale w wielkim nieładzie. Wkońcu dodawał niektóre dyspozycye gospodarskie, między innemi, żeby poszyto jakąś szopę, te a te żrebce wzięto na stajnią, a pisarza gorzelnianego odprawiono, bo się dowiedział w miastccziu że wódkę pokątnie sprzedaje... Było i pozdrowienie dla Rotmistrza, którego rada i sprężystość wojskowa może jej stać się bardzo użyteczną, w kłopotach gospodarczych. W kilka tygodni był znowu drugi list, donoszący że zatrudnienia około interesów siostry, niepozwolą mu wyjechać aż po świętach Bożego Narodzenia; wszakże nieomieszka uprzedzić o dniu swego przyjazdu. Peluni dopisek, oprócz czułych słów dla matki, mieścił wiadomość że ciocia bardzo ją kocha, że sprowadziła dla niej guwernantkę z Wilna, ale że jej zawsze bardzo tęskno za domem i za wszystkiem co tam zostawiła.

Minęły święta Bożego Narodzenia, zapusty zaczęły się na dobre — a od Chorążego nie było listu ani on sam niewracał.

Pewnej nocy, miesięcznej, wyiskrzonej gwiazdami, zajechała bryka osadzona na saniach, na dziedziniec dworu Chorąztwa.... Przy otwieraniu bramy jeden pies zaszczekał, ale zaraz umilkł i zaczął skakać przed końmi i wspinać się na kozioł.....

Mężczyzna w wilczurze wysiadł, zastał drzwi niezamknięte od sieni, więc wszedł — a chociaż ciemno było, trafił poomacku do drzwi bawialnego pokoju, otworzył je bez hałasu, otworzył drugie do gabinetu, i zatrzymał się chwilkę pod drzwiami sypialni. Stąpania jego były ciche, bo miał krajczaki na nogach. Wszędzie w pokojach było cimno, tylko przez wykrojone serca w okienicach przemykała się światłość księżycowa... Uchylił i te ostatnie..... W sypialni mdłe światełko rzucał palący się knotek w oliwie lampki stojącej ua kominku. Kotara od

łóżka była odsunięta..... Zbliżył się, i nie wiem co tam zobaczył, bo podniósł gwałtownie rękę, ale zaraz ją spuścił i po cichu cofnął się tą samą drogą, a wyszedłszy na ganek, gdzie Fedor z pomocą z budzonego wartownika zaczął znosić tłumoki, rzekł do niego bardzo zmienionym głosem:

— Fedor! gdzie moje pistolety?

— Są w bryczce, w kieszeniach.

— Wyjmij!

Fedor mu je podał, a on poszedł tą samą drogą.

W sypialni nie paliła się już lampka... ale gdy wchodził, usłyszał skrzypnięcie drzwiczek prowadzących do sionki, i bez namysłu skierował w to miejsce lufę pistoletu i wypalił....

Huk rozległ się po pokojach, a jednocześnie przeraźliwy krzyk w łóżku....

Chorąży się cofnął i zamknął drzwi za sobą na klucz, który był w zamku; poczem wyszedł na ganek, gdzie Fedor stał w osłupieniu, z załamanemi rękami.

— Fedorze! koni nie wyprzęgać, a rzeczy napowrót spakować.

— Co się to stało? proszę wielmożnego pana... pytał drżący.

— Nic się nie stało; zastałem złodzieja i strzeliłem.

Tu nastąpiło milczenie. Chorąży chodził wielkiemi krokami, a Fedor z wartownikiem napowrót wkładali tłómoki na bryczkę. Furman stał przy koniach.

Żaden z nich i słowa nie przemówił — takie było osłupienie.

— Fedorze! rzekł nakoniec Chorąży — poszukaj-no świecy, zapal i przynieś mi do kancelaryi.

W kredensie znalazła się świeca i siarniczki. Fedor przyniósł ją panu i postawiwszy na stoliku czekał u drzwi.

Chorąży otworzył kantorek, pocisnął sprężynę i wyskoczyła z kryjówki szufladka, z któréj wybrał wszystko, co się w niej znajdowało; potem wyjął z jednej przegródki plik papierów, zawinął w bibułę i oddał Fedorowi, mówiąc: Schowaj to do mojej torby. Gdy się stary oddalił, przeszedł się kilka razy po izbie w wielkiej agitacyi — poczem siadł przy kantorku wziął ćwiartkę papieru i napisał te słowa:

„Nie proponuję rozwodu, bo to skandal niepotrzebny, a wiele kosztuje; nie proponuję separacyi sądowej, bo to mniej więcej na jedno wychodzi — najstósowniej po tem, co między nami zaszło, rozłączyć się, dobrowolnie bez mięszania w to cudzych osób. Jeden tylko kładę warunek co do wychowania naszego syna, a ten jest, ażeby Tadzio, który na matki koszcie do ukończenia nauk w konwikcie X. X. Pijarów pozostanie, nigdy nie przyjeżdżał tu na wakacye, ani na żadne święta, pod tym jednym warunkiem kwituję z wszystkich jakie mógłbym mieć do majątku pretensyj."

Podpisał się, i list zapieczętował. . . .

Chodził jeszcze długo po izbie, ale nogi mu się plątały; oparł się więc o piec i nasłuchiwał czegoś w tej nocnej głuszy . . . nic jednak nie dolatywało go prócz piania kogutów.

— Wszystko się dla mnie skończyło! — Nie mam co tu robić. . . .

W tem przezedrzwi pokazała się głowa Fedora.

— Czy wszystko już spakowane?

— Wszystko.

— Fedorze! ten list wręczysz samej pani, potem zbierzesz resztę rzeczy, włożysz na sanki i siwkami przyjedziesz na probostwo, gdzie będę na ciebie czekał . . . a teraz daj mi wilczurę.

— Do proboszcza! zawołał Chorąży wychodząc na ganek siadając do bryczki.

Sanie ruszyły i stanęły niebawem na probostwie w przyległej wsi, oddalonej na małe pół mili.

Proboszcz czytał brewiarz, i zdziwił się niepomału ujrzawszy tak rannego gościa.

Wszczęła się rozmowa, która wytłómaczyła powód tych niespodziewanych odwiedzin.

— Nieszczęście! zawołał proboszcz — więc znowu rozwód?!

— Nie proboszczu — nie rozwód, tylko rozłączenie się.

— Nie kijem, tylko pałką; a czyż nie ma sposobu pojednania się?

— Nie ma żadnego. . . . Honor. . . .

— A sakrament? — a dzieci? . . .

Staruszek proboszcz wysypał przed nim całą garść argumentów czerpanych z Pisma św., z ojców kościoła i moral-

ności chrześcijańskiej. Kruszył się Chorąży, ciężko wzdychał — ale nie widział drogi do wyjścia.

— Złote twoje słowa, kochany księżę — mówił on — jednak nie zlepisz niemi tego, co się rozbiło jak szkło na drobne kawałki.

— O mój Boże! zawołał proboszcz w uniesieniu — usunęło się błogosławieństwo Twoje nad rodzinami naszemi; dom pada po domie — gdzie się nie obejrzę same ruiny — ileż to przez długie życie nie widziałem takich gniazd zburzonych! Dzieci nie dziedziczą po ojcach. Czyjaż będzie ta przyszłość, o której lubimy marzyć?

— Co się stało, już się nieodstanie — rzekł Chorąży i zwiesił głowę na piersi, powtarzając: nie moja wina!

Około dziesiątej przyjechał Fedor.

— Czy wszystko sprawiłeś jakem ci polecił? zapytał pan.

— Wszystko; list oddałem i zabrałem rzeczy.

Chorąży czekał czy mu więcej co nie powie, ale stary sługa milczał. Naciśnięty, byłby może mu opowiedział szczegóły tej sceny we dworze. Jak tylko dzień się zrobił, Fedor zgłosił się do pani, którą zastał w rannym negliżu i w wielkiej alteracyi. Na jego widok zawołała czerwieniąc się od gniewu: „Najazd i rozbój! Sprawka ta nie ujdzie wam na sucho."

— Oto list — proszę pani — rzekł Fedor podając jej pismo; a ona rozdarła kopertę i zaczęła czytać: „Zabawny! wyrodną matką przecież nie jestem, żebym miała nie dbać o dzieci!" rzekła i łzy miała w oczach.

— Czy będzie odpowiedź proszę pani? pytał Fedor.

— Powiedz mu . . . nie, nic nie powiedz . . . i zaczęła szlochać zanosząc się od płaczu.

Fedor upadł jej do nóg i mówił: „Myślałem, że tu u państwa kości moje położę. . . .

Ona wyciągnęła do niego rękę i łkając rzekła: To się tu zostań przy mnie.

— A z panem kto zostanie?! . . . On nieszczęśliwszy, bo nie ma domu.

Ponieważ konie były bardzo zdrożone, kazał Chorąży do swojej bryki założyć siwki. Na pożegnaniu z proboszczem

rzekł: „Zawsze jegomość miałeś liche szkapy, miejże teraz tę czwórkę, którą ci zostawiam, abyś za mnie pacierz odmówił.“

Gdy zaś wsiadł, a furman spytał: gdzie pan każe jechać?

— Jedź przed siebie, odpowiedział obojętnie.

Niebawem przyjechali do krzyża na rozstajną drogę.

Fedor obrócił się na koźle: Panie! dwie drogi... Możebyśmy zajechali do pana Majora; duże jeszcze cztery mile, lecz w pół drogi karczma murowana.

— Dziękuję ci, żeś mi przypomniał. Już ze trzy lata nie widziałem starego przyjaciela. Ruszaj!

Fedor miał w tem własny interes; niedaleko bowiem od wsi, gdzie mieszkał Major, było jego rodzinne miasteczko, dosyć handlowne, gdzie między rzemieślnikami zwykle lokował swoje kapitały. Umyślił więc pościągać je, nim się z panem wybierze na Litwę.

Ucieszył się stary kawaler ujrzawszy Chorążego po długiem niewidzeniu; ale gdy mu opowiedział co zaszło, zawołał: Żałuję cię Jasiu! ale przyznaj sam czy nie miałem racyi nie żenić się? Trzeba ci to było brać ten kłopot na głowę?...

Chorąży przesiedział do wiosny u przyjaciela, który nie chciał go puścić od siebie; Fedor miał tedy czas pościągać swoje kapitały; a jak tylko ustaliła się droga, wypasione jak gałeczki siwosze poniosły ich do Warszawy. Ojciec nie mógł przenieść na sobie, żeby nieobaczył syna zanim się w głębokiej Litwie zagrzebie, dokąd go siostra wzywała, w zamiarze powierzenia mu administracyi majątku.

Widokiem Tadzia rozrzewnił się ojciec, ale mu nic więcej nie powiedział, tylko że jedzie na Litwę, że matka zostaje w domu i kazał pisać do siebie. Chłopak wystrzelił w górę jak trzcinka i obiecywał bardzo przystojnego mężczyznę. To wzbudziło żal w Chorążym, że go nie oddał do korpusu kadetów. Wyrobiwszy u księdza prefekta pozwolenie zabrania go ze sobą na cały dzień, a właśnie była niedziela, wziął go na paradę odbywającą się na Saskim placu; potem na obiad do restauracyi, a wieczór na teatr. Bawiąc jeszcze kilka dni codzień nawiedzał chłopca, nie szczędził morałów, a na pożegnanie dał mu dukata w złocie. Fedor przyniósł mu od siebie pakiet ciasteczek i uskarżał się, że nikogo nie znalazł ze

znajomych; w pałacach nie zastał dawnych panów, — o już to nie ta Warszawa, co za nieboszczyka króla!

Rozsypała się rodzina na cztery strony: Chorążyna została przy dziedzicznej wiosce; Tadzio uczył się w Warszawie; Chorąży gospodarował pod Mińskiem; a Pelunię zawiozła ciotka na pensyą do Wilna. Tak minęło kilka lat, w ciągu których rzadkie miewano o sobie wiadomości. Zaszły jednak niejakie odmiany. Między innemi Tadzio spłatał w szkole jakiegoś figla, któremu dano kolor polityczny, chociaż był to tylko wybryk młodociany. Przestępstwo zasługujące na skarcenie kozą, lub parą plag, wzięto na seryo i dano mu ezkluzyę ze szkoły. Chłopak mający z natury pociąg do wojskowości, zaciągnął się do półku piechoty stojącego w Warszawie. Matka dowiedziawszy się o tem, przyjechała, i za protekcyą swej serdecznej przyjaciółki Izabelli, która znała wszystkie sztaby i wszystkich adjutantów, a z półkownikiem Tadzia zostawała w ścisłej zażyłości, wyjednała u tego ostatniego, że Tadzia, który mu się bardzo podobał, przyrzekł zaszczycać swemi względami. Protektor słowa dotrzymał, bo Tadzio prędko dostał się do szkoły podchorążych, gdzie nawet wpadł w oko Wielkiemu Księciu, który go zawsze szczypał w policzek ilekroć był u niego na posyłkach. Fawor ten zyskany dobrem prowadzeniem się, znajomością służby, a i śliczną postawą był mu pomocą w awansie na oficera.

Zostać oficerem! to tyle, co wygrać bitwę, zwłaszcza kiedy wojny nie było. Pojmiemy też łatwo, z jakiem upojeniem pędził Tadzio do rodzinnego gniazda, aby matce upaść do nóg w pełnym mundurze z żółtemi rabatami i srebrnemi szlifami, i odnowić znajomość z drogiemi pamiątkami dziecięcych lat.

Jechał całą noc i właśnie wschodziło czerwone słońce, kiedy w magicznym świetle zajaśniał przed nim wzgórek umajony przepysznemi lipami, na których tle bielił się dwór, a szyby odbijały różowe promienie.

— Jeszcze zastanę matkę śpiącą, lecz zbudzę ją całowaniem — mówił do siebie zajeżdżając przed ganek, gdzie na jego spotkanie wyszła jakaś niepokaźna figura w szarej kapocie.

— Czy jeszcze śpi moja matka?

— Jakiej matki szuka pan oficer?

— Pani Chorążyna — i wymienił nazwisko — jestem jej synem.

— Pani Chorążyny tu nie ma, przeniosła się do miasteczka.

— Dawno?

— Jeszcze w przeszłym roku na św. Jan. Kupiła tam dworek i kilkanaście morgów.

— A tu kto mieszka?

— Sługa pański — tu się nazwał i przedstawił się jako dziedzic majątku, a niegdyś propinator...

Młody oficer stał w osłupieniu, serce mu się ścisnęło, ale nie pękło.

Częstował go ekspropinator wódeczką, gotów był zdobyć się i na filiżankę kawy z cykoryą, lecz on już siedział na wózku.

Powitanie z matką było czułe, oboje się rozpłakali. Tadzio jednak nie wspomniał, że był w rodzinnem gnieździe. Ona nawzajem unikała tej materyi. Urlop jego miał bardzo krótki termin, przeto zabawiwszy dwa dni, na trzeci wyjechał do Warszawy.

Rotmistrz przez ten czas niepokazywał się, chociaż matka kilkakrotnie przypominała go Tadziowi, nie mogąc odchwalić się jego dobrych rad i usług oddawanych jej w interesach gospodarskich, które ojciec zostawił na jej głowie.

Drugim wypadkiem w dziejach tej rozpierzchłej rodziny, było wyjście za mąż Peluni. Urocza ta panna wpadła w oko dymisyowanemu półkownikowi z korpusu litewskiego, który miał znaczny majątek ziemski w gubernii grodzieńskiej. Ojciec błogosławił jej do ślubu.

W ostatnich scenach krwawego dramatu każda z nich przeszła przez inną katastrofę, a w tem zamięszaniu jedni nie wiedzieli o drugich, co się z nimi stało. W ogóle każdy wtedy szukał kogoś i czegoś, żeby mieć grunt pod nogami, bo ludzie stali się podobni do roślin wyrwanych z korzeniem.

W pogodny i ciepły dzień majowy w cieniu różowo kwitnących kasztanów na plantacyach krakowskich, siedziała na

ławeczce kobieta w czerni ubrana. Przez gęstą woalkę spuszczoną na twarz trudno było zgadnąć, czy była młodą lub starą, piękną czy szpetną; atoli kibić jej smukła, ruchy eleganckie i szlachetne wskazywały na osobę nie prostej kondycyi, choć powierzchowność kazała się domyślać niedostatku.... Siedząc tak, robiła bardzo pilnie pończochę, nie podnosząc nawet oczu na przechodzących, którzy obojętnie ją mijali, krom jednego staruszka w szarym długim surducie, co już od kwadransa krążył koło niej, to z tego to z owego boku zachodził, krząkał, gadał do siebie, a gdy jej kłębek stoczył się na ziemię, posunął się i podniósłszy go, trzymał w ręku ze zdjętym kapeluszem, który odsłonił głowę łysą jak kolano.

Nieznajoma popatrzyła nań i krzyknęła: Fedor!

— Ja to jestem! i pochylił się jej do kolan.

— Zkąd się tu wziąłeś? Kiedy Pan Bóg ciebie mi zesłał, to jeszcze mię nie opuścił. . . .

— Dowiedziałem się, że wielmożna pani przeniosła się do Krakowa, ale nie wiedząc gdzie jej mieszkanie, chodziłem po tych plantacyach myśląc sobie, że pod temi ładnemi drzewami najprędzej wielmożną panię odszukam. Jakoż Pan Bóg poszczęścił mi; odrazu poznałem moją panię po robieniu pończoszki — tylko nie śmiałem tak obcesowo zaczepić. . . .

Usunęła się na ławeczce Chorążyna i rzekła: Siadaj mój stary, i gadaj.

Fedor nie śmiał być jej posłusznym — i cofnął się o krok jeden zambarasowany.

— Mówię ci siadaj! droższyś mi od najbliższych, boś nie zapomniał o mnie.

Usiadł Fedor, zawsze trzymając w ręku kapelusz. Dowiedziała się od niego, że mąż jej wzięty był na wózku wraz z Fedorem w niewolę, ale w drodze do Kijowa mocno zachorował i umarł. „Pochowałem pana na cmentarzu i postawiłem mu krzyż drewniany z napisem.“ Chorążyna przytknęła chustkę do oczu.

Dalej opowiadał jak łaskawy na niego komendant dał mu paszport i puścił wolno, z powrotem do domu, a ponieważ pana stracił, miał obowiązek odszukać panią. Wróciwszy zatem do Warszawy wywiadywał się po ludziach; na szczęście spotkał Józka kredencerza i ten go zapewnił, że wielmożna pani pojechała do Krakowa.

— „Otóż jestem w Krakowie, żeby resztę życia dosłużyć u wielmożnej pani.“

Rozpłakała się Chorążyna i rzekła łkając: a czy ty wiesz że tylko z łaski trzymają mię w oberży, gdzie już od pół roku nie płacę.... pisałam tyle listów do Pelusi, wszystkie bez odpowiedzi. Do Tadzia nie wiem gdzie pisać — poszedł za granicę.... Nie mam nic, prócz tej czarnej sukienczyny, która już dziękuje za służbę.... O nie Fedorze! chyba chcesz razem zemną z nędzy umierać....

— Jakoś to będzie mówił Fedor — nie turbuj się wielmożna pani....

I nachyliwszy się do niej opowiadał cichym głosem, że kiedy nieboszczyk pan był komendantem w Staszowie, a rzeczy miały się ku końcowi, on przewidujac, że może być z nimi krucho, zakopał swój kapitalik w ogrodzie pod jabłonią, mając zaś znajomych na granicy, łatwo dostanie się na drugą stronę i odkopawszy pieniądze, wróci nie z pustym trzosem i zawiezie swoją panią do córki, która wraz z mężem, tego tylko pragnie do szczęścia.

Fedor odprowadził panią do skromnej oberży na Kleparzu; kilkanaście rubli podsunął pod leżące na stoliku papiery i kłaniając się do kolan powiedział: trafia mi się okazya; za trzy a najdalej cztery dni będę z powrotem... Niech wielmożna pani gotuje się do drogi — pojedziemy!

Minęło trzy i cztery dni, minął tydzień i cztery tygodnie — Fedor przepadł jak kamień rzucony w wodę. Gdzieby się podział? Długo nie mogła dowiedzieć się Chorążęna, nareszcie z opowiadania jednej prostej kobiety z tamtego miasteczka przybyłej, tyle skombinowała, że „łysy staruszek“ w domu wiadomego mieszczanina, w którego ogrodzie pieniądze był zakopał — nagle zmarł w nocy.

Tę samą czarną postąć pięknej niegdyś kobiety, lecz złamaną czy wiekiem, czy nieszczęściem, widywano przez wiele lat siedzącą z paciorkami w kruchcie kościoła XX. Reformatów.... Nigdy nie prosiła o jałmużnę, ale tem skwapliwiej opatrywano ją... A niejeden przechodząc koło niej zastanowił się i pomyślał:

Ta kobieta musiała przejść przez straszne koleje losu!

Z TEKI PANA A. B.

ŻE NIE JESTEM POETĄ.

Ja nie jestem poetą — poeta ma wiarę
W siebie, w sztukę i ludzkość — ja jej nie mam wcale,
Poeta z swego życia rad zrobić ofiarę
Ideałom swej myśli i marzeń swych chwale;
Poeta wszystko barwi duszy swej kolorem,
Światłem swego geniuszu, mysli swej odbiciem,
I rzecz zimną dla gminu robi arcywzorem
I rzecz martwą dla drugich udaruje życiem.

Moje oko nie takie i myśli nie wieszcze
W sobie znam niedołężne i słabe stworzenie,
W sztuce widzę myśl wielką nieskończoną jeszcze,
A za ludzkość dziękuję Panom nieskończenie.
Nigdy ona nie będzie niczem doskonalszem,
Jak dziś jest, pierwszą cyfrą w długim zwierząt rzędzie
I połączona z sobą cementem najtrwalszym
Wspólności interesu — kupcem jest — i będzie.

Poetę kiedy rozwój ludzkości zapala,
Gdy z uwielbieniem wielkie powtarza imiona
Aleksandra Wielkiego, albo Anibala,
Cezara, Fryderyka i Napoleona,

Ja przyznaję się szczerze, że tyle poważać
Nie umiem owych sławnych świata wojowników,
I nie mogę się wstrzymać, żeby nie uważać
Ich za nadzwyczaj wielkich, ale rozbójników.

Gdy poetę zachwyca, rozrzewnia i cieszy
Cudowny postęp nauk, sztuk i wynalazków,
Gdy widzi, jak ten piorun na głos ludzki spieszy,
Pełzając ukorzony po dnie mórz i piasków,
Widzi oba tej ziemi skute z sobą końce
Żelazem, które para w skrzydła dziś zamienia,
Jak człek zawładał wszystkiem, kiedy nawet słońce
Użycza mu za pędzel swojego promienia.

Ja widzę rzeczy wielkie i piękne i śmiałe,
Które ludzkość mizerna, rachityczna, chora
Chwyta z obrzydliwością w swoje ręce małe
I przerabia na rubla, gwineę, luidora!
I przyznając, że wielka jest geniuszu siła,
Nie wątpię (tak użyty bywa ten dar Boży),
Że ludzkość-by telegraf i tunel zrobiła
Do piekła, żeby smołę djabłu przedać drożej.

Poeta widzi w ludach myśl jeszcze w zawiązku,
Którą geniusz proroczy umysłem ogarnia,
Tej Boskiej obietnicy chrześciańskiego związku
Bóg jeden, jeden pasterz i jedna owczarnia.
Ja zaś widzę po ludu miłości dla panów
(Co się może odmieni przez stuleci kilka)
Więcej daleko kozłów niżeli baranów,
A opiekunem trzody, prawie zawsze wilka.

W szlachcie widzi poeta potężne tradycye
Narodu, co tą szlachtą rządził się i wspierał,
W niej widzi bohaterskie zapałem milicye,
Na które świat chrześciański z wdzięcznością spozierał.
Ja widzę panów A, B, C, D, i tam dalej,
Co już między Turkami nie wzniecą popłochu,
Z których mało uczciwie Pana Boga chwali,
I ani jeden pewnie nie wymyśli prochu.

Poeta widzi w wojsku zastępy zwycięzkie
Rycerzy, których godłem ojczyzna i sława,
A w nich chrześciańskie bractwo szlachetne i męzkie,
Które dla szczęścia ludów pod sztandary stawa.
Ja zaś widzę żołdaków, co idą gdzie wskaże
Drogę im odgłos trąby albo tarabana,

Wsparty logiką kija — a w owym sztandarze
Tenże kij, tylko grubszy, z kawałkiem gałgana.

W małym wiejskim kościołku poeta zobaczy
Całe dzieje chrześciaństwa — w osobie kapłana,
Który świętą naukę ludowi tłumaczy,
Władzę Ducha świętego, która nań jest zlana;
A ja widzę księżulka dość sobie nudnego,
Co wziął pół rubla za chrzest, za pogrzeb dukata,
I byle za każdego wziąść tyle zmarłego,
Z roskoszą by pochował calutkie pół świata.

Poeta kiedy patrzy w obraz jaki dawny,
Widzi oprócz zawartych w tem płótnie piękności,
Cały okres tych czasów, w których żył mistrz sławny,
I myślą sięga dziejów tej wielkiej przeszłości;
Ja znowu kiedy patrzę na obraz Rubensa,
Wspomnienie sławy mistrza z pamięci mi ginie,
Bo przedewszystkiem widzę te kaskady mięsa,
Któremi wszystkie jego zdobne są boginie.

I w dalszym mej spowiedzi z kretynizmu ciągu
Wyznaję na mą hańbę — bo nie na zaletę —
Że od najsławniejszego greckiego posągu
Wolę młodą i ładną, żyjącą kobietę,
I nad wszystkie, co geniusz człowieka wyniosły
Wzniósł z marmuru, granitu lub spiżu pomniki,
Milszy mi piękny strumień olszyną porosły,
Piękniejszy dąb stuletni w puszczy naszej dzikiej.

Bo to tylko jest piękne, i wielkie i śmiałe,
Co Bóg wszechmocną wolą stworzył i dziś tworzy,
To tylko niezrównane i to doskonałe,
W czem widny niepojęty niczem palec Boży,
I tylko ta natura, z tem pięknem sklepieniem,
W którem miliardy światów z harmonią tak zgodną
Krążą, rzucone w przestrzeń jednem Stwórcy tchnieniem,
Podziwu jest, uwielbień i wdzięczności godną.

To mówię do tych panów, którzy pedantycznie
Zarzucają mi pogląd zbyt lekki na rzeczy,
Ale ja wolę lepiej uśmiać się logicznie,
Jak seryo, doktoralnie bredzić nic do rzeczy;
Nie każdemu jest danem tworzyć epopeje,
Albo pisać gruntownie i w poważnym tonie,
Dlatego mi pozwólcie, niech ja się pośmieję,
Kiedy ja być poważnym nikomu nie bronię.

Poezya rzecz duchowa, to fantazyi dziecię,
Nie znosi analizy, lecz buja i śpiewa;
Bo jej godłem jest lutnia, co cicho, a przecie
Zarówno koi ducha, drażni i zagrzewa;
Poezya zaszczyt czyni, lecz nie rządzi światem,
Nie jest kodeksem ludów, tylko cnót podnietą;
I ja uwielbiam cnotę, lecz nie kończę na tem,
Przedewszystkiem chcąc sensu — nie jestem poetą.

SKUTKI CYWILIZACYI.

(Gawęda Poleska).

Pan Joachim mój sąsiad i myśliwy stary,
A tem samem gawęda i gderacz bez miary,
Gdyśmy raz z polowania wrócili wieczorem,
Z torbą dobrze nabitą i dobrym humorem,
Który mile przeświecał w jasnem starca oku,
Taką do mnie miał mowę przy szklaneczce groku:
Mój Boże! smutno myśleć, że przyjdą te czasy,
Kiedy te nasze puszcze, bagna, pola, lasy,
Tak dzikie ale razem tak swojskie i nasze,
Czarne wioski, złe groble, po puszczach sałasze,
Te mosty na wpół zgniłe, nieozdobne dwory,
A w nich te wielkie gumna, niezgrabne obory,
Skutkiem cywilizacyi dobroczynnych darów
Odmienią się zupełnie; że z owych obszarów,
Po których dziś bujamy lekko z strzelbą w dłoni,
Gdzie nam nikt ziemi, nieba, powietrza nie broni,
Porobią się maleńkie dziedzictwa, własności,
Czyste, schludne, porządne, pełne przyjemności
Na pozór, ale w których zawiść, chciwość, zdrada
Gnieździć się wiecznie będą, gdzie sąsiad w sąsiada
Okna i serce ciągle wglądając ciekawie,
Skąpić mu będzie ziemi i powietrza prawie;
Gdy z napływem Francuzów, Holendrów i Niemców,
Chciwych naszego chleba zawsze cudzoziemców,
Mułem cudzoziemszczyzny zapłynie gościnność
Święta nasza litewska, litość, dobroczynność,
I ta choć z wielu względów ze złej uważana
Strony, zależność chłopa od swojego pana,

Który pan choć nierzadko szturchnie i połaje,
Ależ zato w potrzebie zapomogę daje,
I wskazując na obszar łąk, lasów i roli,
Mówi do włościanina: bierz bracie do woli,
Byleby dla mnie było. — Inaczej to będzie,
Gdy się cywilizacya porozlewa wszędzie
I wciśnie w każden kątek dzikiego dziś kraju,
Wtedy *suum cuiqne* w chwalebnym zwyczaju
Będzie, i każdy swoje dzierżąc w ciasnej dłoni,
Za pieniądze kup sobie, darmo niech Bóg broni.
Wtedy biedny Poleszuk, dziś przyzwyczajony
Dla spieczenia kawała słoniny wędzonej
Zrąbać sosnę masztową: oj będzie niemało
Musiał potem się zalać, by ogrzać swe ciało,
Bo mu jednej gałązki niemiecka czereda,
Choćby umierał z chłodu, bez opłaty nie da!
Oj te puszcze, te lasy, te wielkie obszary,
Obfite w ptastwo, zwierza, wprawdzie i w komary,
Które nie są zabawne — jakże mnie was szkoda,
Kiedy wasza dziś dzika lecz piękna przyroda
Ręką cywilizacyi tak się przeistoczy,
Że ani nasze serce, ani nasze oczy
Nie znajdą ani śladu tych rzadkich piękności,
Które były roskoszą dni naszej młodości!
Patrz, w tem miejscu, gdzie bywał sławny tok głuszcowy,
Jakie ogrody, pola i dwór jaki nowy,
Malowany i piękny, ogrodzony szczelnie,
A w nim Niemców rodzina tyje najbezczelniej,
Z tego mchu, gdzie to kiedyś z pod wyżlicy suki
Biłem po sto sztuk naraz — młode ciecieruki,
Holender zrobił łąkę, zieloną aż miło,
A biednych ciecieruków jak nigdy nie było;
W tym ostępie, gdzie dziki trzymały się wiecznie,
Czterdziestu kolonistów Niemców najbezpieczniej,
Pociąwszy piękny ostęp w drobne kawełeczki,
Żyją sobie jak wieprze wygodnie, bez sprzeczki,
I jedząc wasserzupę na główną potrawę,
Z żołędzi, co dzik zbierał, piją teraz kawę.
Tę puszczę, w której nieraz niedźwiedź łochwę robił,
Patrz, jak przemysł odmienił, ozdobił, przerobił;
I w miejscu, gdzie marucha rzucał się pod psami,
Aż legł ugodzon kilku trafnemi strzałami,
Gdzie trąby nasze grały, pito pogrzebowe —
Dziś Francuz pozakładał fabryki cukrowe,
I na błocie, gdzie kiedyś były wiuny, raki,
Stoi komin parowy — i sadzą buraki!

Niedźwiedzia ani słychu; ależ zato panie
Samolubstwo Francuza za niedźwiedzia stanie,
Bo prędzejby cię niedźwiedź w łohwie przyjął wdzięcznie,
Niżli spekulant Francuz — lecz zato ci zręcznie
Naplecie i nagada dziwów, gdy oceni
Zwłaszcza, że ci coś wyrwać może z twej kieszeni.
A na tejże grobelce, gdzieśmy bili słomki,
Patrz, dziś jakieś szwajcarskie nieszwajcarskie domki;
I tam gdzie człowiek z biedą po brodach i pniakach,
Przez mostek rozwalony i po okrąglakach
Godzinę wiorstę jechał i złamał oś nową,
Widzisz lecącą z świstem machinę parową,
A za nią szereg długi wagonów z Niemcami,
Towarem rozmaitem, oraz Francuzkami,
Które jadą, bo wiedzą, że w tym kraju płacą
Nietylko za sam rozum, lecz Bóg wie nie za co. -
Szkoda mi cię grobelko! nieraz ja w wiośniany
Piękny wieczór majowy stojąc zadumany,
Na tobie, zanim pierwsza słomka zachrapała,
Lubiłem słuchać głosu, którym nasza cała
Piękna dzika przyroda, tem piękniejsza może,
Wielbiąc Twą wielką dobroć, chwaliła cię Boże
Tą modlitwą najszczerszą, czystą, nieudaną,
Bo z szczęścia pochodzącą — nawet niemyślaną;
Te słowiki gdzieś w gąszczu, te na mchu żórawie,
Ten krzyk gdzieś po nad lasem, chruściel w gęstej trawie,
Te chrząszcze i te żuki, wszystko to ci w śpiewie,
Boże mój, wdzięczność głosi, choć o tem i nie wie!
Jeden człowiek tę dobroć ocenić Twą może,
A jakże Ci dziękuje rzadko, wielki Boże!
Bo zajęty sam sobą, nawet zapomina
Obowiązków wdzięczności ciążących na syna
Tejże wielkiej przyrody — i w głupiej swej dumie,
W głupiem zarozumieniu, przy nędznym rozumie,
Wyrobiwszy teoryę ciasną i dziecinną,
Dowodzi, że to tak jest — bo tak być powinno,
I pochlebiając własnej dumie oraz złości,
Nawet dla Boga nie chce mieć uczuć wdzięczności!
A czegoż to jest skutkiem? — także tej oświaty,
Której kraj nasz choć biedny, lecz sercem bogaty,
Nie miał jeszcze do tyla, by dla swej wygody
Zaparł się Boga, bliźnich i własnej przyrody,
Przyrody! którą codzień w wszystkich kątkach świata
Zabija i zaciera postęp i oświata!
Używajmyż jej darów, wdzięków i hojności,
Póki je jeszcze mamy — pókiśmy w możności

Patrzyć na nią jak dzisiaj — i módlmy się rzewnie,
Jak się modli natura cała nasza śpiewnie,
Dziękując Najwyższemu za tak wielkie dary,
Bo jak zniknie nam kiedyś ten świat z oczu stary,
Jak rozmnoży się ludność i napcha się wszędzie,
Będzie massa ludności, ale serc mniej będzie!
I w tym napływie ludzi, wyobrażeń nowych,
My sami zapomnimy o starych a zdrowych
Zasadach — i wyszedłszy z dobrego nałogu,
Gotowiśmy zapomnieć o wdzięczności Bogu!
Lecz jeszcze to daleko, i jeszcze w tym stanie
Póki my, Bóg pozwoli, że wszystko zostanie,
I daj to Panie Boże! bo wolę głos krzyka
Beczącego nad błotem, jak goddam Anglika;
Wolę wrzaski żórawia, co jagody zbiera,
Jak paplot francuskiego komiwojażera;
Wolę bełkot cietrzewia, jak szwargot niemiecki;
Milszy mi telent głuszca, jak tenor wenecki;
A pewnie o parcyalność nikt mnie nie obwini,
Gdy powiem, że przekładam rochot dzikiej świni
Nad głos pełen pisznośći podróżującego
Mit groisse fanaberie żyda warszawskiego,
Gdy z niechcenia oświadcza, że z wizytem jedzie
Do Księcia, co u niego biwa na obiedzie.
A jednak to tak będzie kiedyś, i to tylko
Dobrze, że ani teraz, ani za lat kilka,
Ledwie za kilkanaście, a nim to nastanie,
Już nas wtedy nie będzie — nie prawdaż Mospanie!

O REFORMACH SOCYALNYCH.

Czy jest co nudniejszego, jak słyszeć tych panów,
Co reformując wszystko na swój nudny sposób,
Radziby swe reformy aż do całych stanów
Rozciągnąć, gdy im niedość pojedynczych osób.
Tak jak wmawiają w ludzi niepodobne cnoty,
Tak znów wmawiaja w ogół niepojęte losy;
A ludzie ich słuchając, drapią się jak koty,
Skacząc sobie nawzajem to w oczy to w nosy.

Pojedynczo — w imieniu zasad, moralności
Wzywają do ubóstwa (które ma być cnotą)

Tych zwłaszcza wszystkich członków mizernej ludzkości,
Co mają dobre futra i buty na błoto.
Wmawiając, że je oddać powinni ubogim,
Co dziś są przemarznięci i zwalani błotem.
I że dziwnie zasłużą się przed Panem Bogiem,
Jak swe futra oddawszy, sami zmarzną potem.

Do ogółów zaś mówią: Kochane ogóły,
Dzisiejszą waszą nędzę Pan Bóg wam opłaci,
Dziś musicie pracować jak osły lub muły,
Poczekajcie, będziecie i wy też bogaci.
Widzicie tamtych panów, jakie mają futra,
A jakie patrzcie buty ciepłe i wygodne,
Na co im to potrzebne, nie czekając jutra,
Należy im to zabrać, bo już noce chłodne.

Zamiast ogółom mówić: pracujcie jak oni,
Albo jak ich ojcowie, co tyle zebrali,
Będziecie mieli futro, które was osłoni,
I będziecie tak w butach po błocie dreptali;
A kto sobie z was pracą futra nie zarobi,
Będzie najsłuszniej marznąć i w łachmanach chodzić,
A kto butów nie kupi, lub sobie nie zrobi,
Będzie musiał po błocie boso wiecznie brodzić.

Bałamucą ten ogół, który ściśle głupi,
Wie tylko, że pracować niezabawnie wcale,
I że takim sposobem i futra nie kupi
I cudze będzie buty nosić najzuchwalej;
Czekając więc okazyi, ostatkami goni,
Próżniaczy, leniwieje, po szynkowniach pije,
I na wiarę obietnic z grubym kijem w dłoni
Gotów ruszać po futro, albo buty czyje.

Z tego zatem wynika, że pomimo wrzasków
I perspektywy nieba, ci co są bogaci,
Nie lgną sercem do waszych mądrych wynalazków;
I póki im kto futer dobrze nie zapłaci,
Nie oddadzą ich pewnie, a tem bardziej butów;
Bo nie widzą ku temu powodu i racyi,
A apostołów mają za czczych bałamutów,
Albo też ciężkich osłów na drodze waryacyi.

Biedni zaś, jak mówiłem, coraz to biedniejsi,
Bo im uczciwa praca niemiłą się staje;
Chciałbym zatem, ażeby mi najroztropniejsi
Z tych panów powiedzieli, czy im się wydaje

Prawdopodobnem wszystko, co nam raczą wmawiać,
Czy wierzą w to, że wszyscy mogą jednakowo
Żyć, cieszyć się, ubierać, jeść, pić i rozmawiać,
Modlić się, nic nie robić i hulać nanowo.

Bo choć swoje teorye zdobią dowodami
O potrzebie, piękności i pożytku pracy,
Grunt rzeczy temi zawsze trąci zasadami,
Niech się na pracowitych uzbroją próżniacy,
Obedrzem ich ze skóry, ja stanę na czele,
Podzielimy się wszyscy gdyby cyrklem równo,
Nikt nie będzie mieć mało i nikt też zawiele,
Wszyscy będą mieć dosyć — to zasadą główną.

Przypuśćmy, że jak chcecie, takeście zrobili
Bez najmniejszej trudności, za ogólną zgodą
Małoco ukradliście, niewiele zabili,
Podzieliliście ziemię, pieniądze i wodę,
I na świecie się wszystko, jak każecie, stało.
Cóż wypadnie — że z działu waszego na części
Dostało się każdemu wszystkiego tak mało,
Że sobie to nie liczy za najmniejsze szczęście.

I nie ma znów równości, bo się okazało
W praktyce niepodobnem, co się zdało jasne,
Na trzystu jedno futro, a butów tak mało,
Że jeden na pięćdziesiąt, i to jeszcze ciasne.
Najszczęśliwszy posiada mórg ziemi, zegarek,
Parasol, łyżkę srebrną, but jeden, kolczyki,
Niewod, mundur studencki, od wina ankarek,
Trzy ruble, łokieć płótna i dwa kołnierzyki.

Hulajże z tem co wlezie! ale mniejsza o to,
Przypuśćmy, że jest taki tych skarbów dostatek,
Że wszyscy są po uszy opatrzeni w złoto,
Zegarki, ziemie, futra, buty naostatek,
Na długie, długie lata — lecz mija dzień długi,
Wszyscy będąc bogaci, zaniedbali pracy;
Nie ma nigdzie co kupić, zabrakło usługi;
Tego tylko czekali panowie próżniacy.

Chłop nie sieje, nie zbiera, rzemieślnik próżnuje,
Wyrobnik w karczmie hula, puste rękodzielnie,
Nikt nie myśli o jutrze, nikt nic nie rachuje,
Każden tylko się cieszy i używa dzielnie.
Zabrakło wreszcie chleba, zkąd tu wziąść, mój Boże!
Kiedy zapas zjedzony, a nowego nie ma;

Kupcy już nic nie mają, chłop też nic nie orze;
Nikt drugim nie pomaga, swoje w garści trzyma.

Zabrakło potem mięsa, pozdychały woły
Ze złego utrzymania, potem soli braknie,
Potem braknie wszystkiego, i naród wesoły
Wśród największych dostatków i pragnie i łaknie;
Poszły zatem zamiany, ty masz beczkę żyta,
Masz za nią sto dukatów, bo umieram z głodu.
— Ja nie chcę twych dukatów, ale będzie kwita,
Daj mi twój stary kożuch, bo przepadam z chłodu.

— Ot bracie tysiąc rubli, ty masz dwa stępaki,
Przedaj mi z nich jednego, żona moja chora,
Dzieci moje w gorączce, pomrą nieboraki,
Pojadę po lekarstwo, przywiozę doktora.
— Nie chcę tysiąca rubli, daj soli z pół puda
I parę funtów sadła; bo chociaż jest kasza,
Ale jeść ją bez soli to ostatnia nuda;
Oj ciężka przy pieniądzach, ciężka dola nasza.

— Oto naszyjnik z pereł, kocz i dwie karety
Za pół bochenka chleba, nie mam ani kęsa.
— Kto chce brylant z korony za cztery kotlety?
— Kto chce całą koronę za kawałek mięsa?
Nikt nie chce, bo bogactwa nie są w naszyjnikach,
Ani złotych koronach, panowie próżniacy;
Lecz w osminkach, szesnastkach, ćwierciach i garczykach,
Czyli w dobrze użytej ciężkiej człeka pracy.

Słowem rzecz najpewniejsza, że w przeciągu roku
Wszystkoby powróciło w dawne życia tryby,
A ludzkość nie zrobiwszy postępu pół kroku,
Reformatorom swoim wybiłaby szyby
Za głupie ich nauki, i schorzała, blada,
Jak żyd po trzech tygodniach narodowej macy,
Wzięłaby rzecz na rozum, i rada nie rada
Wróciłaby do ciężkiej jak przed rokiem pracy.

A głównie do tej roli, boby się wykryło,
Że jest na ziemi jedna ogromna potrzeba,
Której nic nie zastąpi i nie zastąpiło,
Potrzeba ciągłej pracy i potrzeba chleba;
Za pewną ilość chleba kupisz dla wygody
Użytku i ozdoby, wszystkiego i wszędzie,
A na kupie brylantów najpiękniejszej wody
Umrzesz kochanku z głodu, jak chleba nie będzie!

Takby to pewnie było, gdyby kiedy w świecie
Panów reformatorów przeważyło zdanie,
Tylko to niepodobne — i cieszmy się przecie,
Że coś równie głupiego nigdy się nie stanie.
Jest pewnie rzeczy wiele, co się zmienić muszą
Na dobre i na lepsze w świecie naszym całym,
Ale owi panowie daremnie się kuszą
Cały ogół ludzkości zrobić doskonałym.

Może będzie mniej nędzy — ale zawsze będzie,
Może mniej będzie garbów — lecz będą garbaci,
Może mniej będzie ludzi ciemnych w każdym względzie,
Ale się rodzaj głupców całkiem nie zatraci;
I szkoda by nam było tej szanownej klasy,
Co tak wszystko zna dobrze, oprócz tylko siebie,
Swych własnych interesów i stanu swej kasy;
Ale wie najdokładniej, co się dzieje w niebie.

———×———

A. MICKIEWICZ

w listach T. Lenartowicza *).

Mickiewicz dotychczas nie doczekał się godnego siebie biografa, i zapewne jeszcze długo czekać będzie. Może to i dobrze. Sąd o wielkim człowieku zbyt doraźny i prędki nie bywa dokładny i sprawiedliwy — przedstawienie żywota bogatego i prawdziwie wspaniałego wolne być powinno od błędów i od usterek choćby najmniejszych. Prace Małeckiego i Tarnowskiego o Słowackim, choć on młodszy i później rozpoczął zawód, nie były przedwczesne, raz dla tego, że długie zapomnienie, a później nagły i powszechny zapał dla tego znakomitego poety wymagały ustanowienia i ustalenia słusznej o nim opinii, a powtóre z powodu szczęśliwego zbiegu okoliczności, które nastręczyły bardzo bogate źródła, przedewszystkiem całą korespondencyą z matką, i pozwoliły dać dokładną i prawie wyczerpującą biografią.

Wiadomości, jakie mieliśmy o Mickiewiczu do niedawna były bardzo, a bardzo niedostateczne, nawet długi czas po śmierci, która przeszła prawie niepostrzeżona, bo każdy czuł, że Mickiewicz nie umarł, lecz jak żył, tak żyje i żyć będzie. Oprócz pięknego nekrologu Siemieńskiego, oprócz wspomnienia Wójcickiego i pamiętnika Bonawentury z Kochanowa (Potockiego), zawierającego rysy z pobytu Mickiewicza w Kownie, bardzo cie-

---

[1]) Teofila Lenartowicza Listy o A. Mickiewiczu. Paryż. Księgarnia Luxemburska 1875.

kawe, ale poniekąd potrzebujące sprawdzenia, nie było prawie nic — chyba luźne i mało znaczące wzmianki i anekdoty. Dopiero w ostatnich czasach dzięki szlachetnej zabiegliwości syna, pana Władysława Mickiewicza posypały się jak z rogu obfitości bogate i ważne materyały. Przedewszystkiem korespondencya samego Mickiewicza wydana dwukrotnie w księgarni luxemburskiej pozwoliła nam głębiej zajrzeć w tę wielką duszę, i w to serce pełne nieporównanej prostoty. Można śmiało powiedzieć, że te proste i dorywcze liściki dodały Mickiewiczowi tyle uroku jako człowiekowi, ile mu dały dzieła jako pisarzowi.

W ślad za tą publikacyą, otworzył czcigodny Ant. E. Odyniec nieprzebraną swoję skarbnicę. Jego Listy z podróży, ogłaszane od lat kilku w „Kronice rodzinnej," są nietylko arcydziełem pisarskiego talentu, które można dziesięć razy czytać z niesłabnącem zajęciem, ale rzuciły na życie i charakter Mickiewicza i wszystkich osób, z któremi wchodził w styczność, (a dodajmy i na piękną duszę autora pomimo największej jego skromności) tyle światła, że nie prędko z czemś podobnem spotkać się można w którymkolwiek kraju. Część tych listów, opowiadającą o pobycie Mickiewicza i Odyńca w Weimarze, przetłómaczył profesor Bratanek na język niemiecki, i nie wielka ta książeczka tak ogromny od razu w Niemczech rozgłos zyskała, że niektóre pisma niemieckie nie mogły ujść z podziwienia, że „*in einem obscuren polnischen Blatte*" znalazło się tyle nowych i interesujących szczegółów o życiu domowem Göthego.

Przed dwoma laty z za Oceanu prawdziwą perłę przysłał rówieśnik Adama, Ignacy Domejko. List jego o Filaretach i Filomatach pisany z takim talentem, z takiem sercem, z takiem ciepłem, z tak wysokim nastrojem ducha, że czytelnik mimowoli ugiąć musiał czoła przed starcem, który tak długo i tak daleko święty ogień i świętą pamięć młodości nieskalaną przechował.

Przeszłego roku dorzucił p. Władysław Mickiewicz krótką wiadomość o Filaretach, pochodzącą od innego uczestnika tych czasów, — a na Nowy Rok teraźniejszy przysłał nam najmilszy, bo zupełnie niespodziewany podarek: Listy Lenartowicza, z których zamierzamy zdać sprawę, uważając za zbyteczną polecać je czytelnikom, bo kto ich nie ma dziś, mieć je będzie jutro i bez naszej zachęty. Pominiemy wszystkie obficie nagromadzone szczegóły o całym szeregu osób, które podaje autor, a podniesiemy tylko to, co się bezpośrednio do Mickiewicza odnosi. Pominiemy także piękne i z prawdziwem uczuciem pisane ustępy o życiu ludzi ówczesnych, tudzież cenne uwagi autora o Mickiewiczu, o Słowackim i o Krasińskim. Poszuka ich czytelnik w książce samej, odznaczającej się, jak sam autor przyznaje, lirycznym nastrojem. „Wspomnienia wielkich ludzi są dla nas tak uroczyste, że mimowoli wpadamy w liryzm, oblekając je w słowa." To właśnie

sprawia, że choć na niektóre rzeczy [1]) cokolwiek inaczej zapatrywalibyśmy się, powstrzymać się wypada od wszelkiej, choćby najdelikatniejszej polemiki.

Lenartowicz znał Mickiewicza w ostatniej, najsmutniejszej epoce jego życia. Oto jak nam kreśli wizerunek Mickiewicza: „Najczęściej siedział Adam zasępiony i jakby na pół w marzeniu, puszczając kłęby dymu z fajki, jak człowiek, któremu ciężą drobiazgi życia. Rozmowy jego, kiedy był więcej ożywiony, miały charakter jego *Ksiąg Pielgrzymstwa*, i ze słów jego księgi można było spisywać; mówił przypowieściami, stylem jakby biblijnym, wszakże bez nastrajania się do tej formy; to było u niego tak proste, tak odpowiednie jego charakterowi, że nieraz gdy mówił, rytm jakiś przenosił słuchającego na palestyńskie wybrzeża i na pustynię, którą przechodził lud wybrany. Jego powieści o szlachcie litewskiej, o zwyczajach krajowych nawet, miały odrębny wyraz, coś dziwnie patryarchalnego i dobrodusznego razem. Był jakby wschodni, poważny mąż, pan namiotów, król wytrącony ze swojego państwa nieskończonej przestrzeni... Najwięcej miał upodobania w słuchaniu Henryka (Służalskiego) który zdaniem jego tak opowiadał, jak gdyby był obecnym w chwili, kiedy Pan Bóg świat tworzył. Przeciwnie, gdy kto prawił od rzeczy, Adam siedział, ale miał wyraz arabskiego rumaka, kiedy zły uszy po sobie położy i radby wyrwać się. Dyssonanse w głosie raziły go i czuł nerwowo, że to nieprawda.

Dążył do doskonałości po drogach boju ze wszystkiemi nędzami życia, broniąc sztandaru wolności i sprawiedliwości.

Pieczęć wielkiego wieszcza na wszystkiem, co było wzniosłe w emigracyi, można było dopatrzeć; duch jego rozdzielał się i nadawał charakter wychodźtwu. Cokolwiek powiedziano oryginalnego, czysto-narodowego, chrześcijańskiego, wyszło ze zbliżenia się z Adamem.

Żonę kochał i wielki miał dla niej szacunek. Gdy zachorował jeden z przyjaciół (Bohdan Dziekoński), był mu aniołem pocieszycielem.

Wolny był republikaninem; religijny był z wierzącymi, syn starej szlachty czcił przeszłość narodu i *nigdy jej* żadnem lekkiem ani złośliwem *słowem nie ubliżył.* Kochał lud i czuł jego ubóstwo, więc walczył o polepszenie losu ubogich; orlim lotem wybiegał w górę, więc obejmował całość. Był przekonany, że walka za szlachetną ideę musi być wygraną. Tak wielki — był zarazem prostaczkiem i dziecinną pogodę do końca życia zachował.“ Możemy wyobrazić sobie, jak młody poeta pragnął zbliżyć się do Adama — słowik do orła. Rzecz to nie była łatwa. Towa-

[1]) n. p. na wypadek z wiewiórką na str. 53 opowiedziany — tudzież na wieszczbę na str. 70.

rzystwo otaczało go nieustannie, każdy pragnął pochlubić się, że mówił z nim, że był u niego, a mało kto go rozumiał. Byli tacy, co umyślnie po to przyjeżdżali do Paryża. Musiało go to potężnie nudzić i męczyć, toż bywał czasem nielitościwy i szorstki dla tych, których próżna ciekawość przywiodła.

Po roku 1848 pojawiło się u niego dwóch młodzieńców jak z igły:

— Skądże przyjeżdżacie? zapytał Mickiewicz.

— „A z kraju“ rzekli unisono.

— „A pocóżeście tu przyjechali?

— „Na wyćwiczenie w języku,“

— „No nie źle... i cóż wam więcej mama poleciła?

— „A to, żebyśmy pana Mickiewicza zobaczyli.

— I zobaczyliście...

— A tak...

— No to bywajcie zdrowi [1])!

Nie zawsze jednak bywał tak surowy. Owszem często wobec młokosów, co przemawiali do niego jak do chłopa od kośby: „Ty! Adamie!“ okazywał największą łagodność. „Adamie! czemuż nie jesz, jedz!“ zawołał jakiś młokos na święconem u księdza Terleckiego. „Bracie pamiętaj tam o sobie“ — odpowiedział Adam (do bliższych sobie zawsze mówił *ty*).

Ci, co są najdelikatniejsi a najwięcej może mają prawa do zbliżenia się, bywają najmniej natrętni i najmniej odważni. Lenartowicz przekonany, że Adam prób jego poetyckich nie czytał, prosił C. Norwida, żeby mu parę życzliwych słów o nim powiedział. Pierwszą swą wizytę tak opowiada autor:

„Całą noc przygotowywałem się do tej wizyty, i wyszedłem na tem co do słowa wedle wyrażenia poety:

Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu.

Kiedym się znalazł wobec Adama, zapomniałem w gębie języka najkompletniej.

Mieszkaliście wówczas na l'Ouest, wprost bramy ogrodu Luxemburskiego; z początku maszerowałem odważnie, ale kiedy przyszło wejść do domu, uczułem nieco gorąca i pewną niespokojność; jedno z dzieci, zdaje mi się że nieboszczyk Oleś, pokazał mi schody na górę do pokoju ojca: *par ici!*

Wchodząc uczułem u nóg po sto funtów ołowiu. No bywaj zdrów, cóż ja tu jemu powiem! iść, nie iść, a przecież zobaczyć go muszę, choć aby raz w życiu. Zapukałem z nieśmiałością

---

[1]) Zdaje nam się, że tę anegdotę już gdzieś czytaliśmy. Opowiadał ją Lenartowiczowi jeden ze znajomych. Ktoś znowu twierdził, że ta anegdota kogo innego dotyczy. W każdym razie si non e vero, e ben trovato.

i czekałem odpowiedzi; ojciec widać był zajęty, bo nie prędko nastąpiła, a może i niedosłyszał, tak uderzenie było lękliwe. Za powtórnem usłyszałem kroki i Adam trzymając fajkę w ręku sam otworzył mi drzwi.

Nie mam wyrazu na opisanie wrażenia, jakie mi sprawił. Widziałem Lelewela, Bohdana Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego i tyle naszych wówczas jeszcze żyjących gwiazd, i nie straciłem odwagi, nie zapomniałem słowa, kiedy wobec Adama uczułem się tak ograniczony że ani raz... Chciałem coś górnie zagadać i wybełkotałem jakiś obrzydliwy frazes, za który byłbym się za ucho pociągnął, gdyby nie jego obecność. No, trudno; zakłopotanie moje spostrzegł ojciec i dobrotliwie wskazał mi miejsce obok siebie, tonem przychylnym zapytując:

— Skąd przychodzisz, bracie? z której części Polski?

— Ojciec mój był Litwinem, a ja rodem z Warszawy.

— A kiedy tak, to my i ziomkowie, uprzedził mnie Cypryan Norwid, że pracujesz i że poezye piszesz. Nie znam, ale chętnie przeczytam, bo jużciż obchodzi mnie wszystko, co tam robicie w kraju. Cóż tam macie nowego?

Wymieniłem kilka nazwisk i kilka nowych dzieł świeżo wyszłych; niektóre przeglądał już, a imiona wszystkich autorów były mu znajome i z całą szczerością mówił o dziełach i osobach, nie szczędząc, co prawda, nazwisk i nie obwijając w bawełnę; o jednym mianowicie pisarzu dość mi się surowo wyraził. Mówił z przestankami, patrzał mi w oczy bystro i radą następującą rzecz zakończył: „Jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, to ci powiem: wszyscy jesteśmy równi sobie, i tylko pod warunkiem, żeby każdy był sobą i orzeł nie nastrajał się na słowika, a słowik na orła. Głupcy i błazny zdolni są jedni lekceważenia tego, co w tej a nie w owej formie od Boga przychodzi. Kto mnie porównywa Rafaela z Wuwermansem, albo Fidiasza z Robią, to mu powiem, że głupi; tak samo kto chce poniżać Burusa dla tego, że Szekspir tragedye pisał; wszystko to są Boże ptaki i tylko zielone głowy w porównania się wdają, w rozdawania honorów albo ich zaprzeczania; poezya była, jest i będzie do końca świata, a kto jej w jakiejkolwiek chwili przeczy, kto jej nie widzi, ten jest kret i głuchoniemy; pisz i niebój się, jeśli masz tylko serce pełne i szlachetną wolę.“

Po tych słowach, nałożył znowu fajkę i odrzucił w tył dobrze już siwiejące włosy, i wtedy to ochłonąwszy z pierwszego strachu, i owszem, cały radością przejęty, wpatrzyłem się w twarz Adama. Rysy jego wyrażały nieustającą burzę wewnętrzną, w milczeniu jego było coś jak w ciszy wielkiej chmury przed gromem; oczy małe szare, zdawały się nie rzucać spojrzeń, ale promienie przeszywające, ostre jak światło kamieni szlifowanych; w każdem zdaniu stanowczość, a w każdym ruchu swoboda; wzdychał często i dolną część ust zaciskał; w całej jego postaci było coś odręb-

nego od innych, coś, co nie mogło się dostroić, zszeregować z drugimi. „Ot bieda z Polską! Był u mnie K....., mój dawny znajomy i pyta: No cóż wieszczu, podobno miewasz wizye, to powiedzże, co znami będzie? A ja jemu na to: co z nami będzie? Oto tak będzie, że was Prusak za łeb złapie i z Polski wyrzuci, bo nic seryo nie robicie i wszystko się kończy na przeżuwaniu niemieckich systemów i na podrwiwaniu; łatwo się dać zarznąć, ale z Niemca, Francuza, czy jakiego tam kosmopolity wyskoczyć Polakiem, hum...

„Bracie, powiadam ci, że tylko chłop u nas pracuje, a i ten w porównaniu z francuskim *ouvrierem* jeszcze szlachcic. Przypatrzysz się, zobaczysz.“

Adam westchnął, a kiedy nic nie mówił, uważał Lenartowicz, że należy nie zabierać mu czasu i odejść. Serdecznie uścisnął jego rękę, prosząc żeby go odwiedzał i adresu zażądał. Takie było pierwsze widzenie się jego z Adamem.

Drugi raz spotkał się Lenartowicz z Mickiewiczem na obiedzie u hr. Hermana Potockiego. Byli tam między innymi półkownik Niegolewski i syn jego Władysław. Po obiedzie rzekł Adam do Józefa Potockiego: „Szarża na działa pod Samo-Sierrą udała się, ale z rozumem i chciwością niemiecką trudniejsze spotkanie Władysławowi, a *nota bene* że jest też hułańskie dziecko i nie potrafi agitować jak O'Connell, ale zawsze z lancą naprzód po rycersku i jakkolwiek adwokat nie po adwokacku. A Niemca nie przekonasz, chyba, że go, jak się wyrażał Kiliński, pięknie uciszysz.“

O Krasińskim powiedział Adam: „Zygmunt mnie nie dowierzał, miałem tego dowody w Rzymie. Nerwowy człowiek i drżący na myśl każdej próby; w powietrzu to ją rozumiał, ale na ziemi sprawiała mu rozstrój nerwowy. Wieszcz znakomity.“

Sztukę jako robotę artystyczną podziwiał, ale lekceważył: „Gdyby tę miłość, którą artyści wkładają w swoje obrazy, włożyli w społeczeństwo, mówił raz do Lenartowicza, bah! jakieżby to cuda historya zapisała.“ Innym razem patrząc na sławne drzwi Baptisterium we Florencyi rzekł do Aleksandra Z: „Piękna to rzecz, ale Kościuszko robił piękniejsze.“

Nie lubił sztucznego naśladowania, a raczej przedrzeźniania natury. Raz wyszli do ogrodu, w którym Francuz właściciel porządzał groty sztuczne: „Nie chodźmy tamtędy — rzekł, nie lubię tych głupstw. Natura jest wielką we wszystkiem, co robi, i kiedy ją człowiek chce niewolniczo naśladować, robi karykaturę.“

Muzykę zwłaszcza Chopina lubił, ale od wykonawcy wiele wymagał; gra Fontany n. p. nie zachwycała go, ale gdy siadła do fortepianu księżna Marcelina, odezwał się: „To, to Chopen, księżna słucha go wciąż, pamięcią powraca do jego sposobu grania, a wielkich mistrzów inaczej grać nie można, jak przez

tradycye oralne. Nuty to są nuty, ale muzyka spoczywa w tym, kto te nuty czyta i zaraz widać, kto czyta A. B. C., a kto mówi mowę.“ Gdy Lenartowicz pokazał Mickiewiczowi list Szopena (list ten znajdzie czytelnik w książce) pisany w tonie wesołym i żartoiblwym, rzekł tenże po przeczytaniu: O! to on! Najuciesznieisza figura, jaką znałem w świecie. Talent Garryka, dowcip warszawsko-francuski i jedno mnie tylko w nim nieprzyjemnie uderzyło: to zabawianie swoją osobą figurek salonowych, z których żartował i miał racyą. Co to za romanse o nim teraz piszą i gadają; gdyby mu je był kto za życia przeczytał, otóżby był wystrychnął ze siebie karykaturę podług rysunku tych melomanów z przewróconem melancholicznie okiem! Polskiej matki dusza grała przez niego, śpiewała szlochała, a dusza ojca Francuza śmiała się na całe gardło, i to był Szopen.“

Przed odjazdem do Włoch pospieszył Lenartowicz pożegnać się z Adamem: „No cóż powiesz? zagadnął go z jakąś jakby niechęcią, dawnośmy się nie widzieli.“

— „Nie miałem odwagi przyjść do pana, naprzykrzać mu się“ odpowiedział Teofil i coś jak łzy zakręciły mu się w oczach. Mickiewicz dojrzał to i natychmiast zmienił ton mowy.

— „No, siadaj bracie, ot zimno, a macie czem palić?...“ Mówiąc o Rzymie zapytał Adam Lenartowicza, czy zna XX. Zmartwychwstańców, a gdy ten natrącił, że niektórzy pomawiają ich o jezuityzm, rzekł:

— „Jezuici!... gdzie tam, ani nawet ekonomy Jezuitów. Ty i wyobrażenia nie masz, co to za perfekcya. Zresztą jakże chcesz, żeby kozak, artylerzysta i hułan byli prawdziwymi Jezuitami; na to trzeba być skrybem. Ks. Jełowicki wykłuje, Kajsiewicz porąbie, a ksiądz Piotr dwunasto-funtową będzie podnosił, zniżał, obliczał elipsę, potem wypali i czasem chybi. Przykrość zrobią, ale z dobrej chęci i po służbie.“

Następnie wspomniawszy o wypadkach włoskich podniósł głos i z wielkim bolem zawołał: „Przyjdzie czas, w którym szczęśliwy będzie tylko ten, co będzie w grobie“ a potem jakby w zupełnem rozstrojeniu dodał: Ja znam takiego, co czternastu księży zabije... Jakże głębokim żalem, prawie dreszczem, przejmują nas te i dalsze na str. 36 słowa, do których dodaćby jeszcze mistyczną przepowiednię na str. 70.

Widać, jak ta dusza była złamana, jak to serce cierpiało pod naciskiem zawiedzionych całego życia nadziei, jak ten człowiek ciężkie miał życie. Słowa niechętne o adjunkcie biblioteki w Polsce, który zna tylko książki po okładkach, uważa siebie za Boga, a przynajmniej za świętego Piotra tego nieba z bibuły i kluczami cię po łbie wali“ — słowa te są dla nas niecałkiem zrozumiałe — tego tylko dojrzeć w nich możemy, że musiało go bardzo znudzić nieodpowiednie stanowisko bibliotekarza. Wiemy

zkądinąd, że sama wzmianka o bibliotece wprawiała go w rozdrażnienie.

O Francyi była mowa kilka razy, i gdy Lenartowicz zauważył, że Napoleon III ma za sobą massy, ale nie dość jest posiadać żywioł, należy jeszcze wiedzieć, co z nim zrobić" — odparł Adam.

„I on wie, bo *to zawsze Napoleon!* (Pokazało się, że nie wiedział, dodaje Lenartowicz) Francya to *ouvrier*, rzekł innym razem. Żołnierz francuski jest najlepszym żołnierzem na kuli ziemskiej, ale mu potrzeba idei. Napoleon I. porobił z nich lwów, Ludwik XVIII, Karol X i Ludwik Filip przerobili ich na konie karet królewskich, a Ludwik Napoleon co z nich zrobi, czy odnowi tradycye wielkiej armii? (I zaprawdę, gdyby był odnowił, nie byłby tak haniebnie upadł). Rządy Ludwika Filipa zniżyły dyapazon Francyi, ale ten naród ma siły olbrzymie i kiedy wlezie w błoto po szyję, to wyskoczy z niego jednym skokiem pod niebiosa; sto tysięcy ludzi rzuci w paszczę śmierci i odkupi się Bogu... Ba, ba nie tak łatwo zabić ten naród!"..

W liście z dnia 2 lipca 1874 opowiada Lenartowicz o chorobie i śmierci ś. p. Celiny. Obraz to rozdzierający serce. Pomińmy już moralne udręczenia, jakie sprawia choroba w domu, a zwłaszcza choroba matki kilkorga dzieci. Jest o wiele straszniejszy jeszcze w takich razach wróg — niedostatek. Czytaliśmy już dawniej w jednym z listów Adama pisanych do żony, że zastawił ostatni zegarek i że już nie ma co zastawiać. A teraz? i teraz nie było zdaje się ani grosza a przynajmniej bardzo mało, kiedy do tego doszło, że jeden z przyjaciół wyniósł jedyną może zbytkowną rzecz, jaka była w domu największego naszego wieszcza, w domu „jedynego obok Byrona poety naszego wieku", wielkiego wodza i hetmana dusz, że wyniósł mówię obrazek Dominichina na sprzedaż i — nie sprzedał, bo nie chciano dać nawet trzechset franków! Adam chodził jak z krzyża zdjęty. Doprawdy wierzyć się nie chce — płakać chce się. To jakże! czy nie było już nikogo, ktoby, bogdaj ostatni surdut zastawił, żeby wielki i szlachetny mistrz takiej nędzy nie cierpiał? Byli, byli tacy na szczęście, na pociechę naszą; tak było tylko w chwili, gdy Celina zachorowała i nikt jeszcze o tem nie wiedział.

Autor poświęca gorące słowa obronie czci ś. p. Celiny, którą szarpano wielekrotnie i rozmaicie, zwalając na nią winę nieszczęść Adama i oburza się na płaczki „najemne", co się nad nim litowały i fabrykowały kolce, a ubliżały wielkiemu sercu tej niewiasty. Miała anielską cierpliwość, mówi, i ciszę taką w duszy, na jaką nie lada heroizm się zdobędzie. Jedynem jej

zadaniem były obowiązki żony i matki. Cierpiała wiele, raz z przyczyn fizycznych, a powtóre z powodu trosk codziennych, obawy i niepokoju o każde *jutro,* na niej bowiem wszystko *przy niepradności* męża w życiu praktycznem polegało".

Smutne to sa sprawy, bardzo smutne. Rozumiemy powodz, które podyktowały autorowi tę szlachetną obronę pani Mickiewiczowej w liście pisanym do jej syna. Nie jesteśmy ani płaczki ani najemne, nie fabrykujemy kolców, bo i tak jest ich dość, nie ubliżamy ś. p. Celinie, o której i zkądinąd wiemy, że była bardzo dobra i bardzo szlachetna, dalecy jesteśmy od przyczytania jej jakiejkolwiek winy, a tembardziej od wydawania sądów o tej, co już dawno stanęła przed sądem Boga, który pewnie i dobrotliwszym jest sędzią i wyrozumialszym dla ludzkich cierpień, niż sędziowie świata tego. Ale jedno przecież powiedzieć musimy i dlaczego nie powiedzieć? Mickiewicz nie powinien się był żenić, przynajmniej nie tak żenić — i kto wie, czyby do tego było przyszło, gdyby nie usłużni przyjaciele, co często chcąc ulżyć, w dobrej woli przyczyniają ciążaru.

Jeszcze gdyby miłość to małżeństwo skojarzyła była — albo gdyby się był z swoją Marylą ożenił! No! nie mielibyśmy jednej części Dziadów, i kto wie zresztą, czy i w takim razie byłby Adam szczęśliwy —ale przynajmniej powiedziećby można: ożenił się z prawdziwej i gwałtownej miłości. Ale w kilkanaście lat potem? gdyż już dawno powiedział, że Danaidom da wszystko prócz serca! Czy na to, żeby był wolny od trosk? — przysporzył ich sobie — Czy żeby był szczęśliwy? — nie był szczęśliwy. — Czy żeby uszczęśliwił? — i to niełatwe dla poety zadanie.

Mickiewicz był smutny, Mickiewicz sposępniał — co tu zrobić? Rzecz prosta, ożenić go. Ale z kim? Ktoś wspomniał o pannie Celinie Szymanowskiej. Samo imię tej, w której album niegdyś zapisał się był jako pierwszy grenadyer na prawym flanku, tysiąc wspomnień obudzić musiało w duszy Adama. Przypomniał sobie złote petersburskie kajdany, przypomniał sobie dom pani Szymanowskiej, w którym mu tak dobrze było i tak ciepło, w którym tyle doznawał prawdziwej przyjaźni i pociechy. „Gdyby tu była — ożeniłbym się". — Słowo rzucone i rzecz skończona. Jeszcze dopóki był profesorem, nie było przynajmniej biedy, ale potem?

Tu żona chora, tu dzieci krzyczą, choć najukochańsze, zawsze krzyczą — a nie ma za co nająć obszerniejszego pomieszkania, ażeby się schronić i pracować w jakim kącie spokojnym. Dzieci potrzebują trzewików, sukienek — a tu nie ma czem opędzić wydatków na aptekę i lekarza. Kopertę od zegarka potrzeba zastawić, obraz Dominicina za bezcen sprzedawać.

Tak biedować wolno każdemu z nas, czytelniku miły — ale nieszczęście było i ubolewać można, że się Mickiewicz w ta-

ką biedę pogrążył, będąc, jak sam Lenartowicz powiada, *niepo-radnym* w życiu praktycznem, a przecież trudno było żądać, żeby był poradnym. My dobrze wiemy, że były inne ważniejsze przyczyny jego cierpień. Nie znalazł szczęścia w domu, bo go nie było tam, gdzie było jego serce. Zawody straszne, cierpienia bez granic, klęski publiczne niepowetowane i wypływający z tego wszystkiego mistycyzm, posępnością ogarnęły to wielkie serce a jakby mgłą tę wzniosłą duszę: — ale i troski domowe przyczyniły się do tego, że

Polały się łzy me czyste rzęsiste
Na me dzieciństwo sielkie anielskie,
Na moję młodość chmurną i górną,
Na mój wiek męski, wiek klęski
Polały się łzy me czyste rzęsiste.

Lecz przestańmy narzekać — co się stało już się nie odstanie — a kto wie, czy nie na to zsyła Opatrzność cierpienia i ciężkie próby na wielkich, ażeby mali nie skarżyli się i nie szemrali.

Raz jeszcze ożywiły się nadzieje Adama, gdy wybierał się na Wschód, chociaż mówił o nich mało i ciekawych zbywał krótko. Śmierć nie dozwoliła mu doczekać się nowego zawodu, rozczarowań jeszcze boleśniejszych, czasów jeszcze smutniejszych. Ostatnie jego słowa były: Kochajcie się dzieci moje! Obyż się przynajmniej spełniło to ostatnie jego życzenie!

Hugo Zathey.

Przegląd Literacki.

Die Freimauerei in ihrem Wesen und Unwesen. Aus dem nachlasse von Trentowski. Leipzig, 1873.

Wieloletnie, niepojęte zaślepienie rządów katolickich, a dziwna opieszałość ich poddanych, w połączeniu z długim szeregiem pomyślnych wypadków politycznych, sprawiły nareszcie, że dzisiaj Wolnomularze posiadają zastraszającą potęgę i bezprzykładne w dziejach sekt podziemnych znaczenie społeczne. Wszystkie kraje Europy i Ameryki, z wyjątkiem Rosyi i Turcyi, są im oddane jakoby na łaskę i niełaskę; a żeby podobne twierdzenie nie wydawało się przesadnem, zwracamy uwagę na ostatnie prześladowanie kościoła, które naraz w wielu krajach, zwłaszcza w r. 1870, jakby za danem hasłem, prawie w ten sam sposób, a zawsze w tym samym celu i z tąż myślą przewodnią wzniecone, zda się, że chciałoby połączyć w sobie gwałtowność Dyoklecyana z chytrością Juliana Odstępcy. Wobec tak groźnego niebezpieczeństwa, przerażeni śmiałą intrygą milionowego spisku, którego przednim celem jest zniszczenie chrześcijaństwa, katolicy coraz bardziej skupiają się pod jednym sztandarem, ścieśniają swe hufce, gotują się do obrony, a gdzie już zaczęła się walka, z bohaterstwem, godnem pierwszych wieków, poświęcają mienie, wolność, życie nawet. I coraz bardziej ludzkość na dwa ogromne rozchodzi się zastępy, zajęte bojem śmiertelnym, na kościół i wolnomularstwo. Nawet u nas ten rozdział się dokonywa. Bo u nas także, gdzie dawniej wszelkie wiadomości o masonach przyjmowano jak baśnie o żelaznym wilku, prowincye, które już dostały się pod jarzmo „praw majowych" lub ta-

kowe przeczuwają, zaczynają z bojaźnią przypatrywać się owej tajemniczej a tak ponurej potędze, która i do nas się wdziera. Ztąd nawet u nas masońskie pisma zaczynają zwracać na się uwagę, co tembardziej ma miejsce, gdy ich autorem jest rodak i używający u nas wielkiego rozgłosu myśliciel.

Już to rodzimą polskich umysłów jest cechą, że jak w dobrem, tak i w złem niestety, odznaczają się świeżością poglądów, rzutkością projektów, pewną, że tak rzeknę, oryginalnością, która choć dla braku szkolnej rutyny i karności umysłowej, najczęściej w bzika się zamienia, nie przestaje jednak być oryginalną. Tak i *Trentowski,* z innego pochodząc narodu, byłby może popr estał na smutnej sławie wolnego mularza, ale że był Polakiem i polskiej energii pomieścić nie mógł w ciasnej pedanteryi masońskiego rytuału, zdobył sobie smutniejszą jeszcze sławę wolnomularskiego odszczepieńca, jak mówią loże konserwatywne, a reformatora, jak on sam głosi i przyjaciele jego.

Dzieło jego, pośmiertne zresztą, mieszczące w sobie zasady masońskiej reformy, nie zostało życzliwie przyjętem przez większość wolnych mularzy. Bo natura polska tak jest poczciwa i tak hojnemi wyposażona została łaskami, że nawet przez lat wiele wleczona i szargana po manowcach najgrubszych obłędów, nie może zupełnie zapomnieć o Stwórcy swoim. Tej to okoliczności zawdzięcza Trentowski jakieś ślepe przywiązanie do osobistego Boga, do osobistej duchowości, do osobistej nieśmiertelności, że nawet gryzący kwas heglowskiej dyalektyki trzech tych pojęć idealnych w nim nie zdołał wytracić. Ale trzy te pojęcia, zbyt silnie zatwierdzane, budzą słuszne podejrzenie masońskich racyonalistów, którzy w najniższych stopniach tolerują wszystkie myśli ludzkiej odcienia, w najwyższych wszystkie tępią na korzyść manichejskiego dualizmu. Gdyby o tem *Trentowski* był wiedział, nie byłby z pewnością napisał swej książki, a może nie byłby nawet został masonem. Przypuszczając bowiem w najwyższych sferach wolnomularskiej społeczności te same, co w własnej głowie pojęcia o Bogu i świecie, musiał koniecznie obrzędy niższych stopni uważać za śmieszne zabobony, za dziecińśtwo. I nic w tem nie masz dziwnego. Wyobraźmy sobie świeżo z igły zdjętego niedowiarka, który kontent, że nareszcie oswobodził się z jarzma kościoła, z liturgii, sakramentów i praw kościelnych, spieszy do loży, aby tam, jak mniema, znaleźć prawdę i spojrzyć choć raz jeden w twarz bogini mądrości. A tu widzi człowieka na tronie pod karmazynowem baldachinem, któremu przysięga na ślepe posłuszeństwo, a przed nim ołtarz z młotkiem i szpadą i lichtarzem o trzech świecach, a obok księgi ustaw rozwarta także biblia (jak to jeszcze praktykuje się w rycie szkockim) i ciągle słyszy o Jehowie i wielkim budowniczym światów,

i musi się uczyć długiego a bardzo nudnego ceremoniału i znaków i symboliki i mistycznego znaczenia frazesów czczych, i musi w pokorze długi odbywać nowicyat, aby w końcu dowiedzieć się, że Bóg jest sprawiedliwy, a dusza nieśmiertelną (co niedowiarkom wcale nie jest na rękę), pojmujemy wtedy jego wstręt do rytuału wolnomularskiego i jego wołanie o reformę. Ale wyższe loże nigdy nie chciały odstąpić od wstrętnych tajemnic, przeniesionych żywcem na północ z podziemiów Eleuzyny, z świątyń Egiptu, z krwawych lochów Mitry, pana życia i śmierci. Bo co w niższych niewierzących lub niewtajemniczonych lożach wydaje się śmiesznością lub zabobonem, w wyższych lożach jest w istocie najzupełniejszą zgodą dualistycznej wiary z najobrzydliwszą wschodnią symboliką, a niezbędnym wstępem do ostatniej, najwyższej masońskiej tajemnicy, do kultu *złego ducha.*

Nazwa złego ducha brzmi dziwnie w uszach polskich, a jednak nie myślę za nią przepraszać. Bez szatana, mówiąc słowami *Woltera,* nie masz chrześcijaństwa; a kto szatanowi bytu odmawia, ten ani Boga właściwie nie uznaje, ani świata nie rozumie. To też inny wielki czciciel złego ducha Proudhon najzupełniej miał racyę, gdy zawołał: „Do mnie szatanie, ty, którego wiara przodków moich uczyniła wrogiem kościoła i Boga; przyjdź, przyjdź szatanie, osławiony przez kapłanów, niech cię uściskam, niech cię przytulę do piersi moich. Czyny twoje niezawsze są piękne, niezawsze dobre, o błogosławiony ty serca mego, ale one jedne dają myśl wszechświatu i cel rozumny.“ Wolno z tych słów wnosić, że autor ich był niepospolicie wtajemniczonym w dogmat ciemności. Bo w istocie, wyjm złego ducha i kult jego z świata masońskiego, a rozpadnie się w atomy. Bo szatan ich punktem grawitacyjnym, do którego wszystkie zdążają, osią, naokoło której wirują. Jehowa, Bóg chrześcijański, dał początek rasie Adama, górującej w najdzielniejszym przedstawicielu swoim, w wielkim *Salomonie.* Życie jego wypełnia nienawiść i zemsta nad nieszczęśliwym *Adoniramem,* praojcu wszech masonów. A zkąd rodzi się *Adoniram,* budowniczy świątyni *Salomona* i rywal jego w miłości ku pięknej królowej *Saba?* Wiedzie on wprost ród swój od Kaina, a Kaina poczęła Ewa w cudzołożnych uściskach przeciwnika Jechowy, potężnego *Adonai.* Tak więc dwa światy i dwa rody stoją naprzeciw sobie, a ciągła ich walka jest treścią dziejów ludzkich: jedno państwo Jehowy i ród synów ziemi, a drugie państwo Adonajowe i ród synów ognia. Pierwszy syn ziemi Abel ginie z ręki Kaina, pierwszego syna ognia. W karę za to zabójstwo Jehowa podbił synów ognia i oddał ich w niewolę synom ziemi, potomkom Abela, a największem poniżeniem, niejako nadirem tej niewoli jest zgon Adonirama, zabitego przez Salomona. Odtąd masoni uzyskali nanowo prawo do

wolności, nawet do odwetu. Długą niewolą pod niższym od nich rodem synów ziemi odpokutowali za zabójstwo Abela, teraz zgon Adonirama wyzwala ich z niewoli, a wkłada nowy święty obowiązek zemsty za krew Salomonowego rywala: zemsty przeciw Jehowie i czcicielom jego. Otóż pytam, cóż to za istota duchowa, która od wieków jest w wojnie z Jehową i przeciw niemu chce założyć państwo swoje. Chrześcijanin nazywa ją *czartem*, a zwolenników jego *czcicielami czarta*, choćby nawet przychodziło mu przepraszać czytelników za taką średniowieczyznę. Wiem, że tu niejeden zawoła: to wszystko bajki, to mitologia, w którą rozsądni mularze nie wierzą. Może być, ale nie zmienia to ich stosunku do złego ducha. I ztąd chrześcijańscy krytycy, np. arcybiskup Mechliński, lub znakomity ks. *Ségur*, lub wreszcie biskup *Espivent* zarzucają stale sektom podziemnym kult złego ducha. Tego rodzaju zarzut przyprowadza poczciwego *Trentowskiego* do rozpaczy, bo widzi w nim złośliwą, przez katolickie duchowieństwo wymyśloną kalumnię. Jednakże nikt bardziej od niego nie stwierdził prawdziwości tego zarzutu. Pomijając bowiem, że niekiedy całe stronnice swej książki (np. str. 98), napełnił bezecnemi bluźnierstwami przeciw „niemocy“ chrześcijańskiego Stwórcy, przeciw sakramentom i kościołowi, przeciw Chrystusowi, przeciw Duchowi ś., w innych miejscach wyraźnie Bogu naszemu nadaje przymioty, będące smutną czarta ozdobą, robi go mściwym i okrutnym (str. 103), lub nazywa go twardym i upartym demiurgiem (str. 88), a nawet tak daleko posuwa nieostrożność swoją, srodze kompromitującą sprawę masoneryi, gdyby ją w ogóle mogło coś jeszcze skompromitować, że naszego Boga nazywa szatanem, a masonom prawdziwego Boga przydziela (str. XIX przedm.). Z tak otwartem wyznaniem p. *Trentowskiego* zestawiając bardzo podobne twierdzenia różnych sekt tajemniczych z pierwszych wieków chrześcijańskich, modlących się czy to do węża czy innej figury złego ducha, a zarzucających chrześcijanom cześć czartowską, oddawaną Jehowie, trudno się dziwić, że jak niegdyś ojcowie kościoła manichejczykom i gnostykom, tak i dzisiejsi apologeci chrześcijaństwa duchownym ich potomkom bezustannie powtarzają: *jesteście czcicielami złego ducha.* A jeżeli na wzór *Trentowskiego* jeszcze kto drugi się znajdzie, co tego nie zrozumie lub zrozumieć nie chce, to już nie ma innej rady, jeno powiedzieć mu z ks. *Ségur:* „każdy wolny mularz jest albo zwodzicielem albo zwodzonym, jest albo głupcem albo oszustem.“

Oznaczywszy w ogólnych rysach stanowisko, zajęte przez autora książki, moglibyśmy pominąć szczegóły, już to płynące z tegoż stanowiska, a tem samem przez się zrozumiałe, już to przeznaczone dla wolnych mularzy, a zatem niemogące zająć czytelników innego rodzaju. Jednakże jest kilka punktów wy-

tycznych, o które zaczepił autor siatkę masońskiego myślenia, a stanowiące wartość moralną i filozoficzną tych sekciarzy. Wiadomo, że używają napozór tej samej co my terminologii, a ztąd w ludziach dobrodusznych, prostych budzą przekonanie, że między chrześcijaństwem a masoneryą żadnej nie masz różnicy, że loża nie prześladuje chrześcijaństwa, lecz je podnosi do najidealniejszej prostoty, że wreszcie masoni wierzą w Boga troistego, Stwórcę wszech światów, w Boga człowieka, w Ducha świętego, w nieśmiertelność duszy i w życie wieczne. Takie mniej więcej u nas panuje przekonanie, a książka *Trentowskiego* podała nam sposobność pożądaną, do zastanowienia się nad wartością i prawdziwością onych wolnomularskich orzeczeń.

Czemże nasamprzód Bóg masoński? ów budowniczy światów, stwórca powszechności, ojciec wszech ludzi? Naucza nas fryburski filozof (str. 14), że wychodząc ze siebie, świat stworzył, a wtedy nieskończoność Jego stała się przestrzenią bez granic, wieczność Jego czasem bez końca i początku, wszechobecność Jego ogólnem każdej rzeczy istnieniem. Substancya Boża stała się materyą, siła stwórcza duszą świata, rozum Jego nareszcie prawami przyrody. Słowa te mniemaną głębokością swoją i pozorem uczoności mogą odrazu zrobić niemałe wrażenie na umysłach niewykształconych lub nieprzyzwyczajonych do szumnej a pustej frazeologii niemieckich filozofów. Za to tem mniej przemówią do ludzi myślących, o których, zdaje się, autorowi jednak najbardziej chodziło, bo ani chrześcijanin, ani przyrodzonym rozumem kierujący się filozof nie znajdzie w nich prawdy najmniejszej, a daremnie autor łudzi się nadzieją (str. 16), że z dowolnił tak panteistów jak materyalistów. Pierwsi odkryją w rozumowaniu jego szereg krzyczących sprzeczności, a drudzy go poprostu wyśmieją; chrześcijanin nareszcie gdy przeczyta (str. 15), że Bóg jest samowiedzą świata i jaźnią wszechbytu, odpowie spokojnie, to nie nasz Bóg, jeno Bóg heglowski.

Jeżeli taki Bóg masonów, to osobliwszą jeszcze będzie ich Trójca. Najtrudniejszy ten a zarazem i najwznioślejszy z dogmatów chrześcijańskich jest także kamieniem probierczym, na którym odróżnić można chrześcijanina od deisty lub ateisty. Aby więc lepiej łudzić chrześcijan, wolni mularze także mają swoją Trójcę i z wielką ostentacyą o niej rozprawiają: mają Boga-Stwórcę, Boga-Człowieka, nareszcie Ducha świętego. Odbywają nawet wielkie zjazdy na Zielone Świątki, gwoli uczczenia Ducha ś. i lepszego w darach Jego uczestniczenia. Nie trzeba jednak słowom tym nadawać znaczenia chrześcijańskiego, bo Duch ś. czyli światło święto-jańskie, jak mówią, jest według rytuału fryburgskiego umysłem Bożym w ludziach, ogniem z nieba, genialnością, lub jak tłumaczy *Trentowski*,

jest to duch ludzki, szukający prawdy (str. 42). Taka to światłość, o której mówi Jan ś., że oświeca każdego, taki to powód, że Jan ś. został opiekunem lóż mularskich. Biedny Jan ś. nie wiedział, że o własnym rozumie swoim mówił, iż to światłość nowa świat oświecająca, ani nie przeczuwał zaszczytu, że w skutek tego zostanie głównym patronem masoneryi.

Tak więc Duch ś. zamienia się w uosobienie rozumu ludzkiego. Nie lepiej inne osoby Trójcy ś. wychodzą na masońskiej dogmatyce. Bóg Ojciec nawet nie jest osobą, bo według *Trentowskiego* Bóg Ojciec jest tylko ogólną osobowością, która dopiero w Synu staje się osobą, a tak Ojciec jest w Synu, a Syn w Ojcu, i jedno są. Ale czemże ten Syn Boży? to poprostu człowiek, bo Bóg w sobie i w przyrodzie jest osobowością, zdolnością osoby, abstrakcyą nawet, a dopiero w człowieku staje się Bóstwo Bogiem, Osobistość osobą, i ztąd jedynie Bóg w człowieku a człowiek w Bogu, czyli Bóg-człowiek jest prawdziwym i doskonałym Bóstwa wyrazem. A ten Bóg-człowiek, to nietylko Chrystus, syn Dawidów, to każdy człowiek, mający Boga w sobie, pozwalający Bogu w sobie myśleć i działać (str. 16 i nast.).

Zaiste trafnie powiada autor (str. 11), że dzisiaj pełno jest ludzi, niemających żadnego pojęcia o najwyższych prawdach. I sam jest smutnym tego przykładem. Bo cała ta gmatwanina niby filozoficzna na to wychodzi, że osobistość Boża to osoby ludzkie, samowiedza Boża to samowiedze ludzkie, um Boży to rozumy ludzkie, czyli innemi słowy: jedynym Bogiem osobistym, samowiednym i rozumnym to człowiek, zwłaszcza wolny mularz. A wtedy niesłusznie gniewa się autor na katolików, zarzucających jego sekcie detronizacyę Boga, a ubóstwienie człowieka. Czyż każda stronnica jego książki nie dostarcza na to świadectw jaskrawych?

Pomijam liczne bukiety bezbożnych dowcipów, jak np. że autor przenosi Chrystusa Pana do mitologii, i obok Orfeusza i Herkulesa sadowi. Dowcip odegrzany, bo już podobno *Aleksander Severus* uczynił to samo, stawiając posążek Chrystusa w gronie bożków domowych. Na str. 110 dowiaduję się, że tak Wenera grecka jak wschodnia Astarte (wiadomo powszechnie, na czem ich kult polegał) była ideałem dziewictwa i niebios królową, w czem autor jest bardzo konsekwentny, bo pomieściwszy Chrystusa wśród półbożków pogańskich, musiał i dla Matki Jego dobrać odpowiednie towarzystwo.

Pomijam te i tym podobne koncepty, aby słów kilka powiedzieć o masońskiej etyce. *Trentowski* stawia ją o siedm nieb wyżej od chrześcijańskiej, zarażonej według niego najgrubszym egoizmem, bo uczy, że nietrzeba bliźniego kochać jak siebie samego, ani czynić drugiemu, co nam niemiło. W miej-

sce tych dwóch *samolubnych* przykazań, *Trentowski* ogłasza nowe: kochaj w każdym i w sobie samym Boga i ludzkość. Uderza tu przedewszystkiem gruba pisma ś. nieznajomość, boć autor powinien był wiedzieć, że etyka tak starego jak nowego zakonu zamyka się w tem podwójnem przykazaniu: Będziesz miłował Pana Boga Twego — a bliźniego twego jak siebie samego. Ale jak Julian Odstępca najszlachetniejsze przepisy chrześcijańskiej moralności przeniósł do pogańskiej etyki, na to, aby módz ich odmówić chrześcijanom, podobnież i nasz poczciwy pisarz udaje, że nic nie wie o miłości chrześcijan do Boga, aby módz tę miłość za wyłączną własność wolnych mularzy ogłosić. Jednakże, jak wszyscy dawniejsi odszczepieńcy, nie wyjąwszy Juliana, małpując chrześcijaństwo, stworzyli wstrętną karykaturę, tak i mniemana moralność masonów jest przedrzeźnianiem tylko moralności chrystusowej. Boć ta nietylko miłość nakazuje, lecz i miłości tejże miarę naznacza: Boga kochać mamy z wszystkich sił naszych, a bliźniego jak siebie samych. Łatwo poznać, że miłość i miara miłości tak ze sobą się wiążą, że po zniesieniu drugiej i pierwsza obowiązywać przestaje. Przeciwnie rzecz się ma z etyką wolnomularską, tam właśnie *miarę* miłości wymazano. Bo szumne słowa: kochaj w każdym i w tobie Boga i ludzkość, pozornie tylko mówią to samo, co stare biblijne przykazanie: będziesz miłował Boga i bliźniego, ale w gruncie, dzięki ciemności i dwuznaczności frazesu uwalniają od wszelkich zobowiązań tak względem Boga jak i względem bliźniego. Co do Boga, jasno, że mając Go kochać jedynie w sobie i innych, a nie takim, jakim jest w sobie i dla Niego samego, miłość moja będzie właściwie miłością mego pojęcia o Bogu, o ile je zdołam odkryć w stworzeniach. A ponieważ pojęcie to bardzo jest elastyczne, a nawet wielu masonów utrzymuje, że tylko stworzenia Bogiem są, a zewnątrz nich nie masz Boga, przeto *w najlepszym razie* moja miłość Boga w stworzeniach będzie miłością tychże stworzeń, i niczem więcej. Mówię *w najlepszym razie*, bo jak od miłości Boga, tak od miłości stworzeń mason tanim kosztem uwolnić się może. Nie ma bowiem kochać bliźniego, jak siebie samego, jeno w bliźnim ma ukochać ludzkość całą. Ale któż nie widzi, że tak wodnista abstrakcya do niczego nie obowiązuje i że dość będzie powiedzieć sobie, iż w drugim nic nie widzimy, coby odpowiadało naszemu o ludzkości pojęciu, aby być wolnym od obowiązku kochania go. Tak więc po ulotnieniu się miłości Boga, ani miłość bliźniego ostać się nie może, i razem z tamtą na cztery wiatry się rozchodzi.

Po tych uwagach zostawiam czytelnikowi sąd wolny o konkluzyi, do której p. *Trentowski* dochodzi, że *tylko mularze czczą Boga prawdziwego* (str. 113). Twierdzenie to pono tyle warte, co następne (str. 114), że tylko mularze kochają

ojczyznę, panującego, żonę i dzieci. a co więcej, nawet nieprzyjaciół. Mularz prawdziwy. woła *Trentowski* w uniesieniu, karze swego wroga przez ukochanie: uśmiecha się słodko, gdy „czarny“ go kąsa. A praktycznym przykładem miłości nieprzyjaciół i słodkich uśmiechów dla „czarnych“ jest cała książka *Trentowskiego*, miotająca nietylko obelgi i bluźnierstwa, ale nawet „pioruny masońskie“ na „bandę czarną.“

Ale dosyć już długo zajęła nas książka *Trentowskiego*, czego nie zawdzięcza pisarskim zaletom swoim, bo tych ledwo niezupełnie pozbawiona (przedwczesna śmierć przeszkodziła autorowi do przyłożenia ostatniej ręki). Jedynie zajęły nas treść książki i narodowość autora: *treść książki*, bo z niej dowiadujemy się, że hasłem masona każdego: *„bądź Bogiem na ziemi“* (str. 113), to jego cel i pragnienie, hasło dobrze nam znane, bo niegdyś przed wiekami zatrzęsło konarami drzew rajowych, eritis sicut Dii; *narodowość zaś autora*, bo liczne a niestety przecenione dzieła jego w polskim języku w zupełnie innem świetle się ukazują, gdy przeczytało się ową książkę niemiecką, a zwłaszcza inne, także pośmiertne dzieło „Panteon wiedzy ludzkiej“ bez owego masońskiego pamiętnika jest zgoła niezrozumiałym utworem. O nim przy najbliższej sposobności powiemy słów parę, bo chociaż brany na wagę filozoficznego badania, okaże się dziwnie lekkiem, nie godzi się pomijać go milczeniem, boć napisany językiem ojczystym. *Mihi quidem nulli satis eruditi videntur, quibus nostra ignota sunt.*

Dr. P.

Dzieje bezkrólewia po skonie Jana III przez Antoniego Walewskiego członka czynnego Akademii umiejętności Tom I. W Krakowie w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego r. 1874 in 8vo str. 375. Dodatek mieszczący dokument na str. 24.

Dokładniejszego obrazu nędzy moralnej i umysłowej jaka opanowała Polskę przy schyłku siedemnastego wieku nikt nam nie skreślił jak prof. Walewski w swojem Bezkrólewiu po Janie III. Obrazu tego nie kreślił człowiek nienawidzący nas, nie, jest to patryota, który nie w żółci ale we łzach i krwi serdecznej maczał pióro, aby nam przedstawić wady przodków, które sprowadzały upadek polityczny Polski, pouczyć nas ich spadkobierców o przyczynach upadku i środkach moralnego i politycznego odrodzenia. *Co anarchia popsuła, karność jedynie może odrobić.* Z tego stanowiska napisane całe dzieło. Autor nie wyklucza wolności, ale ta musi być podporządkowana porządkowi i potędze państwa.

Rząd silny na wewnątrz i na zewnątrz jest jego ideałem i tylko anarchista na ten ideał się nie zgodzi. Wszystkie narody, które wolność wyżej kładli nad porządek i bezpieczeństwo państwa kolejno upaść musieli jak o tem świadczy historya. Autor nie stawia wyżej ani nawet na równi siły i prawa, tylko nie pojmuje prawa, któreby przeszkadzało państwu być silnem. W razie kolizyi prawa z bezpieczeństwem i porządkiem państwa autor przenosi zamach stanu nad anarchię, i na tą doktrynę każdy miłujący swą ojczyznę zgodzić się powinien. Nie przeczymy że ta doktryna prowadzi do absolutyzmu, do nadużyć władzy, ale jakaż zasada do nadużyć nie prowadzi, w każdym razie lepiej jest chwilowo wyrzec się wolności, niż na zawsze lub na długie lata utracić niepodległość lub stać się zawisłym na wewnątrz i zewnątrz od obcego państwa. Historya tylko wtedy będzie mistrzynią życia, jeżeli historyk wzniesie się do wysokości męża stanu, bez tego najwierniejsze i najdokładniejsze opowiedzenie faktów z ich przyczynami i skutkami na nie wiele się przyda historya, w takim razie może była bardzo przyjemną zabawką, ale do nauki pretensyi sobie rościć nie może, zadowolni ona ciekawość, na praktykę i rozwój życia narodowego wpływu nie wywrze. Historykiem, mężem stanu jest Walewski w swojem dziele z tego powodu też uwagę powszechną na nie zwrócić pragniemy.

Dziejów bezkrólewia po Janie III dzisiejsi nasi politycy z rąk wypuszczać nie powinni, anarchistom obrzydzą one ohydne ich rzemiosło, jeżeli w nich iskra poczucia narodowego została, legalistów *à tout prix*, którzy nawet przeciw Komunie nic nie mają, jeżeliby ona tylko większością głosów w parlamencie prawnie zebranym i ukonstytuowanym uchwaloną została, poucza, że rząd w interesie narodu i państwa ma obowiązek nawet zamachem stanu bronić społeczeństwa wbrew woli większości. Głośno potępiano i potępiają jeszcze zamach Napoleona III z drugiego grudnia, naszem zdaniem Francya w przyszłości za grzech mu to nie policzy, a możeby już dzisiaj nowy zamach z radością przyjęła. Bezwątpienia pożałowania godnem jest kraj, gdzie tylko ustawiczna jest alternatywa między anarchią a zamachem stanu, wolimy jednak ostatni, niż pierwszą, zamach stanu długim rzędem, rozumnym i sprawiedliwym wykonaniem obowiązków, może wychować pokolenie zdolne żyć na przyszłość w normalnych stosunkach, anarchia wprost prowadzi do upadku i zagłady. Nie potrzeba się zresztą nadużywania zamachów stanu obawiać nad miar, każdy rząd unika niepotrzebnych wstrząśnień, a zamach któryby tylko dynastyczne interesa miał na celu, nie znajdzie łatwo ani wspólników do wykonania go, ani zwolenników dokonanego faktu. Zamach nie opierający się na żadnym istotnym interesie narodu obraca się na niekorzyść twórcy, a oba-

wa tej alternatywy jest najlepszym hamulcem niesprawiedliwych pokuszeń. Zamach ma jeszcze tę wyższość nad anarchią, że w końcu oprzeć swój rząd musi na jakiejś idei, że dla tej idei jest on tylko środkiem, kiedy, anarchia żadnej idei nie znosi, jest ona dla siebie celem i środkiem. Anarchia w bezkrólewiu po Janie III jaskrawą jest ilustracyą tej historycznej i psychicznej prawdy.

W bezkrólewiu po Janie III jedynie stronnictwo zmarłego króla miało jakąś ideę wyraźną: przez zabezpieczenie tronu w domu królewskim uwolnić kraj od elekcyi wydającej ojczyznę na wpływy i intrygi zagranicznych dworów. Wśród niego też tylko widzimy ludzi na imię to zasługujących, działających z przekonania i w dobrej wierze, takimi byli hetman Jabłonowski, biskup kujawski St. Dąbski, młody Stan. Leszczyński; naczelnicy innych stronnictw, to ludzie bez czci i wiary, szukający tylko własnego zysku i wyniesienia. Bracia rodzeni Lubomirscy marszałek i podskarbi ofiarują swoje usługi cesarzowi rzymskiemu, biorą pieniądze od Francyi i oglądają się czy kto trzeci więcej im za usługi ich nie zapłaci. Lubomirscy dziką pałają nienawiścią do domu Sobieskich, nie mogli i nie umieli przebaczyć Janowi III. że po skazanym na infamię ojcu ich Jerzym, przyjął po nim spadek, to jest laskę marszałkowską, nienawiści nie mamy ani ochoty ani zamiaru legalizować, pojmujemy ją jednak jako uczucie ludzkie, ale sprzedawać się więcej dającemu, używać fałszu dla spotwarzania domu królewskiego, nadużywać skarbu publicznego dla zadosyć uczynienia prywatnej korzyści, to hańba, którą wytłómaczyć może tylko brak poczucia obowiązków moralnych i patryotycznych, nie lepsi byli Sapiehowie na Litwie, którzy splamili się tak dobrze przekupstwem jak Lubomirscy biorąc pieniądze od cesarza, od Francuzów i elektora brandeuburskiego, chociaż nawet takiego powodu jak Lubomirscy do nienawiści przeciwko królewskiemu domowi nie mieli, ale nadto zapomnieli obowiązków prostej przyzwoitości: aby nie podnosić ręki na tych, ktorym wszystko zawdzięczali, Janowi IIImu bowiem winni byli swoje wyniesienie, bogactwo i władzę, jeżeli kto kiedy zadziwił świat niewdzięcznością to pewnie Sapiehowie. Oszczerstwo, efronteryę, chciwość tak dobrze praktykowali Lubomirscy jak Sapiehowie. Horodyski zerwał sejm konwokacyjny, Lubomirscy krzyknęli, że to sprawa królowej wdowy, chociaż ani ona, ani synowie interesu w zerwaniu konwokacyi nie mają, zerwać konwokacyę pragną ci, którym zależy na odłożeniu sejmu elekcyjnego na czas dłuższy; taki interes mają Lubomirscy i Sapiehowie raz, aby wybadać mocarstwa ile im dadzą za popierania ich kandydatów, powtóre czasu trzeba, aby minął szał w szlachcie do królewskiego domu, za którym w pierwszej chwili powszechnie się oświadczyła i obro-

bić ją w duchu jaki im będzie potrzebny. Sapiehowie mieli odszukać Horodyskiego, zniewolić go przekupstwem 2000 złp. do wyjaśnienia kto go do tego nakłonił, miał wyznać, że Marya Kazimira zapłaciła go za to 600 talarami, dowodu jednak nigdy na to pokazać nie mogli. Horodyskiego nikt już więcej w Warszawie nie widział. Niepłatne wojsko związało się w rokosz, znowu krzyki, że to sprawa królowej, chociaż od rokoszan dwa jej starostwa kałuskie i stryjskie ze szczętem zostały zniszczone. Jeszcze na sejmie elekcyjnym Gruszczyńki poseł kaliski dopominał się o wytoczenie procesu przeciw twórcom rokoszu wojskowego, wymieniając głośno królową wdowę jako promotorkę, jednak, przycisnięty do ściany, aby wskazał dowody, zasłonił się wolnością głosu, bez którego upadłaby rzeczpospolita. Że rokosz był dziełem Lubomirskich dowodzi uczony profesor dokumentami; nawet bałamutny częstokroć Otwinowski piszący z posłuchu i idący za prądem ówczesnej opinii Lubomirskim zawiązanie rokoszu przypisuje. Cóż dopiero powiedzieć o podskarbim Hieronimie Lubomirskim, który wtenczas kiedy wojsko się buntuje z powodu zaległości żołdu, pieniądze Rzeczypospolitej wyporzycza posłowi francuzkiemu na intrygi przeciwko królewskiemu domowi, co korespondencyami Polignaca autor udowadnia. Nie lepiej wygląda w tej sprawie prymas Radziejowski krewniak i kreatura zmarłego króla, z początku występuje on jako zwolennik Sobieskich, pomiarkowawszy jednak, że królewicze dosyć pieniędzy nie mają, czy też ich skąpią, idzie tam gdzie go kupić chcą i kupić za co mają. Lubomirscy układają formalną taryfę z posłem francuzkim, jaką cenę każdemu z wpływowych osób przyzać należy. Najwięcej wpływu na elekcyą wywierają dwory francuzki i austryacki, pierwszy popiera księcia Condi, drugi królewicza Jakóba, oba dwory są zdecydowane opuścić swego kandydata, aby tylko nie dopuścić wyboru popieranego przez antagonistę, autor temu antagonizmowi Austryi i Francyi datującemu się od ożenienia Maryi burgundzkiej z Maksymilianem I przepisuje ostatecznie upadek Polski; ten antagonizm według autora więcej szkodził Polsce niż *liberum veto* i wolna elekcya. Uczony profesor bierze tu widocznie skutek za przyczynę. Nie przeczymy że ten antagonizm do osłabienia Polski wielce się przyczynił, tak gabinetowi austryackiemu jak francuzkiemu musiało chodzić o to, aby z Polski zrobić przeciwnika odwiecznego rywala, obydwa starali się wyzyskać Polskę dla siebie, ale bez liberum veto i wolnej elekcyi, wszystkie intrygi antagonistów pozostaćby musiały bezowocnemi. Autor wyrzuca Polsce że śmiało i stanowczo nie weszla w ligę z jednym lub z drugim antagonistów, pytamy się, czy z obowiązującą konstytucyą w Polsce było to możebnem? Sejm nie gabinet stanowił u nas ostatecznie o przymierzach, pokoju i wojnie, a sejm zostawał za-

wsze na łasce pojedynczego posła, jego *veto* udaremniało uchwałę większości, nie trudno też było jednemu lub drugiemu mocarstwu przekupić jednego z posłów, aby żaden wniosek przeciwny ich polityce nie otrzymał obowiązującej mocy, a gdyby nawet jednomyślność na rzecz jednego z interesowanych mocarstw nastąpiła, miało drugie na zawołanie konfederacyę zbrojną, która przez jakie takie popieranie pieniężne zawsze do skutku dojść mogła, a coby w następstwie doprowadzić musiało do wojny domowej. W takim razie bogdaj czy lawirowanie między oboma antagonistami nie było najlepszą jeszcze polityką.

Sojusz z Rzecząpospolitą mógł tylko przydać się poszukującemu z nią przymierza, gdyby pierwej przeprowadził lub przyczynił się do obalenia istniejącej konstytucyi przez rozszerzenie władzy królewskiej. Tak ostatecznie urządzenia wewnętrzne były przyczyną, że Polska stała się areną intryg obcych mocarstw, żaden z historyków też o ile nam wiadomo stosunków zagranicznych nie lekceważył, lecz intrygi obcych mocarstw można było uchylić tylko przez wewnętrzną reformę, na nią też historycy główny kładli nacisk, jako na przyczynę wszystkiego złego. Autor szczególnie podnosi pożyteczność aliansu Polski z Austryą, zgadzamy się że alians ten istotnie był pożytecznym i naturalnym, nie możemy jednak winy, że ten alians nie był stały i korzystny zwalić wyłącznie na Polskę, już sam autor wykazuje, że i Austrya w tym punkcie nie była bez winy, nam się zdaje że gabinet austryacki głównie się przyczynił do zdepopularyzowania przymierza Polski z Austryą, był on tem winniejszy, bo rozporządzał dowolnie sobą, kiedy gabinet Polski był zależnym od opinii swawolnej i licznej szlachty, mającej głos stanowczy w rzeczach politycznych, których zupełnie nie rozumiała, a tem samem uwzględnić nie umiała. Austrya wyzyskiwała przymierze z Polską, nie odpłacając się nigdy pięknem za nadobne. Posiłki dane przez Austryę Janowi Kazimierzowi więcej szkody niż pożytku przyniosły Rzeczypospolitej, wojska austryackie bezczynnie biwakowały w okolicach Krakowa, zjadając spokojnie dochody z zajętych przez się żup wielickich i bocheńskich, nie biorąc zupełnie udziału w walce Polski ze Swedami. Gorzej jeszcze postąpiła sobie w przymierzu z Janem III. Król Polski oddał jej usługę jaką rzadko może wyświadczyć jedno państwo drugiemu, jakaż była nagroda tego wysilenia? jakiego Polska nawet w interesie własnym nie rozwijała; oto w pokoju Karłowickim zgadza się na zawarcie pokoju z Turkami biorąc za podstawę faktycznie przez każdą ze stron wojujących posiadane terytorya, nie pomna, że zdobycze jakie na Turkach poczyniła winna przeważnie złamaniu potęgi tureckiej przez Jana III pod Wiedniem, kiedy Podole z Kamieńcem zostawało jeszcze w ręku mahometańskim.

Austrya naśladowała tutaj tę samą politykę względem Polski, jaką praktykowali Sapiehowie względem domu królewskiego. O postępowaniu Sapiehów wypowiedzielismy już nasze zdanie stosuje się ono zupełnie i do Austryi. Czyż po takich doświadczenich przymierze z Austryą było możebne? Korzyści z przymierza z Francyą nie możemy się dopatrzyć. Ludwik XIV nie mógł czy niechciał wysłać na pomoc swemu krewnemu i protegowanemu księciu Conti tylko jeden pułk, a Ludwik XV zięć króla Stanisława Leszczyńskiego czyż dopomógł teściowi do otrzymania korony, która mu się prawnie należała, chociaż z wojny z powodu tej sukcesyi wynikłej umiał korzystać w interesie Francyi. Alians z Francyą byłby tylko rozbiór Polski przyspieszył, anarchią zpotęgował, korzyści Polsce nie zapewniał wcale. Powiedzieliśmy już że alians z jednym z antagonizujących mocarstw musiał koniecznie drugie do intryg w Polsce spowodować, aby sparaliżować korzyści jakie z takiego przymierza mógł odnieść przeciwnik. Francya nie pierwej siecią swych intryg i zabiegów Polskę opasała, dopóki polskich Kozaków nie zobaczyła u siebie w Szampanii niszczących ogniem i mieczem wsie i mieszkańcaw. Były to półki Lisowczyków które król Zygmunt III posłał w myśl zawartego przymierza cesarzowi Ferdynandowi II. Wskutek wadliwej swej konstytucyi, Polska zagranicznej polityki mieć nie mogła, w stosunkach między narodowych jedynie ratowała ją ścisła neutralność, każdy czynny jej udział w życiu zbiorowym Europy, pociągał za sobą coraz większy rozstrój wewnętrzny. Autor tę stronę medalu nie dosyć uwzględnił i ztąd za zbyt wielką ważność przyznaje pożytkowi aliansów. Powtarzamy też raz jeszcze: bez zmiany konstytucyi alianse postronne były nie możebne a nawet szkodliwe. Sprzymierzeniec nie mógł wyciągnąć z Polski tej korzyści jakąby mógł mieć, gdyby rząd polski w innych znajdował się warunkach, nie bardzo też o jej los się troszczył, a wymagać od niego, aby za niedostateczną korzyść zasłaniał ją od wszelkich intryg postronnych, bronił jej całości i niepodległości jak swojej własnej, byłoby niedorzecznem urojeniem, pretensyą mogąca wywołać śmiech politowania, a mocarstwo któreby taką rolę bezinteresowną względem Polski odegrać chciało, zazdrościłoby chyba sławy rycerzowi z Manchy i pragnęło go na tym punkcie przewyższyć. Kwestya przymierza jak ją autor postawił, jest naszem zadaniem najsłabszą stroną tego cennego dzieła.

Natomiast poruszył autor z właściwą sobie bystrością i trafnością niektóre kwestye z nowego zupełnie stanowiska, traktując je wbrew dotychczasowym zapatrywaniom przeszłych i teraźniejszych historyków. Mówić tutaj chcemy o ostatniej Unii Litwy z Polską dokonanej na sejmie lubelskim w r. 1569. Historycy, poeci, malarze uważają akt lubelski za szczyt dzieła

politycznego Zygmunta Augusta. Inaczej na tę sprawę zapatruje się uczony akademik. Aktu samej Unii nie gani zupełnie, co najwięcej uważa go za zbyteczny. Unia dostatecznie już była kilkakrotnie obwarowaną, więcej niżeli uchwały sejmowe broniły ją wspolność interesów i dwuwiekowe wspólne pożycie, węzły pokrewieństwa znakomitych rodów litewskich i polskich, posiadanie majątków Litwinów w Koronie, a Koroniarzy na Litwie. Dziedziczna władza królów polskich w Litwie była hamulcem na wyuzdane zuchwalstwa szlachty polskiej, Kazimierz Jagiellończyk w swoich zatargach ze stanami polskimi, Zygmunt August w swoim sporze o Barbarę, pogróżką opuszczenia Polski i powrócenia do dziedzicznego państwa, trzymali szlachtę na wodzy, bojącej się spełnienia pogróżek. Zygmunt August zrzekając się niepotrzebnie przywileju dziedzictwa do Litwy zerwał ostatnią zaporę jaką znajdowała swawola polska, otworzył anarchii na oścież drzwi do Litwy dotąd karnej i stosunkowo dobrze uorganizowanej. Istotnie w tym akcie trudno się dopatrzyć patryotyzmu i mądrości stanu u Zygmunta Augusta. Co Polacy uważali za dobrodziejstwo, za poświęcenie ze strony króla, w gruncie było tylko ukaraniem ich, przez wydanie kraju na łup intryg i nieporządku. Après nous le deluge, słowa przypisywane Ludwikowi XV najtrafniej podobno malują ten akt polityczny ostatniego Jagiellończyka. Nie miał wprawdzie król potomka, ale był syn po siostrze, późniejszy Zygmunt III, niechaj byłby go mianował dziedzicem Litwy, do czego miał prawo. Polacy nolens volens byliby obrali królem dziedzica Litwy, nawet Szwedzi dziedzicznego litewskiego księcia nie byliby chcieli pozbawiać korony u siebie, taka kombinacya nadałaby północnej Europie inną postać, równie korzystną dla Polski jak dla Litwy i Szwecyi. Zresztą byli w Polsce potomkowie Olgerda i Gedymina: Sanguszkowie, Olelkowicze, Czartoryscy, Wiśniowieccy i wiele innych domów, spadkobiercy prawnego do spuścizny Jagiellońskiej nie brakowało, trzeba było tylko prawo chcieć i umieć wykonać.

Przypuszczamy że powołanie którejkolwiek pobocznej linii jagiellońskiej do spadku po Zygmuncie Auguście byłoby w Litwie wywołało zamieszanie, domy te długo już żyły w równości obywatelskiej, zbywalo im na uroku jaki otaczać zwykł członków familii królewskiej, a Radziwiłłowie przerosłszy ich wszystkich bogactwami i wpływem nie byliby ich bez oporu za następców Zygmunta Augusta uznali, natomiast syn Katarzyny, siostry królewskiej żadnej nieprzedstawiał trudności, każdy Litwin uważać go musiał za swego naturalnego dziedzica i pana. Słusznie też autor potępił Augusta, mniej jednak zdaniem naszem jest upowodowanem potępienie Władysława IV, on anarchii nie potęgował, jeżeli mu się bierze za złe, iż ustąpił przed krzykiem szlachty rozpuszczając zaciągi poczynione

na wojnę turecką i wyparł się zawartych przymierzy, to potwierdza tylko nasze zdanie, że bez reformy wewnętrznej, Polska o polityce zagranicznej myśleć nie mogła, pojął to Władysław i ostatnie lata jego panowania świadczą, że o tej reformie myślał i nawet zamachem stanu gotował się ją przeprowadzić. Nie ma na to wprawdzie żadnych pisemnych dowodów, bo takie w podobnej sprawie są niepodobne, a jeżeli istniały jakie, to w tajemniczeni w plany krolewskie troskliwie je niszczyć musieli po śmierci Władysława, liczne jednak skazówki wystarczają do przekonania nas, że o zamachu myślał, w tym celu znosił się nawet z Kozakami przez Osolińskiego, śmierć przedwczesna przerwała wszystkie zamiary, a niedoszłe do skutku plany reformatorskie objawiły się buntem kozackim. „Chcę mawiał Chmielnicki aby król był takim panem u siebie, jak ja na Niżu, zbreszy książe uciąć mu łeb, zbreszy kozak uciąć mu łeb.“ Bezczynne wyczekiwania watażki kozackiego pod Zamościem kiedy cała Polska stała mu otworem, świadczy, że miał on jeszcze nadzieję, iż w razie otrzymania korony przez Jana Kazimierza którego głównym doradcą był Osoliński, ten sam który z nim w imieniu Władysława się umawiał, nowy król uchwyci się planów poprzednika i oparty na wojskach kozackich tytułujących się zawsze wiernem wojskiem Króla Jegomości o zamach się pokusi. Miałżeby autor na takiego sprzymierzeńca się niezgadzać? przecież kto zgadza się na cel, musi zgodzić się i na środki, a innych w Polsce żywiołów nie było któreby do zamachu stanu użyć się dały.

Sejm elekcyjny kreśli autor potężnemi barwami, zdaje nam się, że patrzymy na własne oczy na ten tłum stotysięczny obuty i bez butów, przy karabeli i pod kosą, po większej części pijany a nierzadko i głodny. Sapiehowie sprowadzili aż z Litwy 12 tysięcy chodaczków, prawie tylu żywili Lubomirscy, szlachta mazurska sama jedna wynosiła do 20,000 głów. Kto będzie królem, to dla tej rzeszy kwestya podrzędna; ona tam zbiegła, bo będzie mogła jeść i pić zadarmo, przypatrzy się strojom, dając i odbierając guzy, spełni swoje prawa i obowiązki obywatelskie, przekona się dowodnie, że jeżeli gdzie, to tutaj szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; tu nie on magnata, ale magnat jego potrzebuje, kłania mu się nisko, częstuje, ściska, prosi, on co niedawno brał plagi na kobiercu, a często i bez tego ceremoniału i jeszcze kornie chwytał za kolana Jasnego Pana, dziękując za otrzymaną chłostę, teraz za pan-brat idzie z tym samym Jaśnie Wielmożnym, baraszkuje z nim swobodnie, za co może po powrocie do domu nowe będą bizony, że się śmiał z nim zbytnie poufalić, ale co będzie to będzie, teraz nie wojewoda jemu, ale on może pogrozić wojewodzie. Nie dziwić się więc, że dla niego wolna elekcya jest alfą i omegą wolności i mądrości stanu. Pod szopą siedzą se-

natorowie; niejeden z nich zamyślony, temu jakoś szlachta nie dopisuje, tamten jeszcze z pretendentem do korony nie ułożył się finalnie o zapłatę, czasami dreszcz wszystkich ich przejmie, bo pogróżki szlachty dolatują do ich uszów: z panów wszystko złe, precz z nimi, woła rzesza w szale, a ci szaleńce mają miecze w ręku, co mówią, gotowi i zrobić. Oto fizyognomia sejmu i sejmujących. Autor skończył pierwszy tom na rozpoczęciu sejmu elekcyjnego, nie doprowadził nawet opowiadania do wyboru marszałka. Z ciekawością wyglądamy końca; po wyjściu drugiego tomu nie zaniedbamy zdać z niego sprawę naszej publiczności.

L. Powidaj.

Kronika teatralna.

Begum Somru. Tragedia w pięciu aktach Fryderyka Halma przetłumaczył wierszem Władysław Sabowski.

Utwory Halma (właściwie barona Münch Bellinghausen urodzonego w Krakowie w r. 1806 gdzie jego ojciec był podówczas radcą sądu apelacyjnego) widywaliśmy dosyć często na scenie krakowskiej talent i kierunek pism jego jest nam już dostatecznie znany. Begum Somru nie stanowi wielkiej różnicy od innych jego płodów. Ma zaś tę zaletę, że wprowadza nas w zupełnie świat nowy nieznany: do Indyi. W Begum Somru przedstawia nam autor politykę angielską i zapoznaje ze stanem moralnym i umysłowym Indian. Już sam przedmiot sztuki każdego myślącego człowieka zająć powinien, chociażby artystyczne wykonanie tu i owdzie chromiało.

Sir Warren Hastings gubernator jeneralny Indyi, jedna z głównych osób tragedyi postępuje wedle zasady: że „organizm słabszy musi ustąpić organizmowi silniejszemu, apatya energii, to odwiecznem prawem natury, kwilić że słaby ginie na nic się nie przyda, bezwzględnością postępowania, którąby przyspieszała skon, oddaje się nawet przysługę choremu, bo skraca mu się cierpienia zgonu. Interes powinien przewodniczyć tak czynnościom pojedynczego człowieka jak i ciałom zbiorowym, nazwanym czy to spółką, czy państwem.“ Hastings szedł śmiało do celu, on żadnych skrupułów nie miał i mieć ich nie mógł. On był dziełem własnej pracy, zdolnością swoją i energią zdołał wynieść się po nad tłum, przebojem zdobył sobie stanowisko, w walce o byt własny nie mógł on obzierać się na pretensye, prawa i cierpienia innych, nadto jest on w usługach kompanii kupieckiej,

ta wymaga tylko zysku, w jaki sposób ten zysk osiągnięty, to dla niej obojętnem byle tylko nie potrzebowała odpowiadać za niego przed kratkami sądowemi, przymioty i wady, którym zawdzięczał karyerę osobistą, nadawały się wybornie do obecnego jego zawodu publicznego, nie potrzebował on łamać się z sumieniem, jeneralny gubernator był w zupełnej zgodzie z człowiekiem, kompania takiego człowieka potrzebowała, on jakby umyślnie dla niej był stworzony.

Ad usum tego kierunku istniała nawet w Anglii szkoła filozoficzna Benthama, która z katedry nauczała, że jedyny wzgląd którym się człowiek w swych czynnościach krępować winien, to obawa że więcej może mieć z nich szkody niż pożytku. Hastings miał więc za sobą doświadczenie w własnej karyerze, wymagania kompanii i filozoficzną teoryą. Intrygi, przekupstwo, trucizna, sztylet, szpiegostwo zdrada były dla niego środkami, jedne tak dobre jak drugie, jeżeli prowadziły do celu. Głupiec tylko waha się w zastosowaniu ich, a Hastings był człowiek rozumny, uczony nawet, i chwile wolne między poleceniem sprzątnienia kogoś sztyletem a ukartowaniem intrygi pałacowej, poświęca literaturze, tłumaczy Horacego. Autor oddał tę postać z całą wiernością historyczną i psychiczną prawdą, a pan Benda nietylko należycie pojął, ale wykonał myśl poety. W całej tragedyi jest to kreacya najlepiej obmyślana i przeprowadzona, ona podnosi utwór, i przyczynia się do zabezpieczenia mu powodzenia scenicznego.

Publiczność parterowa klaskała Hastingsowi, nie wiemy czy te oklaski były hołdem dla autora czy dla doktryn jakie Hastings w teoryi i praktyce rozwijał. Prąd jaki się od jakiegoś czasu w naszej młodzieży objawia, pozwala przypuszczać, że to był hołd oddany doktrynie. Darwinizm czego innego nie naucza, a Darwin jest dziś celem uwielbienia młodzieży. Mickiewicz, Krasiński, Słowacki to ideologowie, nad którymi ludzie praktyczni tylko litować się mogą. Mamy nadzieję, że to jest tylko chwilowa reakcya przeciwko zbyt wybujałemu idealizmowi, zwątpićby trzeba o wszystkiem. Przypatrzmy się teraz jak wyglądają Indye ich mieszkańcy i książęta wystawieni na działalność takiego Hastingsa; znaczna część Indyj jest już albo w bezpośrednim władaniu kompanii angielskiej, albo pośrednio zależy od niej przez traktaty handlowe i polityczne, Alida zwana powszechnie begum (księżna) Somru panuje w Serdanie w imię małoletniego syna Nadira, którego ojciec poległ na polu chwały, walcząc za niepodległość ojczyzny. Anglicy sieć swoich intryg już na kraj jej rzucili. Rezydentem kompanii przy niej jest niejaki Artur Dyce człowiek bez czci i wiary.

Osadzili go tam Anglicy, bo im przyrzekł uwikłać księżnę tak w swoje sidła, że w krótce ona i kraj jej pójdą w służbę kompanii. Istotnie powiodło mu się pozyskać serce Alidy, ale

Dyce jest nietylko przewrotny ale i ambitny, o ile ambicya może być udziałem dusz podłych, właściwie jest on tylko chciwy władzy i pragnie tę posiadać niepodzielnie. Pozyskawszy miłość Alidy, marzy o założeniu w Serdanie własnej dynastyi, zdradza więc kolejno i Begum i Anglików, Begum nawet podwójnie, jako księżnę i jako kochankę, zakochał się bowiem w jej wychowanicy i niewolnicy Syrnie córce Bajadery i miewa z nią potajemne schadzki. Hastings zna wszystkie zakulisowe intrygi pałacowe, służący Dycego jest na jego żołdzie i zdradza mu tajemnice swego pana. Kiedy Alida wszystkie propozycye odrzuca wejścia z kompanią w handlowe stosunki, Hastings postanawia uderzeniem w najsłabszą jej stronę, w miłość ku Dycemu, odkrywając jej wszystkie jego podłości, pchnąć ją do nierozważnego jakiego czynu. A jak Hastings jest tylko zimym rozumem, który każde drgnięcie serca tłumi wolą i przekonaniem, że sentyment tylko paraliżuje akcyę, tak Alida jest tylko uczuciem, namiętności swej poświęca wszystko i wszystkich; cała społeczność indyjska jest tego samego kroju, całe życie polityczne i prywatne Indyan zamknięte w sercu, miłość i nienawiść kieruje jej postanowieniami. Jeżeli europejczyk w tej tragedyi figuruje jako głowa bez serca, to Indyanin przedstawia serce bez głowy, walka między takiemi cynnikami na chwilę nie może być wątpliwą. Żeby tem łacniej złamać Alidę, potrzeba jeszcze złamać ją jako matkę. Wszystkie usiłowania Dyce'go aby pozyskać jej rękę, opierają się o miłość matki, pragnącej dziecku oddać nietkniętą spuściznę po ojcu. Wciągnąć Nadira w spisek przeciwko matce było rzeczą niepodobną, było to chłopię jeszcze niedorosłe, potrzeba było uczynić go idiotą, aby matkę przekonać, że usiłowania i zabiegi jej są daremne, że dziecko nie będzie korzystało z owoców jej trudu. Stan w jakim syn na scenie się prezentuje, każe przypuszczać, że Hastings przez przekupionego mentora truje go opium, i w takim stanie odurzenia będącego, karmi doktryną: że tylko ślepe posłuszeństwo Anglii może mu uratować dziedzictwo. Syn idiota i zdradzający kochanek oto w ręku Hastingsa, narzędzia które mu mają otworzyć bramy Serdany.

W ten sposób uzbrojony staje Hastings we dwie mile od stolicy Begum Somru, tam każe do siebie przywołać Dyce'go, sługę jego i Komorana najwierniejszego sługę i przyjaciela Alidy, który umierającemu przysiągł opiekę nad żoną. Dycemu robi Hastings wyrzuty, że nie szczerze pracuje dla kompanii, od służącego dowiaduje się, co mu jeszcze potrzebnem było wiedzieć o jego panu, Komoran jest główną osobą na której gubernator plan swój buduje. Komoran to Indyanin, patryota najczystszej wody, nienawidzi on Anglików jak tylko nienawidzieć można, a jednak na nim oparł Hastings głównie swoją polityczną intrygę. Komoran przywiązany jest do Begum, gardzi Dycem, nie raz on chciał otworzyć oczy swej pani na postępowanie kochanka, nakaza-

no mu milczeć, dopóki nie przekona jej, że zdradza kobietę. Hastings poucza go, jakim sposobem żądanych dowodów dostarczyć zdoła. Hastings jest głębokim znawcą ludzi, wie on, że podniecając nadzieje w jednym, zazdrość w drugiej koniecznie doprowadzić musi do katastrofy. Begum niebawem przekonała się o zdradzie, zastawszy kochanków śpiących w objęciach jedno drugiego.

Jakież następstwo polityczne mogło mieć dla Hestingsa odkrycie zdrady Dycego? Spodziewał się on, że Alida w pierwszem uniesieniu każe zamordować Dycego. Ten Dyce jakimkolwiek on jest, zawsze reprezentuje Anglię, morderstwo popełnione na rezydencie, co za sposobność do interwencyi dla kompanii. Taki też był pierwszy zamiar Alidy. Na przedstawienia jednak Komorana jakie następstwa taki czyn za sobą pociągnie, zmienia zamiar, postanawia oddać Serdanę Anglikom w trzech dniach pod warunkiem, że odbiorą Dycemu listy uwierzytelniające go przy niej, aby tylko na nim spełnić swobodnie zemstę, i zapewnić sobie wygodne życie w Anglii. Hastings na propozycye przystaje. Zagrzebanie żywcem kochanków ma być karą ich zbrodni. Komoran dowiedziawszy się o odstąpieniu Serdany chce bronić ojczystej ziemi, ale taka jest władza nad nim. Begum, taka w nim wierność danemu słowu jej mężowi, że jej we wszystkiem posłusznym będzie, że jedno jej słowo rozbraja go i do ślepego posłuszeństwa zniewala. W chwili jednak wykonania wyroku na Dycem i Syrenie Begum, dowiaduje się, że Dyce niby to z miłości do niej zamordował jej męża, wtedy sama czując się współwinną, przebacza Syrenie, Dycego oddaje w ręce Hestingsa, a sama przebija się sztyletem. Koniec ten piękny jest w wysokim stopniu bohaterskim.

Pani Hoffman grała Alidę, zrobiła ona z swej roli co się zrobić dało. Alida zdaje się w zawiązku sztuki przedewszystkiem być księżną i matką, w dalszym rozwoju jej, jest jedynie kochanką, która wszystkie obowiązki zdradza i depce nogami dla tego, że ją zdradził kochanek. Hastings mówi dużo o jej zaletach serca i duszy, autor zapewnie chciał ją skreślić taką, lecz niedostatecznie rozwinął dodatnie strony tego charakteru. Wiele czucia i prawdy było w wyrzeczonych przez Alidę wyrazach na widok nie ograniczonej podłości kochanka; i ja takiego człowieka zepsutego do kości szpiku kochać mogłam! Pod względem gry najświetniej wypadł akt czwarty. P. Szymański w roli Komorana miał chwile prawdziwego natchnienia, kiedy wygłaszał: Benares święte miasto ojców naszych wzięte i splugawione przez żółtowłosych zamorskich awanturników; dreszcz przeszedł po słuchaczach, świetnym był także, kiedy wymawiał do Alidy słowa: chodź! prowadząc ją na miejsce schadzki kochanka z niewolnicą. P. Wardzyński o którego talencie i zamiłowaniu w sztuce już nie raz pisaliśmy, tym razem zawiódł oczekiwanie, widocznie rola Dyce'go nie przy-

pada do rodzaju jego talentu, ucharakteryzowany był także nieszczęśliwie, nawet zewnętrznością swoją nie zdradzał tych zalet, które się kobietom podobać zwykły.

Całość przedstawienia mimo wskazanych wad w kompozycyi wypadła ostatecznie zadawalniająco, jest to wielka zasługa dyrekcyi, że siły artystyczne, które posiada, umie zużytkować bez obrażenia dobrego smaku i pojęć estetycznych.

L. Powidaj.

KRONIKA.

Kraków, 28 *Lutego*.

Pomimo nadzwyczajnego wydoskonalenia w naszej epoce środków komunikacyi — z wyjątkiem w niektórych pod wszelkimi względami uprzywilejowanych kraików — pomimo tak wielkiego ułatwienia znoszenia się ludzi i narodów między sobą, niedokładne tylko i nader spóźnione dochodzą do Europy wiadomości o wypadkach zaszłych w największem na świecie państwie w cesarstwie chińskiem. Wiemy że odegrał się tam a może i odgrywa jeszcze wielki jakiś dramat polityczny w skutku śmierci cesarza, ale dokładnie nic nie wiemy ani o szczegółach tej śmierci, ani o jej następstwach, nawet nie możemy stanowczo powiedzieć, kto wstąpił na tron po zmarłym Synu Nieba ani kto rzeczywiście dzierży w tej chwili władzę. A doprawdy pożałowania godną jest ta niewiadomość już dla tego samego, że niewątpliwie dziś Europa wiele nauczyćby się mogła od Chińczyków, gdyby lepiej oznajmioną była i zawiadomioną o ich czynach i postępowaniu. Jeżeli już nie losy dynastyi *Tai-cing*, zajmowaćby nas żywo powinny, to zaiste w epoce wybujałego humanitaryzmu, gdybyśmy nie byli obłudnikami i komedyantami wielkich filantropijnych zasad i wielkiej miłości ludzkości, cóż bardziej powinnoby nas obchodzić, jak społeczeństwo, którego ludność wynosi wedle najskromniejszych obrachowań sto osiemdziesiąt milionów. Sto osiemdziesiąt milionów ludzi, cóż to za imponująca za wspaniała cyfra humanitarna, a przecież, w epoce, w której wszystko robi się a szczególniej mówi się w imieniu ludzkości, lada proces hebrajskiego spekulanta więcej jak zręcznego, a który potrafił zdobyć sobie kilka milionów reńskich, bardziej obchodzi i zajmuje ogół jak losy owych sto osiemdziesięciu mi-

lionów braci w bezwyznaniowości! Co to za krzycząca nieloiczność, co za potworny sofismat, który świadcząc o wysokim stopniu hypokryzyi, dzisiejszego społeczeństwa europejskiego, dowodzi zarazem wielkiej w tym przynajmniej punkcie wyższości nad niem Chińczykówi, wykazuje wymownie wielką czczość i nicość pięknie brzmiących frazesów o ludzkości i filantropii. Do tej krzyczącej niekonsekwencyi Europejczycy dołączają pewną dumę, którą wpośród obecnego stanu Europy, śmiało nazwać można bezrozumną, ile razy wspominają o Chińczykach. W skąpych doniesieniach o zajmujących wypadkach zaszłych w Pekinie, znaczne miejsce zajmowały skargi na niedopuszczenie lekarzy europejskich do chorego Syna Nieba, jak gdyby ostatecznie zachodzić mogła jaka znacząca różnica między europejskim a chińskim sposobem leczenia. A nawet zdaniem naszem, starodawny w tych wypadkach zwyczaj chiński, daje nierównie większe rękojmię od zbyt liberalnego nieraz postępowania w naszym świecie. W Chinach gdy wzywają lekarzy do cesarza lub jakiego dostojnika, zaczynają od tego, iż ich wspaniale ugaszczają i karmią, w miarę jak stan chorego się polepsza traktament staje się wykwintniejszym, lecz jeżeli stan ten nieco się pogorszy w pierwszych chwilach ograniczają się na lekkiem biciu w pięty lekarzy, bicie które się wzmaga w miarę pogorszenia się chroby; w razie zaś śmierci pacyenta, ścina się głowę niefortunnym czy też nieumiejętnym Eskulapom. Tym sposobem jeżeli nieraz niewinny zostanie ukaranym, to niezawodnie częściej winny nie ujdzie kary, a doprawdy Europa mogłaby sobie przywłaszczyć ten zwyczaj od Chińczyków, jeżeli już nie względem lekarzy ciała, to względem wszelkiego rodzaju szarlatanów politycznych udających dziś lekarzy bez obawy o pięty i gardła. Wiadomem jest, że Chińczycy nie lubią ani zmian ani innowacyi, że słowem nic nie robią i wszystko u nich dzieje się po dawnemu, ale to pewna, że przynajmniej umieją nic nie robić, czego nie można powiedzieć o wszystkich europejskich społeczeństwach, a w tem też dopatrzeć się można pewnej wyższości, którą zbyt często i nierozważnie lekceważemy.

W Chinach z małemi wyjątkami drogi znajdują się w opłakanym stanie, rolnictwo z wyjątkiem kultury herbaty, nader nisko stoi, lecz przynajmniej tam mandaryni nie zjeżdżają się z odległych stron cesarstwa na to, aby całe tygodnie radzić nad temi sprawami i nic nie uradzić, słowem Chińczycy umieją nic nie robić i już dla tego wielce pożałowania godnem jest brak dokładnych w Europie o nich wiadomości, bo przy obfitszych i częstszych, niejedno nasze społeczeństwo, które także nic nie robi, nauczyłoby się przynajmniej dobrze, nic nie robić

Nie mówiąc już o zaściankowych kraikach, którym duma nie pozwoliłaby zapewne skorzystać z przykładu Chińczyków, Francya mogłaby się nauczyć nie robić rzeczypospolitej bez re-

publikanów. Tymczasem jednym, owym już historycznym jedynym, głosem utrzymała się Rzeczpospolita we Francyi. Oprócz garstki republikanów któż jej chciał? Nikt. A nie wyjmując i owej garstki nikt jej nie chciał takiej jak wyszła z obrad zgromadzenia narodowego nad ustawami konstytucyjnemi. Najmniej zaś życzył jej sobie naczelnik rządu, ów bohaterski marszałek a krótkowidzący polityk. Marszałek Mak-Mahon, jak nam donoszą, w pierwszej chwili był nietylko rozgniewany, ale oburzony na ową uchwałę republikancką zgromadzenia, lecz co najciekawsze o to, że w swej politycznej naiwności chciał koniecznie dowiedzieć się czyj to był ów jeden głos, który przeważył szalę na korzyść rzeczypospolitej, nie podobna mu było wytłumaczyć, iż nie dyskrecya ale niemożliwość nie dozwala zadośćuczynić jego prezydenckiej woli. Marszałek nie chciał czy nie mógł wcale tego zrozumieć i coraz bardziej się gniewał, aż na końcu oczywiście skrupiło się wszystko na Polaku, gdyż dostrzegł między głosującemi za Rzeczypospolitą uczonego i znanego ziomka naszego deputowanego z Paryża p. Ludwika Wołowskiego. Jeżeli nikt nie chciał Rzeczypospolitej, a przecież stała się, to oczywiście jest ona chwilowem dziełem przypadku tego wszechwładnego pana w społeczeństwach, z których uleciał rozum polityczny, a w którem szaleją namiętności stronnicze i żądze nieokreślone. Przypadek widocznie zapewnił efermeryczne zwycięztwo zasad republikanckich, lecz znaczną większość, która uchwaliła ustawy konstytucyjne stworzyła obawa bonapartyzmu; jak każda spółka utworzona pod wpływem strachu, tak i ta nie jest i nie może być trwałą, zaledwie przeżyć ona może jutro dnia, w którym uchwaliła republikę, a wtedy pytamy cóż się stanie z republiką? Dla nas dwie tylko przedstawiają się w przyszłości alternatywy zsunięcie się coraz większe rzeczypospolitej w otchłanie demagogii lub zduszenie jej w objęciach bonapartyzmu; p. Gambetta lub Napoleon IV, oto jedynie dziś możliwi spadkobiercy owego siedmiomiesięcznego dziecka, które w lutym urodziło się w Wersalu. Nietylko zasada, ale zasady monarchiczne odepchnięte i przygłuszone, nakazują chwilowo monarchistom pozostać w cieniu, wyczekiwać, może nawet pokutować za własne i innych winy; oby skorzystali z tego czasu jeżeli nie na to, aby dużo zapomnieć to przynajmniej na to, aby się czegoś nauczyć, a wtedy nie wątpliwie przyszłość do nich należeć będzie i Francya zmęczona i znużona bezowocnemi lub srogiemi próbami, szukać będzie bezpieczeństwa i zbawienia na jedynie stałej i silnej a tem samem niebezpiecznej dla jej wrogów podstawie. Że większość chwilowa, która uchwaliła ustawy konstytucyjne nie ma przyszłości, na to mamy najlepszą wskazówkę w trudnościach jakie napotyka utworzenie nowego ministeryum; gdyby większość była stałą, gdyby wiedziała czego chce nadal a nie była tylko aglomeratem najróżnorodniejszych czynników, ministeryum byłoby już utworzone.

W niemałe bo też złudzenie popada i marszałek-prezydent i ci którzy myślą, że można pogodzić zasady konserwatywne z uchwalonemi co dopiero ustawami, są to dziś już jak mówi Hamlet tylko słowa, słowa i słowa. Zasada konserwatywna nawet w rzeczypospolitej mogła być uratowaną tylko przy określeniu pochodzenia i atrybucyi senatu i dla tego też około tej ustawy toczyła się najzaciętsza walka; nie chcąc ani na chwilę przypuszczać, aby w dzisiejszych czasach mogła była już przeważyć zasada dziedzicznej izby, pozostawało jeszcze utworzenie jej za pomocą nominacyi przez naczelnika rządu i przez różne korporacye; skoro zaś i to *minimum* konserwatyzmu nie utrzymało się i skoro senat powstanie cały z wyborów, konstytucya francuzka jest jaknajbardziej amerykańską i nie ma co już mówić o zasadach konserwatywnych przed jej obaleniem.

Nie długo czekaliśmy na częściowe stwierdzenie naszych przewidywań o trudnościach z któremi przyjdzie nowej monarchii w Madrycie spotkać się. Tryumfalny pochód na czele armii północnej rozbił się w jednym tygodniu o walną wygranę Karlistów, młody król odbywszy wedle wyrażeń urzędowych telegramów chrzest ognia, nie szukał dalszych jak się zdaje, niemożliwych, na polach bitew laurów i podążył pospiesznym pociągiem do stolicy, gdzie już rozpoczynają się wygnania, spiski i zamachy, zwykły i znany nam dobrze szereg wypadków w Hiszpanii, których epilog nie wątpliwy. W dodatku nowa monarchia popadła w śmiesność zatargów dyplomatycznych — z Turcyą!!

Działanie ogólnej dyplomacyi europejskiej ogranicza się widzialnie w tej chwili do przygotowawczych układów o udział w konferencyi zwołanej przez Cesarza rosyjskiego dla zaprowadzenia zmian w między narodowem kodeksie wojny, a która ma być drugim aktem konferencyi brukselskiej. Czy pod ową kwestyą konferencyi dla międzynarodowego kodeksu wojny, ukrywa się ze strony tego lub owego państwa, jakaś dalsza myśl, czy tkwi w niej na przyszłość zaród jakichś wielkich komplikacyj, trudno dziś powiedzieć, równie jak dobrze oznaczyć stanowisko w niej rzeczywiste Niemiec i Rosyi. To pewna, że Anglia przewidując, iż nic dobrego dla niej nie może być uchwalonem na tem zebraniu pod względem prawa morskiego, odmówiła stanowczo w niem udziału, tak jak już w Brukseli nie chciała podpisać ostatecznego protokółu. W nocie lorda Derby mówiącej o tej sprawie, dostrzedz można nawet było pewnego rozdraźnienia, z którego wnosićby się dało, że następstwa owej konferencyi nie będą pozbawione doniosłości. Anglia pozostała dotąd pomimo zrzeczenia się wielu rzeczy i stanowiska swojego w Eropie nader czułą na wszystko co się dotyczy morza i jego prawodawstwa; oczywiście że każde ułatwienie rozwoju floty wielkiego państwa niemieckiego nie może jej być miłem.

Zajęcie ogólne podzieliło się w Austryi zgodnie z systemem dualistycznym na dwie części, w Przedlitawi skupiło się ono w procesie p. Ofenheima w Zalitawii w kryzys ministeryalnej w Peszcie. Właśnie co odebrany telegram donosi nam o zakończeniu procesu owej *cause célèbre* austryackiej; a to zakończenie jest tak wymowne, iż każde do niego dodane słowo osłabić by tylko mogło jego znaczenie; wobec takiego zakończenia nie umiemy nic znaleść silniejszego nad milczenie. Nie podobna nam jednak, nie zapisać owego tragi-komicznego epizodu który jest doskonałą ilustracyą i epoki i położenia, a polegającego na tem iż minister oskarżyciel wyjeżdża na wygnanie a oskarżony wraca tryumfująco do swojego pałacu. W każdym razie ktoś jest tu winnym, może nie w pojęciu karnem, ale moralnem i społecznem politycznem i ostatecznie jeżeli już nie co innego to błąd i to wielki popełnionym znów został w Austryi.

Kryzys ministeryalna w Peszcie zdradza wyraźnie, jak wszystko się tam psuje i jak stanowczo minęły już piękne dni w Aranhuez. Rozbicie stronnictw, niemoc stworzenia rządu, wynajdywanie najnieprawdopodobniejszych kombinacyj, w których chcianoby ogień z wodą połączyć, są to symptomata wskazujące że podwaliny systemu ugody i dualizm nadgnite, a tem samem że nie wiele na nich budować już dziś można. Kwestya przybiera tem groźniejszy charakter, że jest bezpośredniem następstwem finansowego stanu kraju, wiemy zaś że cyfry są nie ubłaganemi i że ostatecznie one górują nad położeniem. Koalicyjne ministeryum hr. Wenkleima lub inne, mogłoby być tylko przejściowem i nikt a przed innemi ono samo nie brałoby się na serio. Wśród wszystkich tych kombinacyj, uporczywie powraca jedno poważne i doniosłe nazwisko barona Senneya, doniosłe dla tego iż przedstawia ono zmianę systemu, właśnie w sprawie ugody i dualizmu i tak ściśle z niemi złączonych finansów węgierskich. Niestety, jest to jak dotąd tylko nazwisko, bo stronnictwa parlamentarnego barona Senneya nie ma, jest on stronnictwem i przewódcą zarazem, a słyszeliśmy z ust osoby w ścisłych zostającej z nim stosunkach, że to stronnictwo które br. Senney przedstawia w izbie składa się z niego i z młodego hr. Appony. W tych warunkach trudno myśleć o utworzeniu parlamentarnego silnego ministeryum, ale niewątpliwie mąż ten polityczny, sam przez się, i przez zasady które przedstawia, ma przed sobą przyszłość; mniemamy jednak że przyjście jego do władzy, aby było trwałem i użytecznem musi pociągnąć za sobą częściową przynajmniej zmianę systemu, a wtedy niewątpliwie ta zmiana nie pozostanie bez wpływu na całą monarchię i znajdzie w niej wielki i pełen doniosłości odgłos.

St. Koźmian.

Ponieważ raz już zaczepiliśmy o sprawę *Porcyj* przedrukowawszy w poprzednim zeszycie pisma naszego, artykuł p. Koźmiana z „Przeglądu Polskiego," podajemy dzisiaj list hr. Tarnowskiego do swoich Wyborców z okręgu Rzeszowskiego, aby czytelników naszych z dalszym przebiegiem tejże sprawy zaznajomić.

Do moich Wyborców.

Złożywszy na dniu dzisiejszym mandat poselski, czuję się w obowiązku wytłómaczyć się Panom z powodów tego mojego postanowienia.

Po dwakroć zaszczycaliście mnie Panowie swojem zaufaniem raz, kiedy młodemu i niemającemu żadnej jeszcze za sobą przeszłości, otworzyliście wyborem swoim wstęp do publicznego życia: drugi raz, kiedy po przejściach sejmowych i krajowych z lat 1867, 1869 i 1869, po uchwale z dnia 2go Marca, po sprawie rozolucyi, i (że tu wspomnę działania pozasejmowe), po postawie jaką zajęło Pismo do którego należę, stwierdziliście wyborem powtórnym, że moje postępowanie usprawiedliwiło raz we mnie położone zaufanie. Jak też z wdzięcznością mandat wasz Panowie przyjmowałem, tak nosiłem go z uszanowaniem, i śmiem tuszyć, bez szkody i wstydu ani dla was ani dla siebie.

Zachować go choćby na zawsze, pozostać w tym stosunku dla mnie chlubnym i miłym, zaufania od wyborców dla posła, uszanowania od posła dla wyborców, pragnąłem tak szczerze, że niedawno jeszcze nie byłbym przypuścił, iżby mnie cokolwiek skłonić mogło do jego złożenia.

Zaszły przecież okoliczności, które mnie do tego spowodowały.

Parę miesięcy temu byłem napisał artykuł ogłoszony w *Przeglądzie Polskim* pod tytułem „Porcye,“ który jak Panom wiadomo, wywołał naprzód wielkie oburzenie, potem szereg licznych zaprzeczeń, nietylko od wielu osób, ale i od niektórych reprezentacyi powiatowych: twierdzono w nich, że wszystko co napisałem było nieprawdą, jeżeli nie złośliwym wymysłem, to lekkomyślną łatwowiernością z mojej strony, domagano się odemnie odwołania.

Odwołać faktu o którym mam przekonanie, że jest, a przynajmniej że był w czasie kiedy o nim pisałem, nie mógłem. Co zrobić mógłem, to przyznać, że pisząc pod pierwszem wrażeniem oburzenia napisałem zbyt żywo, i w tem zwłaszcza źle, że ze słów moich zdawać się mogło, jakobym na ogół rozciągał oskarżenie, które na niektórych tylko słusznie spadać mogło. To zrobiłem: przyznałem ten błąd dwa razy, w dwóch listach otwartych z ogłoszonych przez pisma publiczne, i przyznał jeszcze *Przegląd Polski.*

Myślałem, że dałem w ten sposób zadośćuczynienie, jakiego słusznie można było odemnie żądać.

Tymczasem podniesiono tę sprawę świeżo na zebraniu Towarzystwa Rolniczego we Lwowie, które uchwaliło jednomyślnie i bez dyskusyi, że twierdzenia w artykule moim zawarte „odpiera jako niezgodne z prawdą“ — a w takim orzeczeniu nie mogę nie widzieć nowego dowodu nieufności.

Wyznaję, że jeżeli wszystkie wystąpienia przeciw mnie zrazu dawały się wytłómaczyć oburzeniem, to kroki przedsięwzięte po ogłoszeniu moich pomienionych listów odwołujących, są do pojęcia trudniejsze. Wszak co było do sprostowania, to już sprostowałem; faktu samego zaprzeczyć nie mogę, skoro i przeciwnicy sami nieraz przyznawali, że on w zupełności zaprzeczyć się nie da; i kiedy byli inni, którzy świadczyli, że twierdzenia moje poparte są pojedynczemi faktami. Starałem się napróżno odgadnąć powody tych ostatnich przeciw mnie wystąpień, skoro powodu widocznego i zrozumiałego już nie ma; a widząc, że rozdrażnienie i nieufność przeciw mnie nie ustaje, choć zrobiłem po temu wszystko, co mogłem, i nie wiedząc już, jak z niemi walczyć, ani jak uspokoić, złożyłem mandat poselski.

Wiem, że tylko votum nieufności ze strony wyborców skłaniać zwykło posła do wystąpienia ze sejmu, a tego nie było. Ale stanowisko człowieka, przeciw któremu oświadczyło się kilkanaście Rad powiatowych, i Towarzystwo, do którego należy większość obywateli kraju i znaczna liczba posłów, stało się tak trudnem, że gdyby dalej chciał pozostać czynnym, mógłby mimo woli być tylko szkodliwym. Sama obecność jego w Sejmie mogłaby sprowadzić zajęcie się tą sprawą drobną z uszczerbkiem ważniejszych, spowodować stratę czasu

jedną więcej, i stać się jednym więcej powodem trudności w Izbie, i tak już w ciężkiem będącej położeniu. Sam ten wzgląd wskazywałby mi jasno, że w tej chwili powinienem się usunąć; a są inne ważniejsze.

Przyjmując od was Panowie mandat poselski, uważałem się za posła jednego obwodu, ale za reprezentanta kraju, jego uczuć, przekonań i dążności. Uczucia te pojmowałem przedewszystkiem jako polskie; przekonania jako katolickie i antyrewolucyjne, dążności jako zmierzające do politycznej siły przez moralną godność i społeczną harmonię. Nie wiem i nie czuję, żebym kiedykolwiek był tak zakreślone obowiązki przestąpił, a trzymając się w ich zakresie, sądziłem, że postępuję w myśl, i w duchu tej części naszego narodu, która z przeszłością najbardziej związana, w teraźniejszości bądź co bądź najwięcej w nim znaczy, a dla przyszłości kraju dziś jeszcze najwięcej może. Widać, żem się mylił, kiedy większość szlachty w naszej prowincyi przez swoje reprezentacye i Towarzystwa daje mi nieustające dowody niezaufania. W każdym razie sprzeczność pomiędzy tą większością a mną, jest oczywiście tak wielka, że ani jej ducha wyrażać, ani jej potrzeb bronić, ani jej zasad i przekonań reprezentować nie mogę. Poseł zaś, który zasady i potrzeby tych, których ma reprezentować, pojmuje inaczej jak oni, nie jest ich prawdziwym wyrazem i reprezentantem, i lepiej żeby poselstwo swoje porzucił.

Dla tego złożyłem mandat.

Panów zaś proszę, żebyście mi kroku tego za złe brać nie raczyli i wierzyli, że zrobiłem go nie z porywczości, ani ze zniechęcenia, ale zgłębokiego wewnętrznego przekonania, że nic lepszego w tej chwili zrobić nie mogę. Jeżeli miałoby komu wydać się dziwnem, że mandat składam nie wezwany przez Panów, to powtórzę, co już raz powiedziałem, że stanowisko posła musi się opierać na podstawie szerszej, niż zaufanie jednego wyborczego okręgu, bo zasady i dążności, których on ma być wyrazem i obrońcą, nie zamykają się w obrębie kilku powiatów. Gdyby zaś kto zapytał, dla czego ustępuję, kiedy przyznawszy się do błędu, nie poczuwam się do winy, odpowiadam, że nie przystoi jednemu przeciwko tak wielu obstawać, przy tem, że ma słuszność. Nie mogąc zatem ani się bronić, ani przyznać się do winy, ustępuję. Wam Panowie, dziękując za to, zeście mi zawód publiczny otworzyli, za to, żeście mi zaufania Waszeg nigdy, i teraz nie odjęli, za to, że przez ośm lat, przez które byłem Waszym posłem, żaden głos z pośród Was nigdy się przeciw mnie nie podniósł, przepraszam za to, żem Waszego mandatu do końca nie dotrzymał i na kłopot nowego wyboru Was naraził, ale uznacie Panowie sami, ufam, że inaczej zrobić nie mogłem. Gdyby kiedyś, nie rychło zapewne, zmienione stosunki mnie do sejmu

wrócić pozwoliły, a Wy Panowie chcielibyście wtedy mieć mnie swoim posłem, to wybór Wasz przyjąłbym z większą radością jak każdy inny, i z tą pewnością, że zdołalibyśmy zawsze zostać w tak dobrem wzajemnem porozumieniu, jak to którego miła pamięć będzie dla mnie chlubą i pociechą na zawsze.

Na teraz wszakże usuwam się stanowczo; usuwając się z jednego pola, pragnę zapewnić Panów, że na innem robić będę to samo, co robiłem, a przynajmniej robić chciałem na tem, z którego schodzę, i złożyć Panom wyrazy wdzięczności, uszanowania, szczerej przyjaźni dla wielu, serdecznej życzliwości dla wszystkich, z któremi to uczuciami pozwólcie mi pisać się dawnym sposobem Waszym

bratem i sługą

Stanisław Tarnowski.

W Krakowie dnia 2 Marca 1875 r.

